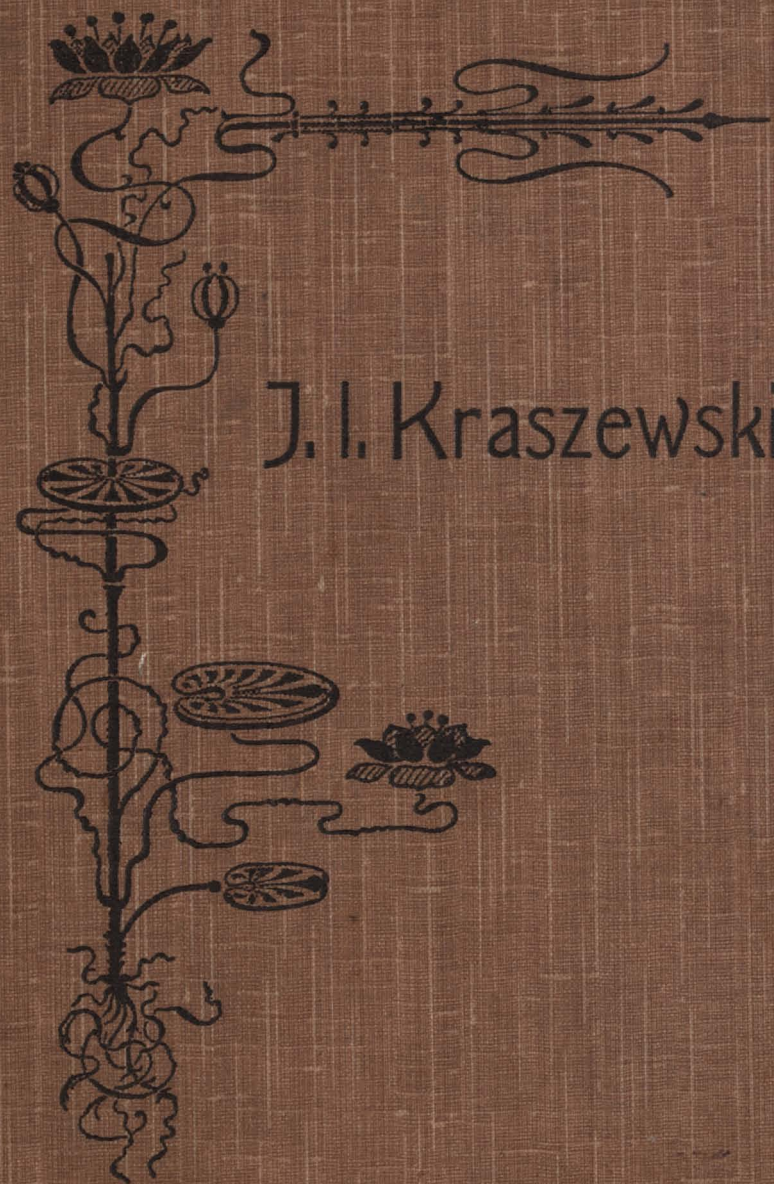




J. I. Kraszewski

HISTORIA PRAWDZIWA

O PETRKU WŁAŚCIE.

HISTORIA PRAWDZIWA
O PETRKU WŁAŚCIE
PALATYNIE
KTÓREGO ZWANO DUNINEM

Opowiadanie historyczne z XII wieku

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

Krowczyński

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Марта 1899 года.



mu/m/ 272

I.

Tłum się cisnął do drzwi pół otwartych wielkiej izby na plockim zamku, tej samej, w której niegdy spoczywały zwłoki Władysława Hermana, nim je do grobu zaniesiono, i gdzie potem biskupi sprawę Bolesława Krzywoustego ze Zbigniewem bratem sądzili, i gdzie wreszcie rycerskie zwłoki mężnego Bolka leżały otoczone dziećmi płaczącymi, czekając by je przy ojcu pogrzebiono.

Nie pierwszy raz izba owa służyła dla gromady zwołanej do obradowania nad losami tej ziemi.

Cisnęli się tu ludzie znowu, bo było na co pa-trzeć i nad czem zapłakać; obrazu takiego, jaki się tu przedstawiał, nie widział nikt zdawna i nie miał ręką oglądać.

Wkoło na ławach zasiadali panowie duchowni, palatynowie, wojewodowie i żupani, głowy sędziwe, które teraz ból, wstyd i smutek pochylał ku ziemi.

W pośrodku, na podwyższonem siedzeniu, łaskę wielką krzyżem zakończoną w rękę zamiast berła dzierżąc, majestatycznie zasiadał Arcybiskup Gnieźnieński ks. Jakób ze Żnina.

Po obu stronach zajmowali krzesła Pasterze: plocki, krakowski, sandomierski, wrocławski, kujawski, z prałatami swemi i starszyzną kapituł. Dalej siedziała świecka gromada, z głowy powiekszej części i brodami siwizną posrebrzonemi.

W tym wianku mężów sędziwych, jak w naczyniu złotem wiązka kwiatów, stały pośrodku z rękami pospuszczanymi, z głowy pochylonemi sieroty pańskie, królewskie dzieci Krzywoustego. Młodzieńcze zaledwie rozkwitły Bolesław, z włosy na ramionach rozrzuconemi, trzymając za rękę młodzieuchną Zwenisławę Wsewołodównę, małżonkę przez matkę mu daną; z mężkiem obliczem Mieczysław, przy którym stała piękna, czarnooka Gertruda królowna, córka Beli węgierskiego, rumieniać się od wejrzeń ciekawych. Za niemi stało pacholę uśmiechnięte, Henryk, w którego jasnych oczach święty jakiś ogień zdawał się już płonąć; naostatek dziecko prawie jeszcze, wydziedziczony Kaźmierz, najmłodszy, którego starszy za rękę przytrzymywał.

Wszystko to było na śmierć, zagładę, wygnanie i tułactwo przeznaczone ofiary, skazani przez Agnieszkę bracia Władysławowi, nad któremi wisiał wyrok, aby znikli z oblicza tej ziemi.

Wszebór palatyn sandomierski wystąpił przed nich i wskazał przytomnym na króla rodzinę.

Oczy wszystkich były w nią wlepione, na twarzach malowała się litość, niektórym z oczów łzy płynęły.

Mielizby ci, co jeszcze prawie żyć nie rozpoczęli, być śmierci na łup oddani, i ten uśmiechający się Henryk, z tak mężką już i rycerską pacholęcą postawą, i ten dzieciak wesół, figlarnego wyrazu twarzy, potrząsający główką dumnie, jakby na łasce rodzeństwa nie pozostał bezdomnym?...

W oczach patrzących na potomstwo wielkiego króla, zdawały się stawać po za dziećmi cienie wielu zapomnianych rodziców: króla Krzywoustego, który biskupom i starszyźnie krew swą polecił, i królowej Salomei pobożnej, niedawno zmarłej z bolesti i niepokoju o los swych dzieci, która umierając, obsyłała relikwiami świętymi klasztory, aby się modliły o szczęśliwą przyszłość dla sierot biednych.

Pomiędzy pierworodnym króla, Władysławem, a tą dziatwą młodszą różnica była tak wielka obliczów i rodu, jakby w nich inna krew płynęła. Tamten po matce rusince wziął siłę ciężką i bezwładną, wielką a nie łatwo się poruszającą; ci po niemieckiej pani żywszego ducha krew gorętszą. Ogromna też lat różnica dzieliła czterdziestokilkolletniego Władysława od dziesięciorocznego Kaźmierza.

Los tych dzieci teraz cały zawisł od panów duchownych i ziemian, mogli je opuścić i dać na ofiarę chciwej panowania Agnieszcze, albo się ująć za niemi i osłonić, a tę, co pokój zamąciła, gnać precz z granic zakłóconego państwa.

Wszebór, obie ręce rozpostarłszy wskazując na gronko stojące wpośrodku, jako obżalowanych przed sądem, rzekł zwrócony do Arcybiskupa:

— Ojcie i pasterzu miłościwy! jeżeli wy ich nie osłonicie, to nikt; jeżeli wy ich opuścicie, nie uratuje żadna siła! Krew to pana naszego, spuścizna po nim najdroższa, a stanie się krzywda jej, padnie wino na sumienie nasze!

Arcybiskup silnie, gwałtownie laską swą w ziemię uderzył.

— Włos im nie spadnie z głowy — zawołał — dopóki ja żyję, a władzę tę piastuję, póki kościół stróż sprawiedliwości stoi na tej ziemi, póki tu wiara święta panuje, nie damy ich tknąć!

Królewicze skłonili głowy, a po ławach poszedł szmer.

— Nie damy im zginać!

Sieroty same za sobą się nie odzywały, najmłodszy uśmiechał się dość wesóło, Henryk szeptał mu coś, znać karcąc niewczesne śmieszki, starsi stali zadumani i poważni. Obie księżne miały łzy na oczach, a były piękne każda inaczej w swych szatach żałobnych, obcisłych, niby dwa posągi smutku i niedoli.

Książęta zagrożeni już wszyscy się tu zbiegli razem, gdyż nigdzie się bezpiecznemi nie czuli. Gdy

nagle z Krakowa, jak piorun padła wieść, aby składali dań, gdy Władysław żupanom nakazał grody sobie oddawać, a do kilku z nich już się wdarli jego wysłańcy, gdy i z północy kilku szlakami zaczynała płynąć zapowiedziana dziec, kraj niszcząc i paląc, musieli młodszy książęta zbiedz się razem, aby nawale stawić czoło.

Biskupi pierwsi podnieśli okrzyk zgrozy, ale ten nie doszedł na zamek krakowski, a gdy Agnieszce o nim znać dawano, groziła Rzymem i kłatwami duchownym, zapowiadała wojska cesarskie i zawojuwanie mieczem i ogniem spustoszenie, nawet pastierzom, jedynej władzy naówczas powszechnie szanowanej, której nikt nie śmiał się sprzeciwić.

Biskupi byli przerażeni i sami nie śmiejąc nie poczynać, zbiegli się do naczelnika swojego, Arcybiskupa, aby z nim radzić o obronie. Jakób ze Żnina, nie ulekkły, nie dopuszczający się pokuszenia o walkę z władzą swoją, czekał spokojny.

I teraz w zgromadzeniu tem, krótko a niemal pogardliwie odezwał się zaręczając, że dzieciom pańskim nie się stać nie może.

— Nie damy ich! — powtórzyli ziemianie dokoła.

— Słaćby do Czech o pomoc — odezwał się jeden z biskupów. — Gdy książę Władysław Ruś zjednał sobie, im czeskie posiłki przyjść mogą.

— Słać do Węgier — rzekł drugi — boć tu pokrewieństwo pomoc obowiązkiem czyni. Nie odmówia jej.

— Gdyby jedno i drugie chybiło — zawołał Wszebór — czyż nas ziemian i ojezców nie stanie na obronę praw ich? A toż prowadzi Władysław pogan na nas, dziec połowiecką, kościoły wywraca, wiarę psuje, czyż nie wart, by sam jeden z pogany został, by go odstąpili wszyscy... wszyscy?

— Pod kłatwą! — dodał biskup sandomierski.

— I bez kłatwy, gdy się obwoła, odpadną od niego wszyscy — mówił Wszebór — nie ma ktoby nie

czuł zgrozy tej. Siola nasze płoną, ludzi w pień wycinają, kościoły na stajnie pozamieniali, kapłanów wieszają...

Szmer zgrozy poszedł po zgromadzeniu.

— Na szlaku, którym idą te posiłki księciu Władysławowi, popytajcie — odezwał się powstając stary żupan Ruban — powiedzą wam, ile już kościołów wywrócono. W innych barłogi swe porozkładali i wszeteczeństwa czynią. Dzieci, chłopców i dziewczęta jak trzody z sobą pędzą... Żaden się dwór cały nie ostał.

Pralaci niektórzy wolać poczęli:

— Kain! bratobójca! świętokradca! Godzien kary parycydów!

— Nie tyle on — przerwał z goryczą wielką biskup krakowski — jako niewiasta jego szalona i mściwa, ona wszystkiego początkiem jest i sprawcą!

— Tak jest, ona! — potwierdził ks. Janik — albowiem nie ma stworzenia zjadliwszego gdy złem jest nad niewiastę, którą szatan włada. Tak, jak są święte, czego przykładem była królowa Salomea, są przekłete, jak oto ta!

Wśród szmeru i krzyżujących się głosów, Bolesław, który na zamku był panem, gdyż Płock dostał mu się w udziale, zabrał głos cichy:

— Pojedynczo mu się żaden z nas oprzeć nie może, bo zgniecie jednego po drugim; musimy stać razem wszyscy. Przeto i was, miłośni panowie, prosimy, przez pamięć dla rodzica naszego, skupcie się wedle sierot jego, a nie opuszczajcie ich... Razem stać musimy, lub razem ocaleć, albo choć zginąć razem!

— Razem! — potwierdził Wszebór. — Gdyby dziec tej nadciągnęło nie wiem wiele, zawsze nas, gdy się zbierzemy więcej stanie; osaczyć ich możemy, wybić i nogi nie wypuścić. Dali Bóg Czechów i Węgrów, prędzej jeszcze z niemi skończemy.

Arcybiskup słuchał z uwagą.

— Zmoże ich prawica Wszechmocnego! — zawołał rękę podnosząc. — Kłatwę tylko rzucić potrzeba na onę Jezabel, na współnika jej i na wszystkich, co z nią trzymać będą. Przyjdzie li chwila, nie zawaham się, pójdę sam, stanę i w oczy cisnę im Anathema!

Po tej groźbie strasznej, wyrzeczonej przez Arcybiskupa, zapanowało milczenie, znano bowiem srogość okrutną tej kary kościelnej i trwogą przejęła na samą o niej wzmiankę. Śmierć niezem była nad to potępienie za żywota i na wieczność całą.

Młody Mieczysław, którego twarz już znamiowała silną wolę i charakter energiczny, mimo wielkiej młodości, podniósł głos po starszym bracie Bolku.

— Na zamku moim w Poznaniu — rzekł — poczyniłem zawczasu przygotowania do obrony. Jeżeli się inne grody nie utrzymają, pójdziemy się tam wszyscy zamknąć i będziemy trzymać, dopóki zostanie kawał chleba suchego i kropla wody; byleście wy, ojeze nasz a pasterzu (zwróciwszy się do Arcybiskupa), nie opuścili nas i nie wyrzekli się; wy ratujcie, bo macie z sobą siłę Bożą, Jezusa Chrystusa Pana naszego i Świętych Pańskich i grobu męczennika Wojciecha.

Dzieci łupu chciwiej napłynie bez miary, napłynie; nam się jej pono oprzeć w polu nie będzie można. Zaleje nas. Lud wystraszony po lasach się rozbiega. Cała nadzieja na grodach, a najsilniejszy gród, łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, którą wy dzierzycie, ojeze miły.

Wszyscy królewicze i dwie księżne zwróciły wejrzenia ku zadumanemu Arcybiskupowi, który patrzył się zdawał w dal, ale prośby słuchał i myślał o niej.

— Choćby mi życie na męczeństwo dać przyszło — odezwał się — nie bójcie się, dzieci moje, nie opuścimy was, ani ja, ani moi bracia w Chrystusie...

I zwrócił się, na biskupów wskazując, którzy wszyscy głowy skłonili i ręce podnieśli na znak zgody.

— A no patrzcie i rozważajcie—dodał Arcypasterz, dłonie podnosząc do góry—jak ta wiara Chrystusowa i ten kościół jego silny jest i pomocny, jaka to opoka twarda. A coby się dziś stało z krajem tym gdybyśmy my nie mieli na odsiecz jemu... siły co kruszy tysiące, co druzgocze oręże, co pada i gruchocze i w proch jak piorun obraca?

Ani tysiące ludu nie stały by wam za nią, bo lud ginie od strzały, od głodu, od powietrza, a krzyż pański i słowo pańskie nie przemijają i nie giną.

— Amen! amen!—odzywali się biskupi.

— Idźcież w pokój, dzieci moje—dodał Arcybiskup do książąt — a tak jak się dziś trzymacie za ręce, tak się zawsze dzierzcie miłością braterską, w miłości Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

— Amen! — powtórzyli wszyscy pochylając głowy.

Bolko wysłuchawszy mowy tej, skłonił się nisko, za nim drudzy, pokłon oddali arcybiskupowi i zgromadzeniu, a potem poszeptawszy coś między sobą, ruszyli się ku wyjściu, aby Radzie panów duchownych i świeckich, zupełną zostawić swobodę.

Wszebór z kilku towarzyszami przeprowadzili z poszanowaniem królewskie dzieci, na których końcu siedł najmłodszy Kaźmierz, niepojmujący jeszcze ani niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, ani ważności tej chwili, a zabawiający się widokiem ludzi tyłu, strojów i fizjognomij, które mu się wszystkie uśmiechały. Zdala wielu jeszcze żegnało odwracającego się ku nim, skinieniami życzliwemi.

Po wyjściu książąt w izbie się gwarniej zrobiło, Arcybiskup pochylony rozmawiał z biskupami, ziemianie się naradzali gromadkami. Niepokój widać było na wszystkich twarzach, jedna myśl wyrывała się z ust niemal zgodna — niechcemy jednego pana nad sobą! silniejszym będzie i gnieść może mocniej!

Niektórzy sięgali wspomnieniami w prostacze czasy owe swobody, których pamięć żyła jeszcze

u ludu i kmieci, kiedy gromady stanowiły wszystko a kniazio wie byli tylko wybieranymi z nich wodzami do wojny sędziami.

Biskupi też nie chcieli nie innego nad utrzymanie podziału Krzywoustego, bo im łatwiej było swą przewagę i władzę u boku książąt udzielných utrzymać, niż walczyć z jedną silną dłonią. Dla nich spójnię stanowił Pasterz Gnieźnieński, który jednocześnie pod sobą wszystkich biskupów, władza też jego w rozdzielonem państwie rosła i górowała.

Jednakże głosy się odzywały różne, byli i tacy co w podziale ziem, widzieli dla nich niebezpieczeństwo, ale tych zahuczano. Wszebor najpoważniejszy ze świeckiej starszyny, zabrał wreszcie głos, bolejąc nad tem, że im do narady Palatyna Petrka brakowało.

Spodziewano się go dotąd napróżno.

— Bylby on tu pewnie z nami — odezwał się ks. Janik — bo się wybierał w drogę, ale go coś niespodzianie zaskoczyć musiało. Jechać miał wnet po mnie. Nie taję, iż niespokojny jestem o niego, daj Boże, aby się co złego nie stało.

— Cóż mu grozić może — odezwał się Wszebor.

— Wszystko złe, wszystko najgorsze! — zawołał biskup.

I dodał ciszej, pochylając się ku niemu. — Wiem, że niedawno z księciem Władysławem na łowy jeździł, co tam między niemi zaszło, mówić się wzdrygał, wyznał mi tylko, jakby sam na siebie gniewając się, że w gorącości rozmowy słów bardzo nie ważył i lękał się, ażali księcia nie obraził. Obawiał się zemsty jego. Wyrozumiałem z niego i to, że się musiał z żalem niewczesnym albo przestrogą względem książęcej wyrwać! Książę nie strzyma tego w sobie, niewiasta jest mściwa, a Petrek też ma nieprzyjaciela srogiego w Dobku.

Wszystko to złe wróżby.

Ks. Rupert, biskup krakowski, który dosłyszał

co mówił ks. Janik, dołożył, iż, gdy wyjeżdżał z Krakowa na dworze się z tem noszono, jakby Petrkowa wielkość i siła koniec wziąć miała. A i do myślenia dawało, że w pośrodku pogrozek i gniewów, nagle Dobek ze znacznym poczetem swoich żołnierzy i siepaczy wyruszył niewiadomo dokąd — i z wycieczki tej tajemnicę jakąś czyniono.

— Już to ze wszystkich najgorszy znak — dołożył Wszebor — że my go tu nie widzimy, bo choroba tylko lub przypadek wstrzymać go mogły. Uchowaj Boże zamachu jakiego nań, w pomoc by mu ciągnąć trzeba, bo gdy Petrka stracimy, jakbyśmy pułków kilka postradali.

— Sam się trwożę — dodał ks. Janik — ale zarem czuję, że nasze obawy próżne są bodaj. Petrek ma siłę około siebie i zamachy odeprzeć potrafił.

— A zdradą go nie mogli pokonać? — wrzucił Wszebor.

W tem jeden z ziemian dalej stojących, odezwał się:

— Mam to od tych, co Dobka po drodze widzieli, iż ku Wrocławowi podążył. Miał powiadają, poczet nie liczny, ale ludzi dobranych i zaufanych, których zwykł używać do najtrudniejszych swych wycieczek, kiedy ziemian obdziera lub porywa. Jechał z nim wprawny oprawca Wondor i pachółków kilka nienadarmo.

Szmer się wszeczął i dopytywania, drudzy, jakby z przerażenia zamilkli, poglądając po sobie.

— Niech Bóg wszechmogący kłeskę tę od nas odwróci — rzekł smutnie ks. Janik. — Niema w tych ziemiach człowieka, któryby dziś wszystkim potrzebniejszym był nad Petrka, i niema czyjaby strata boleśniejszą była. Najwięcej siły ma i najlepiej użyć jej umie!

— Nie będą śmieli się nań targnąć! — rzekł arcybiskup.

— Dlaczegoż nie? — przerwał Wszebor — na nie-

go, na mnie, nawet na miłość waszą, ojca naszego, gotowi się rzucić. Księżna Agnieszka ufa w brata, nie poszanuje nikogo, a Dobek obcy człek krwi naszej żałować nie będzie.

Biada państwu gdzie zła niewiasta ster pochwycił! Na zgubę powiedzie.

— Siebie i męża! — przerwał arcybiskup z żywością wielką. — Com rzekł, to powtarzam, jeżeli słowa i groźby nie pomogą, rzucę klątwę na oboje i na potomstwo ich i precz ich wyżenę ztąd. A wygnany nie wróci więcej, choćby go i sam cesarz wiódł!

Na wzmiankę o cesarzu rzymskim Wszebor smutnie zwiesił głowę.

— Najmiłościwszy ojcze! — odezwał się — cesarz straszny i silny jest!

— Rzeczcie lepiej — odparł arcybiskup — iż straszny i silnym mógłby być — ano nie jest. Włochy, z których oka spuścić mu się nie godzi, Saracenowie, na których się gotuje, o Polsce mu myśleć nie dadzą. Pomną też Niemce swą wyprawę przeciwko nieboszczykowi królowi, z której z trupami swojemi nazad płacząc ciągnęli i nierychło się na drugą ważyć będą.

— Nie daj jednak Boże z cesarzem znowu mieć do czynienia, gdy Krzywousta nam nie stało — rzekł Wszebor — choć do tego jeszcze daleko!

Bąknął ktoś znowu o Petrku, że się już do drogi szykował, po odjeździe biskupa Janika.

— Nigdy to nie bywało — dodał biskup — aby się przyrzekłszy nie stawiał, jeśli go niema, nie bez przyczyny.

— Nie bez przyczyny! — powtarzali za nim inni.

Niektórzy upamiętywali znowu, aby zawczasu trwogi nie siać i domysłom dać pokój, póki się nie dowiedziano czegoś więcej.

Narady a raczej rozmowy różne trwały do wieczora, a oprócz potrzeby łączenia się, nie uchwalono nic.

Nazajutrz biskupi po dycecyjach rozjechać się

mieli, palatynowie i żupani po grodach. Niektórzy już o ciągnących połowcach otrzymawszy wieści, jakimi szlakami szli, musieli dla uniknięcia ich w lasach szukać schronienia. Wszystkie siły książąt z Sandomierza, Mazowsza, Poznania i z kądkolwiek się one ściągnąć dały, rozkazano do jednego miejsca nad Pilicę gromadzić pod Wszebora dowództwo.

Pułki z obozowisk swych ruszały pośpiesznie i różnemi drogi ciągnęły.

Jeszcze się wszyscy nie rozjechali panowie, gdy nieznany człek nadbiegł do Plocka z wieścią zatrważającą. Powiadano, że zrana do Wrocławia miał przybiedz, że czeladź go około namiotów widziała i rozmawiała z nim, ale wkrótce później niewiedzieć gdzie się podział i napróżno go w obozie i mieście szukano.

Człek ten wielce wystraszony, jakby przy zmyślach nie był, plótł straszne rzeczy o napaści na dworzec pana Petrka, o zajściu jakimś krwawem, mordach i zdradzie. Mówił, jęczał, nagle przestawał i wypierał się, aby wiedział cokolwiek, lecz ze słów jego domyslać się było można, iż mu trwoga zmysły pomieszała. Rozszerzyła się ztąd wieść o wypadku jakimś w Wrocławiu, która, gdy doszła ks. Janika, ten natychmiast koniom i ludziom kazał się do drogi gotować, aby do Wrocławia pośpieszać. Starano się biskupa uspokoić tem, że plotka z nieczego urosnąć mogła, a po drodze, jak zwykle, nabrzmiała. Godziło się to jednak nadto z przeczeciami jego, aby je lekceważyć. Powtarzał ciągle składając ręce.

— Panie odwróć od nas mściwą prawicę twoją!

Nie mniejszą trwogę i niepokój wywołała wieść ta na zamku, w rodzinie królewiczów, bo młodzi książęta w Petrku nawykli byli widzieć opiekuna swojego, szanowali go jako ojca, a na pomocy jego całą kładli nadzieję.

Człowiek ten dla innych często szorstki i twardy, dla młodych panów powolnym był, wylanym, czu-

łym po macierzyńsku. Przez wielką miłość dla nieboszczyka króla, kochał tak dzieci jego, iż własna krew mu nad nie droższą nie była. Na posłuch więc o tem jakimś nieszczęściu, które się stać miało, chciał Bolko mazowiecki natychmiast ślać umyślnie swych ludzi, młodszy Henryk i Kaźmierz ręce łamiąc krzyczeli po zamku, aby Petrka ratować.

Kochali go wszyscy niemal tak mocno, jak Agnieszka nienawidziła.

Do odjeżdżającego już arcybiskupa, siedzącego na wozie, książęta podbiegli prosić jeszcze aby Petrka osłaniał i bronił. Jakób ze Żuina uspokoić się ich starał tem, że trwoga była próżna, bo nie pewnego nie wiadano, a na możnego i silnego Petrka nikt się tak łatwo porwaćby nie śmiał. Arcybiskup rzekł do Bolka z wozu nie zsiadając:

— Mężni bądźcie dzieci moje, Bóg z wami, Bóg z nami, gdyby istotnie złość szatańska na chwilę górę wzięła, pokona ją krzyż święty.

I zdaleka błogosławiąc ruszył starzec z twarzą spokojną, jaką daje czucie swej siły.

Dnia tego wszyscy się z Płocka porozjeżdżali, ale nie na spoczynek, ludzić się nikt nie mógł, że książę ulegnie i napaści na braci zaniecha. Wojna już była prawie rozpoczęta, którą duchowieństwo cale kainową zwalo.

Książę Henryk, który lat dwudziestu nie miał jeszcze, nie czuł się na siłach sam Sandomierza bronić, Palatyn Wszebor, który go zastępował, nawale gwałtownej jaka Sandomierzowi i Lubelskiemu groziła, sam też oprzeć się nie spodziewał. Dzielnica Henrykowa musiała tymczasowo paść ofiarą, nimby się do walki zebrano.

Książęta wszyscy pozostawszy w Płocku razem, siedzieli tu strwożeni, gromadką się trzymając i przyrzekając sobie, że się nie rozerwą do końca. Zwenisława Bolkowa chciała ślać do Kijowa, aby u swoich prosić o cofnięcie ruskich posiłków i Połowców

ale zapóźno już było. Greta Mieszkowa tak samo na Węgry ślać koniecznie namawiała, żeby Madziarowie ich ratowali.

Lecz dziś już i posłom się przedrzeć przez zawichrzane ziemie trudno było.

Henryk Sandomierski, młode chłopię, niedawno jeszcze oderwane od macierzyńskiego łona, pobożnością matki Salomei przejęte, ufało w niebios opiekę i relikwie świętych.

Tych droższych nad wszystkie ówczesne skarby świata, ubłogosławionych szczątków, nieboszcza królowa Salomea, chociaż rozdarowywała wiele, zachowała w skarbcu liczbę znaczną i dzieciom je rozdzieliła jako tarczę i obronę od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Relikwiarze te jak zbroje, nigdy królewiczów nie opuszczały.

Ohociaż mnich Ortlieb i Bertold wywieźli ich skrzyneczkę do Zwiefaltenńskiego kościoła, razem z ornatami bogatemi i z płaszcami złocistemi, ofiarowanemi im przez królowę, w pozostałych relikwiarzach, przed którymi teraz codziennie modlili się książęta, mieli część drzewa krzyża świętego, kość św. Jana Chrzciciela, św. Pankracego, św. Cecylii, kroplę krwi Zbawiciela, mleko Bogarodzicielki, ogniwo łańcucha Piotra świętego i mnóstwo innych świętości nagromadzonych przez nieboszczkę królowę.

Wiara w cudowną moc tych relikwii była w owych wiekach tak wielką, iż rodziła siłę potężną, budziła nadzieje, odpędzała trwogę, a Henryk najpobożniejszy z młodych książąt, cisnąc do piersi tę drogą po matce spuściznę, starszej braci prorokował zwycięstwo.

Siedzieli wszyscy w Płocku niepewni co z sobą czynić mają, bo dwie młode księżne strwożone namawiały mężów swych do szukania czasowego przytułku na obcej ziemi, gdy przybył tu Jaksa z Miechowa.

Po powrocie swym z zagranicy, młody Jaksa stawił się był naprzód na dwór ks. Henryka. Młode książe, któremu już serce i głowa paliły się do wypraw rycerskich za morze, do dalekich wędrówek — słuchając opowiadań jego, upodobał go sobie wielce. Chciał koniecznie zatrzymać u boku swego, ale natenczas jeszcze matka po długim niewidzeniu syna stęskniona, upierała się go trzymać przy sobie i na żaden dwór dać nie chciała.

Tęsknił za nim ks. Henryk, a gdy mu teraz o przybyciu jego do Płocka znać dano, mówiąc, że Jaksa z Miechowa wprost doń przybywał i o posłuchanie prosił, ucieszył się tem wielce. Spodziewał się go zachować przy sobie, a niebezpieczeństwo zwiększało cenę ramienia rycerskiego.

Książe natychmiast powołać go kazał do siebie, i gdy Jaksa do kolan mu się kłaniał, w ramiona go z radości pochwycił, jak przyjaciela witając.

— Nie zapomnę ci tego, Jakso mój — zawołał — żeś do mnie w złą przybył chwilę. Bóg ci za to zapłaci, ja zawdzięczę.

— A! miły książe a panie — odparł zarumieniony Jaksa — wstyd mi aż wyznać, że się tu zabłąkał nie dla miłości waszej, ale dla własnej sprawy.

— Choćby i tak było, rad ci jestem — odparł, śmiejąc się książe Henryk — mów co chcesz mieć, chyba nie mogę, gdy nie sprawię.

— Miłościwy książe — odezwał się Jaksa, głos zniżając — sprawa to pono nie łatwa będzie, ale słowo wasze na szali zważy. Krótko mówiąc, otom się wielce a wielce rozmiłował, w córce pana Petrka, a swatać się do niej nie śmiem sam. Ojca nie mam, miłość więc waszą prosić muszę o opiekę, o dobre słowo nie tylko u Petrka, ale i do własnej matki mojej.

Spuścił oczy Marek i przerwał, bo mu trochę srom było, w taki gorący czas o własnej myśleć i mówić sprawie.

— A zkądże tu przybywacie? — odparł ks. Henryk — nie już prosto od Wrocławia?

— Nie miłościwy panie — rzekł Jaksa. — Byłem ja z Petrkim w Krakowie i czas jakiś u niego potem przebywałem, alem od niego musiał do matki. Tam przebywszy, wstyd wyznać, ogarnęła mnie taka wielka tęsknica za dziewczką, żeś dłużej powściągnąć się nie mógł. Pamiętny łaski waszej miłości dla mnie zbiegłem tu wprost w nadziei, że mi dopomóżecie.

— A niceście po drodze od Wrocławia nie słyszeli? — spytał książe Henryk.

— Cóż słyszeć miałem? nie wiem nie — odezwał się strwożony Jaksa — czy, uchowaj Boże, mogło się tam co stać?

— Wieści chodzą różne, nie wiem — rzekł książe Henryk. — Puszczono tu plotkę jakąś straszną, z którą ks. Janik ztąd wielce zatrwóżony pobiegł. Jeżeli wy nie nie wiecie, dzięki Bogu, fałsz to być musi.

— Alem ja, mijając bite szlaki, manowcami tu dażył — rzekł Jaksa przełękły.

— Cóż po ziemiach, kędyście jechali, słysząc? — zapytał książe.

— Wojenne wieści chodzą, wojska się zbierają, o posiłkach trwogi puszczają — mówił Jaksa — lecz wojna nie rozpoczęta, Ruś tylko co kawał kraju zachwyciła, spustoszyła go.

— A grody? zamki? — pytał książe.

— Nie słysząc, aby jakie opanowano.

— Nie więc nie wiesz! — zawołał Henryk zdumiony.

— Do tego się przyznaję, jak do grzechu, żeś tego czasu tak sam o sobie myślał, iżem o wszystkim innem zapomniał! — dodał Jaksa, głowę spuszczaając.

Książe Henryk zapłonił się, był bowiem pacholęciem prawie jeszcze, przez matkę w wielkiej obyczajów surowości chowanym, a niewiasty imienia sromił się wyrzec — tu mu zaś sprawa przypadała, na którą radzić nie umiał.

Samo owo przywiązanie do dziewczęcia wydawało mu się niemal grzesznem; a na swata cale powołanym się nie czuł.

— Jakso mój—odezwał się po chwili—kazesz mi się jąc takiej rzeczy, do której się ja wcale nie zdałem. Dla was też żony sobie szukać bodaj zawczasu, tem bardziej, jeżeli w tem woli matki nie ma... I mnie się żonaty rycersko wysługiwać nie zechcesz, a jam sobie z was wielką pociechę tuszył.

Jaksa niewiedząc co powiedzieć, złożył ożenienie na matkę, że w tem wola jej była. Nie skłamał też, bo go żonatym mieć chciała, ale nie z Petrówną.

— Jeżeli tak, matce zawsze posłusznym być trzeba—rzekł pobożny Henryk—nie mówiąc już nie, tylko mi żal, że wy ze mną nie pójdziecie, gdy Bóg da, za morze pociągnę, Saracenów wojować.

— Pójdę z miłością waszą, choć za morze—odparł Jaksa—żonę doma przy matce zostawiwszy—ja też na pogan wielkie pragnienie mam.

Pójdę, ale miłość wasza do pana Petrka mi pomożecie, do którego ja sam śmiałości nie mam.

Henryk zadumany po izbie się przechadzać zaczął.

— Nic nie przyrzekam, bo nie wiem co Petrek myśli i chce—rzekł—przeciw woli jego nie mogę iść. Spróbujemy — aliści nie jedna Petrkowa córka na świecie!

— A dla mnie pono ona jedna i jedyna! — odparł Jaksa smutno. — Niechcę mówić, jaka ona jest, bo bym powiedzieć nie potrafił, ale żadna gwiazda na niebiosach nie świeci tak, jak ona myśli mojej, odkąd ją widziałem.

Henryk powtórnie się zarumienił, widać było, że rad chciał odwrócić rozmowę. Począł więc rozpytywać znowu o kraj, o Petrka, potem Jakse o niego samego i co na przyszłość zamysłał. A że czas nie był do swatania, naprzód to warował, aby Jaksa przy nim pozostał.

— Teraz miły mój—mówił—choćbym ci wygodzić chciał, jechać w swaty nie mogę, ślać z niemi nie pora, wojna buchnie lada godzina, grody nasze biorą, pułki na nas ściągają, tylko co nie widać jak płomień ogarnie. Ze swojemi i przy swoich muszę stać wiernie... I ty ze mną bądź.

Już się Jaksa nie wylamywał z tego i na wszystko przystał. I tak przybiegłszy do Płocka na krótko zasiadł przy Henryku. Codzień młode księżę długie z nim spędzał godziny, ciekaw będąc obcych obyczajów, szczególnie rycerskich i zakonnych.

Pragnął, jakby się tylko uspokoiło, wszystko, co gdzieindziej pięknem i dobrem było. u siebie zaprowadzić.

Upłynęło dni kilka, gdy raz przybywszy na zwykłą rozmowę, do pana, Jaksa zastał go niespokojniejszym niż zwykle. Od progu pytać zaczął, czy nowego nie nie słyszał.

— Nie—odparł Jaksa.

— Od Wrocławia?

— Uchowaj Boże, o Petrku co?—zawołał przestraszony Marek.

Książe wahał się mówić, lecz z oczu mu coś smutnego patrzyło.

— Mówcie, proszę — zawołał nagłaco Jaksa — jestli co! rodzony ojciec by mnie więcej nie obchodził!

— Nie trwożcie się—rzekł książę. — Pewną się zdaje rzeczą, że się coś z Petrkim przygodzić musiało, że albo uwięziony jest, lub we swym dworze obsaczony, albo mu grozi niewola od Władysława... Wieści z tamtąd codzień bałamutniejsze przychodzą.

Jaksa zbłądły, trwogi swej skryć nie umiał i ręce załamał

— Panie mój miłościwy—odezwał się—radbym z tobą wieki mieszkać i służyć ci, lecz jestli tam co, w czembym ja usłużyć mógł, a choćby nadaremnie się zaoferować dla Petrka, w pomoc mu lecieć moja powinność! Drogi mi jest jako ojciec rodzony.

— Nam też wszystkim równie — odparł Henryk — ani was trzymać chcę. Jedźcież, ale siebie też oszczędzajcie. Bratu Władysławowi wierzyć nie można, bo jest w jarzmie zlej niewiasty. Jeżeli się mści na Petrku i wam nie przebaczy.

Zaledwie się pożegnawszy, Jaksa do gospody swej pobiegł, a była w miejscu takim, gdzie się różni ludzie zjeżdżali ciągle, od których wiele posłyszeć było można. Począł zaraz badać gospodarza; czy od Szlązka co nie przyniesiono.

— Niemają rzeczy plotą — rzekł mieszczanin — ale prawdy w nich dopytać trudno. Każdy co innego prawi, niewiadomo komu wierzyć. O Palatynie Petrku głoszą, że z nim się coś stało... Morzą go jedni, więżą go drudzy — ale strach ma wielkie oczy i język długi.

Wpadł Jaksa między ziemian, którzy niedaleko stali. pytając a zaklinając na miłość Bożą, czy co od Wrocławia nie slyszeli.

Tu gwar się wszczął wielki, każdy powiadał co innego, jeden jakoby Palatyna schwyceno i uwięziono, drugi, iż do Krakowa okutego poprowadzono na sąd, inni zaręczali, że na śmierć osądzony został. Z tego wszystkiego to tylko pewnem się zdawało, iż nieszczęście jakieś spadło na Petrka, albo mu zagrażało z Krakowa.

Wszystkie wieści z ust do ust podawane tu przysły, a nikt nie własnymi nie widział oczami. Dowiedział się też Jaksa, o czem mu już na zamku powiadano, że grody na księcia Władysława brano, posłuszeństwo wszędzie po dzielnicach nakazywano, w Sandomierskiej i Lubelskiej ziemi na skraju Mazowsza i Kujawach.

Jaksa więc nie zwlekając ani godziny, tegoż dnia siodłać kazał i jechał precz. Dokąd?

Wprost do Krakowa, na dwór księcia, zdało mu się to najbezpieczniejsem, gdyż wszyscy niemal ręczyli, że tam Petrka uprowadzono. Jaksa, choćby

gardła własnego nastawiając, chciał się za Palatynem ujmować i stawić, a gdyby w więzieniu był, siłą, prośbą, złotem, poręką go wyzwolić.

Z niewielkim swym poczem, ale z odwagą wielką, popędził Jaksa przez poczty i manowce, najbliższej sobie drogi szukając do stolicy.

Tymczasem pozostali w Płocku książęta, w oczekiwaniu dalszych swych losów, sposobili się, modląc, do rozpaczliwej obrony. Palatyn Wszebor zbierał ludzi, Arcybiskup powoływał ziemian, aby stawali po stronie pokrzywdzonych... Ruszały się wszystkie ziemie po myśli duchowieństwa, przeciwko Władysławowi, którego posiłki nim mu pomocą być mogły, już wszystkich od niego okrucieństwa swojemi odepchnęły.

Gromady zbiegów szerzyły postrach do koła, dymy pogorzeliśk gorzkie niósł wiatr z groźbami i co żyło pomsty Bożej wołało na Kaina.

II.

Dobek wyjeżdżając z Krakowa ku Wrocławowi, nie wielką z sobą zabrał ludzi gromadę, ale dobrał za towarzyszków najzuchwalszych swych oprawców, najposłusznieszego, wyprobowanego niewolnika, nawykłego ślepo spełniać jego rozkazy. Siłą Palatyna Petrka wziąć nie zamierzał, aby uderzywszy nań, nie wywołać rozpaczliwego oporu, nie ściągnąć niebezpiecznej odsieczy; ufał w wielką zręczność swą, a przebiegły był i chytry, umiejący się okryć taką szatą, jakiej mu było potrzeba. Spodziewał się, że go tam żadna wieść i przestroga nie poprzedzi, że się żadnej zemsty i napadu nie domysłają i nie lękają. Osnul

więc sobie najście tak, aby o nim ludzie nie dowiedzieli się, aż gdy zostanie spełnione.

Biegł tak z ludźmi swojemi z pośpiechem wielkim, aż pod Wrocław sam, a tu przybywszy, gromadę swą, wedle myśli na czatach dokoła rozsypał, stać każąc na zawołanie. Umówione były i obrachowane godziny, znaki i hasła.

Z kupką małą, nie groźną wcale, pod wieczór przyjechał Dobek pod wrota dworca pana Petrka.

Wiedział dobrze, iż mu tu ani wierzą, ani sprzyjają, ale i to znał, że przybywającemu z twarzą wesołą, z ludźmi niewielą, gościny nie odmówią, źle nie przyjmą.

Chmurny dzień był, wiało śniegiem, gdy do wrót kołatać zaczął. Tu, wedle zwyczaju, opowiedzieć się każdy musiał, kto był i z czem przybywał.

Zdziwił się mocno Palatyn, gdy w izbie jego odpoczywając, całe nie gotów na przyjmowanie gości, posłyszał, iż marszałek Dobek z małym orszakiem ludzi, wprost z Krakowa przybył pilno, wioząc dlań od księcia rozkazy ważne i tajne.

Zmarszczyło mu się czoło, bo zgadnąć nie mógł co go czekało, ażali nie wyzwanie do stawiania przeciw książętom i sumieniowi — natychmiast jednak otwierać kazał, koźuch nowy narzucił na siebie i jak należało wyszedł na spotkanie.

Dobek u wnijscia z konia rzeźwo skoczył, i, jakby się z sobą nigdy nie waśnili, zbliżył się, witając gospodarza obliczem spokojnem i wesołem.

Chciał go, dla uczczenia, do izb gościnnych prowadzić Petrek, ale się oparł przybyły, powiadając, że mało co pozostanie u niego, spocząć tylko pragnie, i prosi, by sam na sam w cieplej izbie posiedzieli.

Palatyn poprowadził go do swojego mieszkania, gdzie ogień palił się wielki, zaraz każąc podawać jadła a napoju też co przedniejszego dosyć, bo wiedział, że Dobek, jak wszyscy Niemcy, rad pił. I rad go

był spoić, bo mu się bezpieczniejszym zdawał, gdy głowę zalał.

Siedli tedy za stół, spoglądając sobie w oczy.

Petrek też umiał, gdy chciał i twarz ułożyć i mowę. Tak ci dawniej, gdy Wołodara miał brać, ucztował z nim wesoło, nie dając po sobie poznać, co w sercu trzymał.

Kolnęła go ta myśl, ażali i Dobek z nim tak nie postąpi, ale ją precz odpędził. Niemca mając za zbyt głupiego, aby się na taką chytrąść ważył. Przyszedłszy do niego, gdy mu w twarz uśmiechającą się spojrzał, ani troski na niej, ani zakłopotania nie wyczytawszy, powiedział sobie w duchu:

— Utaił by się przed innemi, nie przedemną! Niema w nim nic!

Dobek wyśmienicie udawał człowieka dworskiego, który o swem życiu myślał tylko i niem się rozkoszował.

Trochę dziwnem było Palatynowi, że mu owych gałęzi na sośnie zapomniął, lecz zdało się, że i znaku po nich nie pozostało.

— Miał rozum, że tego do serca nie wziął — pomyślał Petrek — bo już cię córka moja nie dla takiego bezdomnego wyrostka z niczego.

— Zwiastowano mi — odezwał się głośno — że od księcia pana miłościwego niesiecie coś ważnego i tajnego. Macie rozkazanie jakie?

— He! rozśmiał się Dobek — jak się wam zda? Możem ja was tak umyślnie zwiódł, aby mi prędzej wrota otwarto, bym na tej srogiej zamieci nie stał. Cóż, uwierzyliście?

— A czemuż bym słowu waszemu wierzyć nie miał? — odparł Petrek. — Wszakże jestem sługą księcia i na jego rozkazy gotów zawsze.

— A ja rozkazów dla was tymczasem nie mam żadnych — rzekł żartobliwie Dobek. — I jak tu co od was żądać, kiedy wy jawnie sprzyjacie tym, co się księciu opierają!

Petrek ramionami poruszył.

— Komu i jak?—zapytał.

— Młodszej braci naszego pana, których on radby wygnać precz.

— Myślę, że księciu się tego odechce, gdy lepiej sprawę rozważy—dodał Petrek.

— Ano, może!—rzekł Dobek, popijając. Kto to tam wie?

Udał, jakby mu to było zupełnie obojętnem. Dolewał coraz do kubka gospodarz i rozprawiali o rzeczach obojętnych dosyć wesolo; gość przy ogniu i winie stawał się coraz lepszej myśli.

— Dobra u was gościnal!—mówił przybyły—dostatek wszystkiego, jak u udzielnego księcia!

— Używajcie zdrowi!—odparł Petrek.—Niedługo czekać, przy łasce pańskiej i wam też na niczem nie zbraknie.

— Właśnie na to ja pracuję!—chytrze rzekł Dobek—byle mi się powiodło, rychło do tego dojść się spodziewam.

Zaśmieli się oba, każdy inną myśl mając w sobie.

— Gdzież książę teraz?—spytał Palatyn.

— Jest dotąd w Krakowie—począł Dobek obojętnie—ale się zbiera do wojska, bo wam to nie tajno, że jeżeli młode książęta dobrowolnie się nie poddadzą, siłą ich do posłuszeństwa przyprowadzimy; książę sam tu panem musi być!

Petrek, którego naumyślnie zdawał się tem chcieć drażnić gość, wołał zmileżeć.

— My to dobrze wiemy—ciągnął dalej poufnie niby—że ziemianom nie na rękę zmiana będzie. Woła oni małych panów mieć kilku niż jednego silnego, co ich w garść żelazną weźmie. I księżom biskupom król nie w smak pewnie, ale go przełknąć będą musieli.

Petrek głowę spuścił, nie mówiąc nic.

— Wszystko to wiemy—odparł po długiej chwili chłodno.

Dobek postrzegł, że gospodarz do picia go za-

chęcając, sam niewiele do kubka zaglądał i począł naglić, aby do niego przepijał. Wtem Roger starosta, nie odstępujący nigdy prawie Palatyna, zjawił się w progu.

Widzieliśmy go już raz jakim był z lica, a lico to nie kłamało; w sile wieku mąż, umysłu był nieustraszonego i na przebiegłości mu nie zbywało.

Tknęło go to mocno, iż ów Dobek, który tu nigdy nie bywał oddawna, a po odmowie otrzymanej, jawnym był Palatyna wrogiem, zjawił się nagle poufałym, serdecznym, jakby nigdy nie nie zaszło między niemi. Przybywał więc zbliżka się przypatrzyć temu, co się tu działo. Nawzajem Dobek, który znał dobrze Rogera i charakter jego, nie rad przybyciu, oczy spuścił, zmieszał się i nie mógł ukryć, że mu nie był na rękę. Pomimo to, pozdrowili się wzajemnie. Roger stanął skromnie za panem Petrikiem, nie mając ochoty mieszać się do rozmowy, lecz uparcie patrząc w gościa jak w tęczę.

Dobka to tak mieszało, twarz mu się schmurzyła i skrzywiła tak wyraźnie, że i Petrek poczuł, iż przytomność starosty wadziła Niemcowi.

Czerwienił się, belkotał, mieszał teraz, gdy przed chwilą, sam na sam z Petrikiem, aż do zbytku śmiałym się okazywał. Nadasany, zaglądał tylko do kubka coraz żywiej, wargi gryzł i odwracał się, wejrzeń Rogera unikając. Ten, jakby nie rozumiał, stanawszy raz w miejscu swem, nie mówiąc słowa, trwał jak wmurowany.

Rozmowa zerwała się. Dobek poczynął o ziemię, śniegu, łowach, psach, naprawdę sam nie wiedząc o czem, nadrabiając niezgrabnie weselością fałszywą. Bał się już, aby mu z lica nie wypatrzone zdrady, którą miał w duszy.

Biesiadowali tak, ale Palatyn łacno postrzegł, iż przybycie Rogera wpłynęło na gościa dziwnie, i że nie swój był, a niemal gniewny, choć udawał obojętnego.

Roger stał ciągle mileczącym tylko świadkiem. Petrek podsunął mu kubek; odmówił, dziękując.

Gadali niby wciąż, byle nie milczeć, a tymczasem i noc nadeszła. Starosta w ostatku, rzuciwszy raz jeszcze oczyma bystreimi na Dobka, wysunął się z izby pocichu. Gość też ruszył się z siedzenia.

— A co, gospodarzu miły! — odezwał się, jakby odzyskując swobodę, gdy zostali sami — może to i prawda, że ja poselstwo jakieś od księcia do was wiozł, że je zanadrą trzymam, alem przy trzecim mówić nie chciał. Oto i noc już, jam się waszego ciepłego wina opił, w głowie mi zaszumiało! Teraz już do ważnych spraw nie pora, język mi się pląta; jutro pomówimy o tem... A co mam sobie gospody szukać, juście mi pod waszym dachem, z ludźmi mojemu dacie odpocząć? Jutro dokończymy rozmowy.

— Niech tak będzie! — rzekł Petrek wesoło. — Juściem ja w życiu mojem nikomu nie odmówił gości. Syn mój pójdzie spać gdzieindziej, a wam swojej izby i postanienia ustąpi. Spoczywajcie zdrowi!

— Bardzo mi potrzeba już leż — dodał Dobek, bijąc się po piersiach — boście mnie do zbytku opoili! To mówiąc, podali sobie ręce. Petrek klasnął na marszałka dworu i gościa prowadzić kazał do izby, a ten szedł tak wesoło i swobodnie, jakby o niczem nie myślał, oprócz spoczynku.

Zaledwie się Dobka pozbyli, gdy Roger starosta, który podle czekał w komorze, wszedł nazad do izby.

— Panie mój — odezwał się do Petrka — coś mi ten Dobek, gość wasz nie do smaku. Boję się go!

— A czegożbym ja od niego w swoim własnym domu miał się lękać? — odparł Petrek. — Co ci się śni?

— Dzi kiemu, zdradliwemu zwierzęciu, choć się łasi, nie wierzę — rzekł Roger. — Po co tu przybył? Juści nie darmo i nie dla żartów z wami!

Palatyn się śmiać począł.

— Idź spać, stary mój — zawołał — nie ma tu

strachu dla nikogo, chyba dla niego. Gdy się on nie boi, czegoż my obawiać się mamy?

Starosta głową pokręcił, westchnął, nie powiedział nic, pożegnał się z Petrkiem i poszedł do dworku, który miał na tymże dworcu u muru do opactwa św. Wincentego przytykającego.

Nikt ani pomyślał we dworze całym o śmiałym zamachu, który został uknuty, szli wszyscy znużeni spać. Dobek, choć niby zmęczony, zaraz się na posłanie rzucił, czekał oka nie zmrúżywszy, aż się pośpią wszyscy. Sługę swego zaufanego postawił w proggu na czatach. Drugiego cichaczem wysłał z rozkazem:

— Nim ranek zaświta, żeby mi tu wszyscy moi byli dokoła na zawołanie. Ja mało co, albo nie spać nie będę; gdy się ruszę, abym ich pod ręką miał!

Cicha noc zimowa, niekiedy szumem wiatru przerywana i dzwonkiem opactwa, wołającym na godziny w chórze, objęła domostwo Petrkowe. Spali wszyscy utuleni ciszą, Dobek tylko jeden sparty na łokciu czuwał i najmniejszemu szelestowi się przysłuchiwał.

Niekiedy przez okno wyzierał na niebo, aby, gdy się gwiazdy pokażą zza obłoków, po nich się godzin nocy domyśleć.

Jeszcze do ranka daleko było, gdy po cichu wstał i na palcach wyszedł do swych ludzi. Wszyscy oni odzieży nie zdejmując, broni nie puściwszy z rąk, czuwali. Znalazł Wondora swego, oprawców, czeladź na zawołanie gotową. Nie czyniąc najmniejszego szmeru, wysunęli się w podwórze.

Wczorajsze wejście bystre i przenikające starosty Rogera pokoju nie dawało Dobkowi. Mówił sobie ciągle:

— Jeśli kto, ten niebezpieczny jest, jego potrzeba naprzód pochwycić, aby jako wściekły zwierzę pana i przyjaciela nie bronił, a na gwałt nie uderzył.

Choć tak było jeszcze wcześniej, postrzegł Dobek, że się już w dworku starosty świeciło. Roger nie spał całą noc, taki go niepokój ogarnął, sam nie

wiedział czemu... Żegnał się, modlił — nie pomagało nic; przybycie Dobka, jak przepowiednia nieszczęścia jakiegoś, z myśli mu wyjść nie mogło. Każdy szelst go przerażał, czuł, że coś groźnego wisiało nad niemi.

Wtem do drzwi jego zakołatano.

— Kto tam? — zawołał Roger.

— To ja! to ja! Zmiłujcie się, otwórzcie co rychlej, pilno mi bardzo, odjeżdżać już muszę. Petrek śpi, zdam więc na was, com mu miał powiedzieć.

Roger zaledwie poznawszy głos Dobka, drzwi uchylił, światło trzymając w jednej ręce, gdy z obu stron nastawieni oprawcy i pacholki wdarli się do sieni i rzucili na niego. Starosta porwał się do obrony, ale miecza, ani broni żadnej pod ręką nie miał. Dobek, dobywszy z pochew nóż zapaśny, do gardła mu z nim przyskoczył.

— Zdaj się natychmiast, nie chcesz li bym cię tu ubił! Petrek już w moich rękach, żaden zdrajca nie ujdzie!

Oprawcy wnet mu ręce w tył wylamali i wiązać je poczęli sznurami, a jeden krzyżącemu na gwałt knebel w gębę wbił i zawiązał ją.

Nie miał prawie czasu głosu wydać, gdy się to już wszystko skończyło. Wnet zgaszono światło, a związanego więźnia położono, u drzwi straż dawałszy.

Dobek już śpieszył pod dworzec wielki. Tu dopiero najważniejsza miała się odbyć sprawa.

Petrek nie spał. Rogera przestroga, rozmowy wczorajsze, nazbyt serdeczne obejście się Dobka nie mogły mu wyjść z myśli. Rozwagał, dobadywał się, czy w tem w istocie zdrady nie było? Zdało mu się wtem, że szmer jakiś niezwykle słyszy w dziedzińcach; po chwili jednak ucichło zupełnie. Sądził, że ludzie wstawać muszą do roboty i nad ranem czeladź się rusza w domu, jak zwykle; przeżegnał się i począł modlić.

Wtem z cicha pukanie usłyszał do drzwi sypialni.

— Kto tam? — odezwał się, podnosząc na łożu.

— Wstawaj panie Pietrze! — odparł Dobek głosem spokojnym — ja to jestem. Pragnę pomówić z tobą z polecenia księcia. Ano, żwawo! tajemnicę ci bardzo ważną przynoszę, czasu nie mam! Wstawaj!

Petrek z łoża się ruszył trochę zaniepokojony, poznał głos gościa swego, ale godzina, pośpiech, naglenie zdało mu się dziwnem. Podejrzenia Rogera znowu po głowie kołować zaczynały. A nuż zdradę jaką uknuto?

Wstać, czy nie? otwierać? Milczeć, czy odezwać się? — sam nie wiedział. Niepewność ta trwała bardzo krótko; zawstydził się sam przed sobą, że miał tak mało odwagi. Tymczasem Dobek coraz niecierpliwiej dobijał się do drzwi.

No, cóż tam z wami się dzieje? Co się tam tak długo przybieracie? Hej, panie Pietrze! A no czekam na was. Toć ja nie od siebie tu przychodzę, ale jako poseł książęcy; książę jest tu sam! Książę stoi u wrót zmęczony, jechał całą noc, wstawajcie!

Pietrze! a nuż! żywo! Zmiłuj się, chodź księcia przyjmować... a to się pogniewa!

Usłyszawszy o księciu Petrek zerwał się copędzej, a że koźuch miał przy łóżku, chwycił go na siebie i, jak miał zwyczaj gdy wychodził, nóż, który u pasa nosił, wziął w rękę i hełmem naprędcę głowę przykrył. Otworzył drzwi.

Dobek, zobaczywszy broń, potem hełm, zaśmiał się i krzyknął:

— Cóż to znowu? W hełmie i z nożem w rękę na spotkanie księcia się wybrałeś? Cóż to znaczy? Czy na nieprzyjaciela idziesz?

Petrek znowu się zawstydził i co prędzej hełm z głowy i nóż dobyty rzucił na łożo. Lecz zaledwie się odwrócił, gdy przez uchylone drzwi skoczyli oprawcy i pochwycili go.

— Takis gość? — krzyknął Palatyn, szamocząc się—ty... zdrajco!

— Ja? — zawołał Dobek — ja! Co czynię, to z rozkazu! Nie moja w tem wola. Z tem mnie posłano. Wiązać!

Wrzawa około drzwi sypialni coraz się wzmagająca zbudziła dwór niemal cały. Światosław, którego ojciec obok swej izby na tę noc położył, zerwał się i wyskoczył. Zaledwie się pokazał, gdy Dobek skinął, aby go brano. Poczęto chłopca chwycwszy, niemiłosiernie szarpać, dusić i pętać.

Gdy się to działo we dworcu, cała czeladź, opactwo, sąsiednie domy krzykami zbudzone, wysypały swą ludność, gromady przelekle zbiegały się, kupiły, krzyczały... Niektórzy do miasta uchodząc, uderzyli na gwałt, a że Petrek miłym był wszystkim, lud zewsząd leciał, garnał się i osaczał podwórza. Dobek by się nie mógł być obronić, gdyby te tłumy na niego się rzuciły; ale przemądry człek natychmiast przygotowaną chorągiew ks. Władysława rozwinąć kazał.

— Z rozkazu pańskiego! wola jego się dzieje! Precz z drogi Gardło da, kto rękę podniesie!—wołali ludzie Dobkowi, rozpędzając gromady.

Dnieć już zaczynało. Lud odepchnięty, rozbity, stał jak odrętwiały patrząc co się działo; jęki i płacz rozlegały się w podwórcach i po izbach, kobiety strwożone uchodziły...

Gromada ludzi Dobkowych widząc się otoczona tłumami, coprędzej na koń siadła, trzech jeńców związanych biorąc w pośrodek siebie. Sam marszałek stanął na przdzie, chorągiew pańską rozkazując nieść przed sobą i coraz obwoływać, że się to działo z rozkazu pana. Obawiając się utracić już pochwyconych, nieopatrzny Dobek zapomniał o niewiastach, które też chciał zabrać, zapóźno przypomniał je, gdy już się wracać nie było można. Brzask dnia oświecał widowisko dziwne, niepojęte, które ludziom nawykłym

widząc potęgę Petrkową, zdało się jakimś cudem strasznym.

Tego co wczoraj tu panował wiedziono pieszo, skrepowanego jak niewolnika, jak zbrodniarza, popychając końmi, pędząc do pochodu włóczyniami.

We dworze płakała ręce łamiąc i od zmysłów odchodząc Petrkowa, u której nóg, obejmując je, córka leżała. Dalej, cała gromada, z klasztoru wybiegłe mnichy stali patrząc potrwożeni, niewiedząc czy pogaństwo na gród napadło, czy zbójców jakich kupa. W niektórych mieszczanach krew kipiała, aby się rzucić i odbić niewinną ofiarę, ale chorągiew książęca osłaniała siepaczy i Dobek upojony zwycięstwem, rozgorączkowany, wlokąc za sobą jeńców pędził na zamek.

Ze trzech brańców najspokojniejszym był stary Petrek. Słowo jedno z ust mu się nie wyrwało, z głową spuszczoną szedł nie patrząc mileczący, niekiedy tylko ruchem ręki synowi, który się od płaczu zachodził, nakazując mileczenie. Starosta Roger, któremu knebel z ust wyjęto, blady włókł się jak upojony wściekłością i gniewem. Widać w nim było zduszoną ale nie złamaną siłę. Patrzył z pod brwi nawisłych na otaczający lud, jakby mu wyrzucał podłość jego, że stał, nieruszając się w obronie dobroczyńcy.

Jedno jakieś słowo może byłoby te tłumy podniosło, lecz rzec go nie śmiał nikt. Petrek sam szedł jak winowajca skruszony, poddający się losowi swemu. W duszy jego powracające teraz wspomnienie przeszłości przywodziło mu ową chwilę na pamięć, gdy tak samo Wołodara na łowach w zasadzkę pochwyconego, wiódł Krzywoustemu. I mówił sobie:—Miarą taką mierzą mi, jaką ja mierzyłem. Stań się wola Twoja!

To go w sumieniu zabijało i odbierało mu siłę. Zdało mu się, że spóźniona Opatrzności ręka na tym świecie chciała mu karę dać ponieść, aby ją zdjąć z niego na innym. Poddawał się jej w pokorze.

Dobek rozgorączkowany, coraz to się ku niemu z konia odwracał drwiąc, ale słowa jego i wejrzenia padały jak na kamień, bo Petrek zdawał się niewiedzieć i niesłyszeć nic.

W chwili tej stał się jakby innym człowiekiem, pokutnikiem pokornym, niemal dobrowolnym. Nie miotał się w więzach, niósł je jako z nieba zesłane.

Dzień już był jasny, gdy Dobek na zamek przybywszy, zszedł sam do więzień, dobierać je dla tych, których z sobą prowadził.

Staroście zamkowemu naprzód rzekł:

— Gardło dasz, jeśli ujdzie który, gardło jeżeli do nich przystępu dozwolisz komu, gardło, jeśli im najmniejszą ulgę uczynisz! Książęcy rozkaz! Zdrajcy są przeciw niemu!

Więzienie pod murowaną częścią grodu było na pół w ziemi, izb w niem dwie. Aby Petrek pociechy z syna nie miał, rzucono go do jednej samego, do drugiej Rogera i Światosława.

Dobek strażą ze swoich ludzi wzmocnił grodowę.

Gdy Petrek związany, wepchnięty do ciemnicy padł na słomę, stanął nad nim Niemiec śmiejąc się wzięwszy w boki.

— A co?—zawołał—a co? możeby teraz żołędzie się na sosnie znalazły? ale po czasie. Waszą córkę wezmę nie za żonę, ale jak zechcę!

Kładnijcie się wygodnie Palatynie, do spoczynku będziecie mieli dosyć czasu... Nie wyjdziecie ztąd, aż pod miecz katowski!

Na to nie otrzymał odpowiedzi ani wejrzenia nawet, Petrek leżał nieruchomy. Dobek przeszedł się raz i drugi po ciemnicy, czekał na coś, Palatyn ani jęknął przy nim, dopiero gdy drzwi się z trzaskiem zamknęły za odchodzącym, załamał ręce i modlić się zaczął.

Gdy więźniów tak w tryumfie na gród prowadzono, przestraszona Petrkowa z córką, miała czas,

zabrawszy co mogła naprędce ująć przez Opactwo na bezpieczniejsze schronienie do folwarku benedyktyńskiego, który ona sama mnichom nadała. Tu w chacie ubogiej upadła bezsilna, cała we łzach się rozplywając i córkę tuląc do siebie.

Opat Anzelm przedsięwziął wszelkie środki aby schronienie bezpiecznem uczynić od napaści, a pogoń w inną skierować stronę, domyślano się bowiem, że Dobek niewiast szukać będzie i ścigać je.

Zaledwie one uszły ze dworu, on już napowrót tu biegał, aby go ograbił i zniszczył. Straż, którą tu zostawił nieliczna, opasana daleko znaczniejszemi gromadami ludzi z miasta i opactwa, część tylko małą dworu otoczyć mogła. Drugą stronę Petrkowa i dworsey unieśli życie i co uspieli porwać z komnat i skarbcu.

Z powrotem marszałka poczęło się mściwe gospodarstwo jego,

Pochwycono naprzód wozy i konie, aby na nie zdobyć ładować; Dobek wpadł do opustoszonych komór, z których wszyscy pochodzili, łamiąc drzwi, rozkazując zabierać cokolwiek padło pod rękę.

Odbito naraz skarbiec, którego stało na kilka wozów złota, srebra, naczyni, oręża, futer, jedwabów, sukna, zapasów najdroższych w owych czasach—ale Dobek rozpatrzywszy się w nim zawołał, że to nie był główny Petrkowy... Tamtego, który olbrzymie miał zawierać zbiory, niewiedzianno kędy szukać—nikt go nie znał. Ze ścian i z podłóg dworca poodzierano potem sukna, opony, kobierce, ze stołów okrycia, a czego zabrać nie było można łamano i niszczone.

Dobek chodził jeszcze po zakątkach, szukając coby zagrabił, gdy ujrzał stojącego zdala Opata Benedyktynów.

Opat, ani przywitawszy grabieżcy, patrzył smutnie po komnatkach opustoszonych.

— Cóż się to tak dziwujecie temu co się tu dzieje?—krzyknął doń Dobek.—Pełnię rozkaz pański.

Zdrajcę ująłem, mienie jego całe, ziemie, wszystko do księcia należy.

— A kogoż to i kiedy—odezwał się opat spokojnie — zdradził ten człowiek? gdzie ta zdrada? kto go sądził!

— Wyrok książęcy!—odparł Dobek.—Wam klecho, ani pytać o to, ani sarkać, chcecie być cali!

— Chceszli ty być całym—krzyknął Opat z mocą wielką, podnosząc habit swój czarny — nie tykaj, ani słowem, ani ręką tej sukni, abys trupem nie padł! Czyń, jako niewolnik bez litości co ci kazano, ale zdala od ołtarza i ludzi jemu poświęconych, aby cię ziemia nie pożarła!

Dobek stanął osłupiały, zląkł się.

— Nie rzucajcież klątwy na mnie! — zawołał drżąc—ja tu mojej nie spełniam woli. Sługą jestem.

Opat popatrzał i odwrócił się od niego z pogardą. Powolnym krokiem przeszedł po izbach, mrużąc modlitwę, patrząc, stając, niekiedy ciężkiem westchnieniem zdradzając żal wielki.

Dobek tymczasem wysliznął się drugimi drzwiami do wozów, które strażą otoczone pode dworem stały. Łupu zabranego ztąd niedosyć mu było, wypędzono ze stajen konie, wzięto kolebki i wozy, zegnano psy, pochwytano sokoły, powywracano szopy i ustawiono pustkę i gruzy tylko...

Łupy wyciągały z dziedzińca za Dobkiem, gdy od glinianej grobli nadjechał wóz kmiecy, a ten co na nim siedział, oczom swym nie wierząc, stanął przypatrując się zniszczeniu, wczoraj jeszcze pańskiego dworca. Był to Tychon kmieć, którego znów z podwodą do miasta przygnano, wracający do domu. Jeżdżąc tu często z przewodem i znając ludzi Petrkowych, stanął u wrót, przed którymi dawny odźwierny leżał pobity i jęczał.

Tychon, co tak na swój los narzekał, pierwszy raz ujrzał, że i możnym nie lepiej się od niego działo.

— Saku! — zawołał na odźwiernego — na mile Bogi, co się tu u was stało? Toć nie wojna?

Sak jęczał trąc potłuczone boki.

— Książęca ręka nas dotknęła—począł płaczliwie. — Nie pytajcie lepiej! Wczoraj nasz Petrek z książętą na równi chodził, dziś ze złodziejami. Powlekli związanego do ciemnicy, jego i starostę i syna.

I począł zawodzić odźwierny.

— A cóż uczynił?—spytał Tychon.

Sak podniósł głowę.—Któż to wie? Skarby miał, złupić je chciano... Można był, zazdrościli mu... Bóg tak dał!

Tychon nie pytał już więcej.

— Zaprawdę—rzekł, popędzając konie dalej — niewiadomo czy nie lepiej kmieciem być i podwody a poradne dawać, a z pogonią służyć?

Tak samo może myśleli mieszczenie, których gromady przez cały dzień stały u spustoszonego dworu, patrząc i zdumiewając się tej doli. Niekiedy jęk cichy wyrывał się im z piersi i ocierali oczy. Petrek miał może nieprzyjaciół i zazdrosnych, jak każdy możniejszy, ale mu też na przyjaciółach, sługach wiernych i wdzięcznych ludziach nie zbywało, bo wiele czynił, grosza nie szczędził, a że szczodrym był, szczególnie dla duchowieństwa, i ono mu sprzyjało, modlitwom wiernym polecano go publicznie.

Mnogie klasztory, kościoły, nadania biskupom, przywiązywały doń księży, nieustannie z jego skarbcza czerpiących; wszyscy oni za nim byli, czuł więc Dobek, zasłaniając się książęcym rozkazem, że sobie tysiące nieprzyjaciół uczyni chwytając Petrka. Starszyznę i ziemian obruszała też każn bez sądu, i książę Władysław wiedział, że tem sobie ludzi nie zjedna, a tylko najłakliwszych przerazi; ale Agnieszka lekceważyła wszystkich, zarówno duchownych jak świeckich. Ufała w brata cesarza, wołając, że on z Rzy-

mu wyrobi rozkazy do biskupów, aby się przeciw Władysławowi nie czynić nie wazyli. Książę ulegał.

Tymczasem w Opactwie, na probostwach, w dworcu biskupim, wiadomość o uwięzieniu Petrka wywołała oburzenie i ruch nadzwyczajny. W refektarzu klasztorным św. Wincentego wszyscy ojcowie zbiegli się na radę. Opat chciał zaraz biec do Biskupa, ale tego jeszcze z powrotem z Płocka nie było. Chociaż Dobek zuchwale się składał rozkazami pańskimi, nie wierzone mu, widziano w tem zemstę osobistą, chciano zaraz śłać do księcia ze skargą, do Biskupów z żalobą, prośbą, aby obstali za prześladowanym. W kościołach nakazano modły publiczne. Opat, który był przyjacielem domu i codziennym gościem Petrka, łamał ręce nad losem, jaki mógł być zgotowany nieszczęśliwemu.

Wiść się właśnie była rozeszła, że książę Władysław z żoną, na jednym z zamków szlacheckich, o mil kilka od Wrocławia się znajduje, nie wiedzianno jednak w którym. Opat wstrzymać się musiał, choć gotów już był jechać, aby za uwięzionym przemawiać.

Wysłano na zwiady dokąd Dobek się udał. Nie wątpiono, że spieszne jego oddalenie się z łupami miało na celu stawienie się księciu z niemi, i wzięcie u niego rozkazów, jak teraz z więźniem postąpić. Władza panującego była naówczas nieograniczoną, nie potrzebował sądów, nie tłumaczył się z tego co czynił. Za jednych tylko duchownych odpowiadał przed Bżymem, za innych przed Bogiem i sumieniem. Nienawiść mogła nastawać na gardło, a jeśli nie na życie to na osłepienie okrutne, które człowieka bezbronny i bezsilny czyniło, na wieczne wygnanie, które nędznym robiło tułaczem.

Trwały jeszcze narady te w Opactwie, gdy dano znać, że ks. Janik z Płocka powrócił. Tejże godziny O. Anzelm, wzięwszy z sobą O. Maura, pośpieszył na dwór biskupi.

Konie jeszcze rozsiadłowano i ks. Janik zaledwie był siadł spocząć, gdy mu oznajmiono Opata. Po drodze już orszak biskupi, od ludzi przejeżdżających dowiedział się o strasznej nowinie. Ks. Janik jej wierzyć nie chciał, ale stanąwszy u wrót spustoszonego dworu, sam oczyma własnymi zobaczył co zeń uczyniono. Płaczący u wrót ludzie, powyłamywane drzwi, porąbane słupy, splądrowane komory, poroztwierane na oścież szopy, dowiodły mu, że opowiadający nie kłamali.

Ks. Janik łamał ręce nad losem powinowatego sobie i ukochanego człowieka, gdy Opat blade ukazał się w progu. Nie mówiąc słowa do siebie, stanęli potraszając głowami, płakali oba.

— Ojciec mój—zawołał wreszcie Biskup—mów proszę! Co się stało u was? Najazd pogańskich napaść zbójcka! Gdzie Petrek nasz! gdzie rodzina jego? Nikt nie stanął w obronie?

— Niema go! Spętany siedzi w więzieniu—rzekł O. Anzelm—mściwa ręka niewiasty dosięgła nieszczęśliwego. Zdradą przemierzłą wziął go niegodziwy Dobek z łoża, bezbronny, niebroniącego się. Porwał z nim syna, pochwyciono starostę Rogera. Wszyscy oni w ciemnicy na grodzie, oskarżeni o zdradę... Splądrowano dom, zagarniają mienie. Sądny dzień przeżyliśmy.

— Tak—odparł Biskup zadumany—wybiła godzina sądu Bożego—i stało się co Wszechmocny dopuścił! Korzmy się przed nim, bo on ludzi i namiętności ich używa za narzędzia woli swej! Tak! Bóg to uczynił nie zemsta ludzka, ale płakać się godzi nad losem dotkniętego!...

— I ratować, ratować go trzeba—przerwał Opat gorąco. — Jeżeli nie wszystko ocalić to przynajmniej życie—życie jego, syna, rodziny!

Biskup westchnął zamyślony, potem rękę podniósł do góry.

— Poza księciem, za Dobkiem — rzekł — stoi

Agnieszka! Zemsta niewieścia nieubłagana jest i dzika, miary nie zna, nasycić się nie daje.

— Lecz nie mniej starać się, próbować, kołatać potrzeba—przerwał Opat. — Ojciec nasz kochany! komu właściwiej jak tobie? Książę jest na jednym z zamków sąsiednich, szukać go, mówić z nim trzeba upamiętać.

Biskup cały w sobie stał zamyślony powtarzając: *Alea jacta est!*

— Nie o Petrkę tu samego chodzi! lękam się, aby ten sam los nie groził wkrótce królewskim sierotom. Idzie o państwo to, które chcą zagarnąć! Po drodze napotykałem kupy ludzi zbiegających w lasy — księciu płyną posiłki, jego wysłańcy zajmują grody! Petrek był najgorętszym obrońcą praw małoletnich sierot, dla tego jego pierwszego zemsta spotkała — on im stał na przeszkodzie. Nie Petrkę już, siebie ratować nam potrzebował! Dziś oni wydziedziczą książąt, jutro nas to samo spotkać może, odbiorą kościołom nadania, zajądą dobra... Agnieszka chce korony i władzy, duchowieństwo bronić musi sieroty, jutro i ono będzie prześladowanem.

— Cóż czynić? zawołał Opat, łamiąc ręce — mamyż obojętnie patrzeć na zgubę dobroczyńcy naszego, stojąc z rękami założonemi?...

Ks. Janik przeszedł się parę razy zadumany po izbie.

— Cierpliwości — rzekł — niech się okaże jasno czego chcą i do czego dążą. Dzieła Kainowego dokonać mu nie damy!

— Pasterzu nasz! — zawołał Opat, całując go po rękach — powaga wasza wielka, jesteście powinowaci uwięzionego, wy powinniście pierwsi jechać aby się wstawić za nim.

Właśnie, iż powinowaty mu jestem ruszyć się nie mogę — odezwał się ks. Janik. — Krokiem teraz od kościoła niepodobna odstać. Chcecie wy być po-

słem moim? Wkładam na was sprawę, idźcie imieniem mem.

— Dla czegoż nie? — odparł Opat. — Ta suknia mnie obroni, pojedę choćby w paszczę potwory, nie zleknie się stanąć ze słowem prawdy!

— Jedź! — rzekł ks. Janik — bądźcie odemnie posłem.

Dwaj duchowni usunęli się na poufalszą naradę i rozmowę; opat Anzelm z gorliwością wielką gotował się stawiać w obronie dobroczyńcy swego zakonu.

Tejże chwili posłano na zwiady o pobycie ks. Władysława, o którym mówili jedni, że w Lignicy był, drudzy, że w Opolu, inni że w Głogowie.

Tymczasem los zdarzył, że ks. Marcin proboszcz miechowski, który z Benedyktynami w ścisłych był stosunkach, bo się za ich wychowawcę liczył, znalazł się właśnie w opactwie św. Wincentego. Obawiano się, aby schronienie pani Petrkowej nie dosyć było bezpieczne, chciano ją w głąb kraju uprowadzić i skryć gdzieś w miejscu niedostępnym. Ks. Marcin, będący na radzie przytomnym, z wielkiego politowania nad losem niewiasty nieszczęśliwej, rzucił tę myśl, aby ją wysłać do Komorowa. Inni natychmiast jej przyklasnęli. Poczęto naglić staruszkę, aby na zamek Jaksów towarzyszył niewiastom, był ich przewodnikiem i opiekunem. Ks. Marcin ani chciał, ni się mógł opierać.

— Bóg cię natchnął tą myślą szczęśliwą! — zawołał Opat, ściskając go. — Któżby mógł odmówić przytułku biednym ofiarom nieludzkiej zemsty? Jedź z niemi, ukryj je! Bóg to nagrodzi! Dopóki się los Palatyna nie rozstrzygnie, niech choć to co ma najdroższego spocznie w miejscu bezpiecznym. Wieście je do Komorowa! powierze matce Jaksy! W drodze opieka księdza za pulk cały stanie!

— Ja powiodę je drogami, na których niema niebezpieczeństwa — odezwał się ks. Marcin — sam też im będę przodować!

Tak się stało, że pani Petrkowa, której imię i dostojeństwo zataić musiano, drugiego dnia już, pod przewodnictwem ks. Marcina jechała lasami i drogami bezludnymi tam, gdzie najbardziej widzieć ją życzyłby był Jaks. Opatrzność zdawała się opiekować nim i piękną Błogostawą, wiodąc je na stary gród cichy, do którego burze wojny dojść nie mogły.

III.

Ranek był, gdy wyprzedzając wozy za nim ciągnące pod zamek w Głogowie podjechał Dobek, wołając zdala ku stróżom, aby mu wrota otwierano.

Czwałem wpadł na podwórze z rozognioną twarzą, a choć cały był śniegiem i błotem okryty, nie zdejmując z siebie odzieży, pośpieszył do izb, w których mu wskazano mieszkanie ks. Agnieszki.

Od rozpoczęcia pierwszych kroków nieprzyjacielskich przeciwko braciom z namowy żony, ks. Władysław był bardzo zmieniony. Kosztowało go postanowienie pierwsze, wahał się nad niem długo, z sumieniem walczył, — teraz już krok uczyniwszy, brnął dalej, coraz bardziej sam się zagrzewając i do serca biorąc, czem się brzydził niedawno.

Wpływało to na postępowanie zręczne księżnej, która począwszy od podżegania go zdala, dorywco, na chwilę teraz męża nie opuszczała. A była dlań wcale inną niż ostatnimi laty: chętną, przymilającą się, uprzejmą. Pilnowała go na krok nieodstępując, aby mieć nań wpływ nieustający. Władysław ulegał coraz więcej, chwilami przekonany, iż to co uczynił, było jego własną wolą. Zamiłowany w łowach, nie mógł

teraz jechać w lasy, bo się lękano zasadzki, znajdowano przeszkody, księżna nie opuszczała go od siebie, wyszukiwała zabawy i zajęcia, przyprowadzała mu dzieci, rozrywała rozmowę, nie porzucała nawet z myślami własnymi. Książę oswajał się z tą niewolą swoją i zdawał się z niej rad. Od rana do wieczora powtarzano mu jedno: jak wielkim się stanie, gdy opamięta braci i koronować się każe w stolicy.

Koronę brat cesarz miał przysłać pobłogosławioną w Rzymie.

Salomea, której wpływu i świętobliwości obawiała się Agnieszka, nie żyła już, sieroty nie miały opieki. Najstarszy z nich ledwie był dwudziestokilkoletnim, najmłodsze niedoroseł dziecięciem.

— Niech jadą do Bergu! — wołała księżna — tam ich dziedzictwo i panowanie! Tu dla nich miejsca niema! Dwu może przyjąć klasztor we Zwiefalten, który tak bogato obdarzyła matka, a dwu pójdzie służyć bratu mojemu. Lepsi od nich pod chorągwią cesarską chodzą.

Tak codzień prawie mówiła Agnieszka, a książę jej potakiwał. Bronił się tylko od wydania na nich wyroku śmierci i krwią mazać nie chciał, — na wszystko resztę przyzwalał.

Gdy Dobek szukając mieszkania księżnej, wpadł z wielkim pośpiechem do pierwszej komnaty, ujrzał ks. Władysława na niskim siedzeniu, otoczonego trojgiem dziatki, uśmiechającego się do swoich chłopiąt; Agnieszkę na podwyższeniu siedzącą przy nich i zdającą królować. Zaledwie ujrzała Dobka wchodzącego, z krzykiem porwała się ku niemu. Wiedziała z czem jechał, niecierpliwą była z czem powraca.

Sama twarz marszałka już dość o tem mówiła; zdjął helm z czola uznojonego, potrząsł włosami długimi, aby mu się po ramionach rozpostarły i rażno po rycersku przypadł z pokłonem do kolan pana i pani. Władysław patrzył nań zbladły i widocznie pomieszany.

Na naleganie żony nakazał był uwięzić Petrkę, ale w duszy, nawykły szanować go, żałował postanowienia, niepokoił się, pocieszając tem, że Dobkowi mogło się nie udać.

Z lica Niemcowi patrzyło, iż wiózł pomyślnie dla siebie wieści, uśmiechał się nim przemówił, a gdy nań padło nalegające wejrzenie pani, odezwał się rażno:

— Siedzi Petrek z synem w jamie! Siedział Wzięłem go jak lisa w dziurze! Trzymamy go! dzierzym! W naszej mocy teraz ten co się nam odgrażał!

Książę zbladł bardziej jeszcze i głowę spuścił.

W tem księżna z podnóżka skoczyła klaszcząc w dłonie, dzikim ogniem zaświeciły jej oczy, zwięrzęco jakoś, straszliwie. Nim słowo się z jej ust dobyło, bić poczęła rękami, podnosić je do góry, śmiać się. Chwyciła się pod boki, przechyliła na wznak, wyrabiała z sobą dziwy, tak ją rozradowała sama zemsty nadzieja. Książę patrzył na nią niemal przelękły.

— Ah! ah!—odezwała się wreszcie głosem pomięszanym ze śmiechem okrutnym. — Nareszcie! mamy cię złoty ptaszku w klatce, mamy! Odbierzesz teraz na coś zasłużył, ty, coś się to chciał państwem opiekować; ty, coś na mnie śmiał bluzgać i zohydzać mnie w oczach pana małżonka mojego! Al! nie ujdiesz już mi teraz, nie! Wybiła kary godzina, a kara być powinna tak srogą, jak winy twojej!

Książę milezał; Dobek kręcąc wąsa się uśmiechał...

— Jakżeś ty go wziął?—spytał ponuro Władysław.—Nie ujął się zań nikt? nie bronili się?

— Oho! nie śmiał nikt!—zawołał Dobek.—Szedłem w imieniu pańskim, z rozkazem waszym, pod chorągwią waszą! A podszedłem go tak, jak on drugich podchodzi. Ho! ho!—śmiał się Dobek, któremu wejrzenie księżnej dodawało odwagi — nie miał czasu drgnąć złoczyńca! Nie domyślał się zbój, co

go czeka! Nasadziłem zawczasu moich ludzi, wywabiałem bezbronnego, związaliśmy jego, starostę Rogera i syna. Wszyscy u mnie! Zamknąłem ich na zamku pod dobrą strażą, a sam tu zbiegłem.

— Dobrześ się sprawił!—odparła księżna z pospiechem, nie dając się odezwać mężowi. — Ale—dodała ciszej—po co go żywić było, mając raz w ręku?

Władysław wtrącił groźno:

— Życia mu brać nie chcę!

— O, zgnieść żmiję! zgnieść!—przerwała Agnieszka.

— Dość zęby wybić, aby nie puszczała jadu!—odrzekł książę.

— Zęby?... Nie dość, nie dość! — zakrzyzczała księżna, śmiejąc się niby, ale z gniewu gorączką.— Oczy! oczy mu trzeba wykluć, co widzą to, czego niema na świecie! język uciąć wszeteczny, a w końcu gardło, gardło! Mój to więzień jest, mnie obraził, przeciwko mnie zawinął, ja mu póki żywa nie przebaczę! Krwi mi jego potrzeba!

Wtem, obracając się do Dobka i mierząc go iskrzącymi oczyma, poczęła:

— A żona? a córka? a dwór?... Coście z niemi zrobili? W perzynę wszystko trzeba było obrócić, w perzynę! z dymem puścić! Księżnę jejmość pyszną dać było żołnierzom dla uciechy, i córkę z nią! Czego było oszczędzać plemię ohydne?

Książę przelękł się wyrazów żony, niepohamowaną zemstą ziejących i wstał z siedzenia, okazując oburzenie.

Agnieszka zapłoniła się tylko i zawróciła ku ulubieńcowi, który dodał:

— Niewiasty się gdzieś skryły, niewiem! Pewnie do klasztoru pod opiekę mnichów, bo ich tam pod boki miały, a ja do tych klechów iść nie mogłem, bo by mnie wyklęli i lud by na mnie spędził. Dwór splądrowano, a co się znalazło, tośmy zabrali z niego.

Nim książę miał czas się odezwać, Agnieszka wołała żywo:

— Coś zabrał, wszystko twoje! Książę pan ci to dał nie odwoła! Zasłużyłeś na nagrodę, starszy łeb smokowi temu; najstraszniejszego zbyliśmy się nieprzyjaciela. Teraz pójdzie już rażno wszystko; sieroty bez opiekuna nie wymkną się nam! Połowimy je po jednym!

Dobek już się nie księżnie, ale Władysławowi pochylił dziękować chcąc za podarek, gdy książę ze wstrętem jakimś cofnął się od niego.

Agnieszka za to zbliżyła się doń poufale, szepcząc coś po cichu i okazując radość wielką.

Władysław zadumany w okno patrzył. Przychodziły mu pewnie na pamięć te godziny, gdy Petrka widywał przy ojcu swym, poufałym gościem, druhem jego serdecznym, gdy on sam, jak inne dzieci królewskie, stawał przed nim z poszanowaniem, widząc w Petrku opiekuna swojego. Teraz, gdy zemsta przez żonę wymożona, na pół dokonana została, gniewał się na nią, na siebie, na Dobka i niemal na Petrka, iż wziąć się dopuścił.

Chciał przynajmniej ocalić mu życie.

Księżna widząc to męża usposobienie, skinęła Dobkowi, aby precz szedł, a sama zbliżyła się do Władysława, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Cóż cię to za smutek opanował? — spytała szydersko. — Więcej ci tego zbója żal niż mnie, którą on oplwał i znieważył?... mnie, matkę twoich dzieci, cesarską siostrę! Żal ci tego niktzemnika? żal?...

Nie było na to odpowiedzi. Pierwszy raz od dni wielu, spędzonych w zgodzie, Władysław zszedł jej z oczów milczący i skrył się w izbie swojej.

Gdy się to na zamku działo, Jaksa, który był pobiegł wprost do Krakowa, szukać księcia, aby stanąć przed nim w Petrka obronie, po drodze już się o całym nieszczęściu dowiedział.

Nie wstrzymało go to, że Petrek był prześladowany.

W pierwszym probostwie, na które zajechał, opowiedziano mu szczegółami jakiej zdrady padł Petrek ofiarą, jak rodzinę rozproszono, a mienie jego zrabowano, i że śmierć mu groziła. Dowiedział się zarazem, że książę z Agnieszką był w Głogowie i czekał tam na wiadomość, co się we Wrocławiu stało.

Strachem zemsty na Petrku wywartej, chciano wszystkie ziemie do poddania się zmusić.

Jaksa w rozpacz nie wiedział już co miał czynić, bił się z myślami i rwał choćby na największe niebezpieczeństwa. Bodaj sam jeden chciał iść w obronę Palatyna.

Ale jakież miało ujmować się za nim prawo? będąc zaledwie bardzo dalekim powinowatym, młodym, bez znaczenia i nie mając od nikogo zlecenia?

Jaksa, nie mając pozoru nawet przystąpienia do księcia, chwycił się myśli dziwnej. Towarzyszył on już raz Petrkowi na dwór książęcy, widziano go tam w orszaku Palatyna, u jego boku. Wiedział, że Światosław zaswatał był właśnie dziewczę wielkiego rodu, które miał wkrótce poślubić. Zmyślił więc sobie poselstwo, choć nie miał żadnego, i postanowił, jakby o niczem nie wiedząc, na dwór się dostać, niby wysłany od Petrka, zapraszając księcia na wesele. Dziwna to myśl była, zły pozór, aby się na dwór dostać; ale Jaksa, byle stanął przed księciem, resztę zdawał na wolę Bożą. Chciał mówić, zaklinać, błagać.

Książdz, któremu z myśli się tej zwierzył, choć sam sprzyjał Petrkowi, jak duchowieństwo całe, potrząsł głową na dziwaczną myśl młodzieńca.

— Czyż tego nie rozumiecie — rzekł — że dziś się za nim wstawiać, mówić, dopraszać o łaskę, naczy samemu się nadaremnie na więzy, albo i na śmierć narazić. Nie uczynisz nic i gardłem przyplacić możesz.

Jaksa się tem wcale nie dał ustraszyć.

— Uczynię co, czy nie — zawołał — ale zrobię com powinien. W sercu naszego pana nie zgasło wszelkie ludzkie uczucie; gdy się kto mu postawi śmiało, ocknie się w nim litość, oprze się żonie. Ona go prowadzi, ona!

Nie nie mogło Jaksy powstrzymać. Tegoż wieczora ruszył do Głogowa i gdy na grodzie stanął, ogarnąwszy się zaraz, samotnie z dwójgiem czeladzi na zamek poszedł.

Tu, choć dobrem okiem witano ziemian co się pod książęce chorągwie garnęli, na niego koso spoglądano, bo go do Petrkowych liczyli.

Książę z księżną razem przyjmował właśnie kilku z okolicy ziemian szlazkich, którzy przybyli miłosierdzia prosząc od Połowców, bo o straszliwym ich ciagnieniu słyszeli. Ci nawet, co z księciem trzymali, obawiali się tej dziczy, dla której na obcej ziemi nie było różnicy między przyjacielem a wrogiem, lupiono dwory wszystkie, jakie na drodze stały.

Agnieszka z tryumfującym uśmiechem słuchała płaczliwie wynurzanych żalów, obaw i próśb o miłosierdzie.

— Jeżeli się ich obawiacie — mówiła — a nie chcecie popaść w ich ręce, skupiajcie się do nas, pod książęce chorągwie, a precz wyganiajcie tych, co są wojny przyczyną. Gdy się poddadzą grody, gdy książęta pójdą precz, pokój powróci, odprawimy Ruś i Połowców.

Klaniali się płacząc Szlazacy, bijąc się w piersi a lamentując, gdy Jaksa wszedł, na którego się wszystkie obróciły spojrzenia. Książę się popatrzał nań, czekając co powie.

Stało się milczenie.

— Z czem przychodzisz? — spytał Władysław.

— Miłościwy książę! — odezwał się, dławiąc tem co mówił i pokłon oddając Jaksa. — Palatyna Petrka syn Światosław, ma poślubić Martę Starżankę, posta-

no mnie Waszą Miłość prosić o błogosławieństwo i... na wesele!

Nie dokończył jeszcze, gdy stojący obok niego żupan Leszczyce odezwał się:

— Co ci jest? co prawisz? Aż nie wiesz, że Petrek z synem jest w więzieniu osadzony? ani mu o weselu myśleć!

Jaksa zamilkł spuszczać oczy.

— W więzieniu? — odezwał się, ze śmiałością wielką podnosząc wzrok na księcia — Palatyn Petrek? on?.. Za cóż człowieka tego, który tylko do brze czynił, miałby ten los spotkać?

Książę milczał, ale Agnieszka poruszyła się gniewnie, ręką potrząsając.

— Petrek był zdrajcą! — krzyknęła — przeciw panu! przeciw mnio! Łotr jest życia nie godzien!

To mówiąc, przechyliła się, pięści zaciśnięte podnosząc do góry.

— Nie może to być! — odezwał się mężnie Jaksa. — Znają go od lat wielu wszyscy, ojcowie duchowni, ziemianie, ziemie naokół całej.. pobożny jest, sprawiedliwy, cnotliwy! Był nieboszczykowi królowi miłym, dobroczyńcą dla wielu, nikomu złym.

Miłościwy panie! takim jak on mężowi, choć by obwinionym był, trzeba się dać wywieść i oczyścić..

— Milez, ty! — zawołała Agnieszka coraz gniewniej. — Nie ty, młokosie jakiś sędzią jesteś, ale pan twój, który ma prawo życia i śmierci, sądu i wyroku! Władysław patrzył w ziemię zasępiony.

— Miłościwy książę!.. — ciągnął dalej Jaksa, zwracając się nie do Agnieszki, jakby jej słuchać nie chciał, ale do księcia samego — miłościwy książę! błaha to jest poręka, ale ja głowę moją stawię ci za niego.. Mało lichej głowy tej, jaką sumę naznaczyć, w złocie czy srebrze, aby wolen był i niewinność swą mógł wywodzić, położę u nóg twoich.

Książę błysnął oczyma ku niemu, nie odpowiadając nic. Agnieszka, czując się przez niego pogardzoną, bo na nią ani patrzył, ani jej odpowiadał, zaczęła wołać:

— Miej się, ty młokosie, na baczności, abyś i głowy zuchwałej i twego złota a srebra nie stracił! Tyś jego współnik, jeśli go tak chcesz ratować, taki dobry jak i on! i ty powinienes iść do więzienia gnić, albo i gardła dać!

Jaksa teraz dopiero spokojne podniósł wejrzenie i wlepił oczy w niewiastę rozjadłą, która blasku żreń tych znieść nie mogąc, w większy jeszcze gniew wpadła. Rzuciła się i miotła na siedzeniu, odgrażając Markowi, który stał bynajmniej niewzruszony.

— Wiem to, Miłościwa pani—rzekł Jaksa— że i głowę i mienie stawię ujmując się za Petrką, ale mnie to najmniej nie ustrasza. Ażali nie lepiej życie dać niż cnotę i sumienie? Błagam więc za tym, którego niewinnym sędzę, błagam ponownie i zaklinam was, nie macie krwią męża cnotliwego!

Panie—zwrócił się ku Władysławowi.

Książę się nagle nasrożył.

— Milcz!—krzyknął— milcz! nie chceszli dzielić losu jego!

— Milczeć nie mogę — zawołał Jaksa — grzesznym bym był!

— Precz! precz! — począł szybko mówić Władysław, nie tyle z gniewu, co z obawy, aby księżna nie uniosła się bardziej jeszcze i nie chciała mścić się na nim.

— Idź mi ztąd!

Dwóch dworzan, na znak dany przez księcia, pochwyciło go pod ręce.

— Miłościwy książę! — odezwał się raz jeszcze Jaksa— gwałtem ztąd wyrzuconym być mogę, ale jakem był nieszczęściu wiernym, tak nim zostanę, i com rzekł, to głosić będę, póki siły mam. Petrek jest niewinny! niewinny!

Agnieszkę gniew ośwładnął tak wielki, iż mówić nie mogła, gdy Jakse za drzwi komnaty wyrzucono.

Jakiś czas cisza straszna panowała w izbie.

Na wszystkich przytomnych to śmiało za Petrką ujęcie się, wrażenie uczyniło ogromne, oprócz zajadłej księżnej. Chciała natychmiast kazać uwięzić Jakse, obawiając się jego zuchwałej mowy, ale nim ochłonęła nieco i pomyślała o wydaniu rozkazu, stało się, że już obwinionego na zamku nie było.

Wszędzie są litościwe dusze, a nawet słabych wielka moc ducha podnosi. Ci, co by nigdy nie zdobyli się na mężstwo stawiania w obronie potępionego, gdy posłyszeli jak Jaksa go mężnie bronił, poczulili dlań poszanowanie i litość.

Dawny towarzysz Helmut widział niebezpieczeństwo; jakie mu groziło; on pierwszy pochwycił się do gorącego spełnienia książęcego rozkazu. Uczyniono z Jakszą przez miłosierdzie to, co się zdawało wyrażonem ze złości. Helmut obawiając się o niego, udał najokrutniejszy gniew i razem z innymi począł go conajprędzej wypychać z komnaty, dalej wyganiać z podwórca i pędzić natychmiast za wrota zamkowe, nie dając mu się słowa odezwać, odwrócić, zagadać. Wyrzucili go, ludzi, konie tak pośpiesznie, iż gdy zawołany Dobek wybiegł, ażeby zuchwałca pochwycić, odpowiedziano mu, iż śladu jego już nie było.

Wiedząc o bogactwie Jakśów, łakomy Niemiec zabierał się iść w pogoń, aby choć okup wymódl na nim, gdy Helmut z innymi dworzanami zapewnili go, że czwałem ze strachu w lasy pognął i ścigać go już próżnem było.

Tak dawnemu towarzyszkowi i kilku pocziwym winien był życie, choć oni mu się zajadłemi wydali wrogami.

Na zamku, po odprawie danej Szlżakom, Agnieszka sama pozostawszy z mężem, puściła dopiero wodze gniewom i wyrzutom...

W charakterze niewiast ówczesnych, o których

historia dochowała nam wspomnienie, widzimy, nie tylko u nas ale po świecie całym, toż samo uderzające zjawisko. Dwojakie są niewiasty tych wieków: albo święte aż do męczeństwa, martwiące ciało swoje aż do kalectwa, poświęcające się bez łyzy i jęku, słowem natchnione jakąś nadziemską siłą; lub opętane złością bez granic, namiętnościami bez uzdy, wściekłością niemal zwierzęcą. Pomiedzy tem dwojgiem niema prawie istot pośrednich. To, co występuje przed nami w dziejach, jasne jest jak słońce lub jak otechłań czarne. A nie jest to całkiem winą tych, co wizerunki malowali, ale obyczajów wieku, który i w męskiej połowie podobne charaktery stawia przed oczy nasze...

Są to rycerze pobożni, we włosiennicy biegący walczyć z pogany, bosy powracający składać łup u grobów świętych, — albo złoczyńcy porywający się przeciw ojcom własnym, tarzający się w rozpuszcie, która miejsce poświęconych nie szanuje.

Jest to wiek namiętności, które tylko religijny postrach kielzna powoli, łagodzi i uśmierza. Z pod powłoki chrześcian wyglądają dzicy poganie, a tam gdzie chrześcijaństwo do szpiku kości przejęło, są to posłuszne baranki ofiarne.

Agnieszka należy do tych czarnych charakterów w dziejach, które do nas najczęściej z Niemiec przychodziły. Z Rusi szły posłuszne i ciche niewiasty, które pod płaszczem tuląc dzieci, modliły się i siedziały zamknięte w teremach, — z Niemiec jechały królowe, które i mężom panować i świata używać żadne były. A jeżeli które z nich, jak zona Władysława Hermana, jak Agnieszka, czuły w sobie kroplę krwi cesarskiej, dumie i szałom ich nie było miary i granic.

Przybycie Jaksy, zuchwałstwo z jakim śmiały wystąpić, księcia najmocniej zmieszwały, budząc w nim wstyd i żal. Agnieszka jeszcze mocniej była przeciw Petrkowi rozjątrzoną.

Obawiała się, aby nie uszedł jej zemsty; czuła, że potrzeba było jak najrychlej ją dokonać, dopóki

młodzi przyjaciele w pomoc nie nadbiegną. Spostrzegła wahanie się w mężu — nie ufała nikomu. Petrkowi sprzyjało wielu, mógł mieć skarby ukryte, przekupić ludzi, znaleźć obrońców, ujęć pod opiekę młodych książąt i z niemi przeciw Władysławowi wojować. Chciała conajrychlej dokonać tego czego pragnęła.

— Gardło! gardło musi dać! — wołała.

Tegoż wieczora, gdy Władysław do niej i do dzieci powrócił, odezwiała się doń rozkazująco, że nazajutrz do Wrocławia jechać byli powinni.

Książę posłyszawszy to, zachnął się niechętnie.

— Po co? — zawołał. — Co się ma dokonać, stanie się i bez nas!

— Ja, ja tam chcę być! — krzyknęła księżna. — Nie wierzę nikomu... ty, ty jesteś miękki i dobroduszny. Ty, coś gotów uwolnić go jutro, a on na ciebie, na mnie zbójców naprowadzi. Ty mu darujesz, on ci nie przebaczy! Nie przeciw niemu mówię, ale za tobą, za sobą, za dziećmi... lękam się!

Książę leniwo począł się opierać jeździe do Wrocławia, ona słuchać go nie chciała.

— Wszystko jest już do tego gotowe! — wołała — jechać potrzeba! Wydałam rozkazy w imieniu twojem; nie ścierpię, byś mi kłam zadał. Musisz jechać! tam poznasz sam, że inaczej nie można zrobić, tylko twoje życie ratując, jemu je wziąć. — Gardło da! gardło! — powtarzała.

Książę, jak zwykle nie opierał się długo, na myśli miał może iż w miejscu prędzej się rozstrzygnie sprawa i on Petrkowi życie ocalić potrafi, gdy bez niego, nie pytając zamordują więźnia, albo go umarłym powiedzą!

Nie rzekł już nic.

Nazajutrz rano stały konie w podwórcach, cały orszak książęcy, Dobek na czele, dwór, wozy i ludzie pogotowiu. Niezważano na to nawet, że nagle odwilż przyszyła, śniegi topniały, drogi się stały pra-

wie nieprzebytymi. Agnieszka gnła neliłościwie coperdziej chcąc być we Wrocławiu.

W podróży znowu zaczęła męża zagadywać o karę, jaka zdracę Palatyna spotkać miała.

Tak dręcząc go nieustannie, nim do Wrocławia dojechali, wymogła to na księciu, opierającym się długo wyrzeczeniu ostatniego słowa, iż Petrkowi odjąć każe wszystkie ziemie, majątki, skarby i cokolwiek miał, a wyżenie go precz na wygnanie wieczne.

Kara ta za niedowiedzione zbrodnie już i tak aż nadto mogła się wydać srogą; ale gdy książę odkrył się z myślą swoją, Agnieszka parsknęła śmiechem szyderskim i zelżywe rzuciła słowo. Nie mówiła już więcej nic, jechali do Wrocławia milczący.

Gdy orszak pański wjechał we wrota miejskie, książę i żona jego poznać mogli łatwo, że ich tu nie witano, jak dawniej bywało i jak panu przystało.

Nie wyjechał biskup na spotkanie, choć mu za wczasu, przodem śląc, znać dano o pańskim przybyciu, nie wyszły z opatem mnichy św. Wincentego, a gromady ludu stały tak groźne i mileżące, jakby rachunku słuchać chciały, co się z ich dobroczyńcą stało. Tak wśród ciszy jechali na gród, na który pilno było Agnieszce. aby pod nogami swojemi poczuła wroga, w mocy swej i ręk. Tegoż wieczora, gdy książę od wieczery wstawszy, unikając rozmowy, szedł do izby swej osobnej, drogę mu zastąpiła Agnieszka. Z całej postawy jej wejrzenia, twarzy, widać było, iż tu się losy więźnia rozstrzygnąć miały. Drżała z niecierpliwości, chwytając Władysława za poły sukni.

— Słuchaj—odezwiała się — słuchaj! Ty maie nie zbędzisz mileżeniem. Chcę wiedzieć, coś postanowił. Ja za krzywdę moją pomstę mieć muszę.. Mówiłam ci, powtarzam: gardła chcę!

Książę Władysław stanawszy, walczył z sobą długo; wyroku śmierci dać nie chciał.

— A jam rzekł i powtarzam—odezwał się niewyraźnie—że mu życia nie wezmę. Ojciec mu wiele

winien był, rycerz jest możny, zasłużony, choćby dziś winien był, litość mu należy. Nie wezmę życia... nie!

Ręką rzucił niecierpliwie, jakby się chciał uwolnić od niej.

— Ej! myśl co powiesz, myśl — odparła Agnieszka — bo ty nie na niego, ale na siebie wyrok wydajesz, na mnie i na dzieci. Czei żony twej nawet bronić nie umiesz. Ej! myśl! zaważy twe słowo!

— Rzekłem! Co chcesz! razem to rzekł, nie będzie inaczej!—odezwał się Władysław.

— A ja ci mówię, że inaczej musi być! — zawołała gwałtownie żona — musi! bo ja cię znać nie chcę za męża! Idę precz! zostawię cię... Zabieram dzieci... nie chcę cię znać!

— Tego nie uczynisz! — odezwał się powoli książę — nie!

— Uczynię to! przysięgam, uczynię!—krzyknęła Agnieszka. — Nie chcę za męża znać tego, który czei mojej nie pomści.

To mówiąc, szarpnęła się gwałtownie, jakby odchodzić chciała, a książę który już u drzwi stał, zatrzymał się, patrząc nanią. Stała tak aż na drugi koniec komnaty włosy puściwszy na ramiona, z głową podniesioną dumnie, obrażona, gniewem dysząca.

— Tak jest, pójdę! Jutro mnie tu nie będzie! Nie chcę żyć z tobą, a jeżeli ty zginiesz marnie, nie ja po niedoleżnym, bo słabym płakać będę. Ty! cobyś ty poradził bezemnie? Siedziałbyś na jednym Krakowie, na łasce u braci, trzykroć od ciebie silniejszych. Giń!

Odwrociła się.

— Agnieszko — zawołał książę — ty, tego nie uczynisz co mówisz, a ja tego czego chcesz! Krwi jego na sumieniu mieć nie chcę! Cień ojca prosi za nim, sny miałem.

— Przecie ojciec twój zabić kazał rodzzonego

brata Zbigniewa, a ten — ten gorszym od niego jest zdrajcą.

Dyszając padła na ławę księżna. Książę stał pot ocierając z czoła. Zaszeleściło coś u drzwi, na które księżna zwróciła oczy, czuła bowiem i wiedziała kto nadchodził. Książę cofać się zaczął ku drugiemu wyjściu, wtem Dobek się wsunął i wprost zbliżał do księcia samego; z pewnym rodzajem poufalości i lekceważenia podchodząc ku niemu.

— Przyszły języki z Płocka — rzekł — Biskupi się tam na Miłość Waszą kojarzyli z książętami i rady były wielkie. Jednego im tam tylko Petrka brak było wielki, czekali nań i wyglądali, a że się on nie stawiał, wszystko na niczem spetzło...

Teraz go tylko, choć boso, puścić żywcem, da sobie rady! jak kot co zawsze na nogi upada. O tak! jego im tylko brak, możeby go Wasza Miłość puścić dała? Będą młodzi książęta wdzięczni! Za nie i panowie duchowni wszyscy, gdy głowy i wodzy niema; to jedyny człek dla nich!

Księżna potakując głośno się śmiać zaczęła.

— Mówno, mów — odezwiała się — książę pan tak go miłuje, że chce koniecznie, tej żmii życie ocalić, a póki w bestyi tej tchu stanie, kąsać będzie!

Zerwała się z ławy.

— Mów, mówże — powtórzyła — niechaj go puści! Niechaj razem i mnie puści, bo ja tu dłużej oplwam mieszkać nie będę — nie. Jutro na Niemcy pojedę, dziś, jak tylko go wypuszczą żywym, mnie tu niema.

Władysław obrócił się nasępiony ku żonie popatrzał i nie chcąc nie mówić przy Dobku, podniósł zasłonę, drzwi odemknął — wyszedł. Powłokła za nim oczyma gniewnemi Agnieszka, podniosła pięści, potem załamawszy ręce, siadła na ławie rozdąsana, aż do łez prawie.

Zbliżył się Dobek.

Na widok jego księżna wskazała drzwi, które — mąż jej wyszedł.

— Nie mogłam go przemódz! Zacięty jest w tem! życia mu wziąć nie chce. Groziłam nadaremnie. Nie chce!

— Jak go ztąd wypuszczą żywcem — odezwiał się Dobek — to my swojego życia nie będziemy pewni. Nie dziś to jutro otworzy mu się gęba, ma przyjaciół dosyć. Mnichy się krzątają i biegają, szepeją, znoszą się. Mnie już ofiarowano okup byle mu ocalić życie!

— Ocalić mu życie! ty! — zawołała Agnieszka. — Ty! Ani mi się waż mówić o tem. Bierz okup, ale go bronić!

Podniosła rękę.

— On musi umrzeć!

Nazajutrz dzień się robił za ledwie, ks. Władysław wstawał z posłania aby rannej mszy wysłuchać w kaplicy, gdy Dobek nadbiegł oznajmując mu, że ks. Janik Biskup zgłosił się, chcąc przybyć do księcia z pokłonem.

Biskupowi nikt drzwi zamknąć nie śmiał, Agnieszka czekała gniewna na przyjazd ks. Janika, postanowiła na krok nie odstępować męża. Poszła z nim razem do kaplicy, a gdy się msza skończyła i do komnat powracali, dano znać o Biskupie. Książę lubił go dosyć, oba równo myśliwemi byli, z nim się jakoś Władysław lepiej niż z innemi duchownymi rozumiał i mógł rozmówić. Dawniej byli z sobą poufale, teraz zmieniło się wielce położenie. Każdy Biskup trwożył księcia, wiedział, że wszystkich ich mieć będzie przeciwko sobie.

Według zwyczaju jednak wyszedł do progu przeciw niemu.

Ks. Janik z postawą rycerską, mężnie, z czołem pogodnem wszedł do komnaty, zasiadł obok księcia, spytał o coś obojętnego, obejrzał się dokoła — nie rozpoczynał ważniejszej rozmowy.

Ks. Agnieszka siedziała na straży, Biskup, rachował na to, że odejdzie, pytał o małe rzeczy, mó-

wił niewiele, oczyma rzucił ku pani, która odchodzić nie myślała.

Trwało to może pół godziny, ks. Janik wreszcie, okiem znów na niewiaścę rzuciwszy, odezwał się:

— Nie chcę kryć tego dłużej żem do Miłości Waszej przybył w sprawie mojego powinowatego. Niewiem czem Petrek zawinił tak wielce? Wszyscy zdumiewamy się, aby mąż, co tak stał wysoko, mógł nagle, bez jawnej przyczyny i sądu być straconym tak nisko? Cóż uczynił?

Agnieszka ledwie mogąc powściągnąć się, usta zakąsała, milczała! ks. Władysław począł:

— Czem zawinił? Zuchwałem był! oszczercą był, zdrajcą... Kto ze mną nie idzie i nie trzyma ten mi wrogiem...

— Miłościwy książę — rzekł Biskup. — Zawsześmy wiernie trzymali z tobą, póki wy trzymaliście z prawem i wolą nieboszczyka króla.

— Co? co? — podchwycił książę, burząc się. — Ja tu panem być muszę, ja, nie kto! Ja, sam! Petrek przeciw mnie szedł i znowy czynił.

— Miłościwy panie — odparł Janik — nie stanie więzień i stróżów, jeśli zechcecie wszystkich imać co trzymają z wolą nieboszczyka pana, dla własnego dobra waszego...

— Ha! — porwała się, nie mogąc wstrzymać księżna — kaci opróżnią więzienia. Ziemia głęboka jest, znajdzie się gdzie chować zdrajców!

Ks. Janik wysłuchał, ale nie odpowiedział nic, zwrócił się do księcia.

— Nie może to być — dodał — abyście chcieli życie temu wydzierać, którego ziemię nasze miłują i szanują jak ojca!

Wstał pasterz uroczystą przybierając postawę.

— Miłościwy książę! krwi tej nie bierzcie na sumienie wasze!

Książę podniósł się natychmiast i nie patrząc na żonę, rzekł żywo.

— Nie lękajcie się o to, życia mu nie wezmę, nie, ale karę słuszną domierzoną mieć musi.

Biskup odetchnął lżej.

— Bądźcie litościwym — ciągnął dalej — abyście sami litości doznali, gdy jej w życiu potrzebować będziecie. Któż tak mocen jest, aby pewien był, iż na nim nie zacięży prawica Boża? Sądy Wszechmocnego zakryte, a miarą tą mierzy Sędzia, jaką mierzył Sądzący... Gdy to mówił, z męskich oczów Biskupa pociekły łzy, których wstrzymać nie mógł. Objaw ten uczucia i słabości razem zmieszał jego samego, popatrzał milczący na ziemię, i, otarłszy oczy, nie mówiąc słowa, nie podniósłszy ręki do błogosławieństwa, wyszedł z izby powolnym krokiem.

Książę idąc za nim ze spuszczoną głową, towarzyszył mu, aż do progu, ale Biskup nie odwrócił się już, nie żegnał, nie patrzył i ocierał tylko łzy z oczów płynące. Siadł na konia u drzwi i zawrócił do domu.

Agnieszka przyskoczyła do powracającego męża.

— Coś ty rzekł? coś rzekł? Mówisz, że mu życia nie weźmiesz!

— Nie wezmę! nie! nie! — zawołał książę głosem silnym — a gdybyś mi stokroć oddaleniem groziła, powtórzę, nie wezmę! gdybyś jechała zaraz — nie wezmę!

Nigdy go tak silnym w sobie nie widziała żona, cofnęła się nieco. bo ją strwożył.

Książę stał poruszony i drżący, jak człek słaby, który się na coś stanowczego odważył.

— Chcesz krwi! — wołał. — Naposiadaś się na krew jego! Czy mu wylupić — wygnać go! zubożyć go, ale gardła jego kto tknie, przysięgam, sam je da!

Checiwie słuchała Agnieszka i po za księciem u drzwi stojący Dobek. Czekał skinienia tylko.

— Słyszałeś wyrok pański! — zawołała ze śmiechem szyderskim — spełnij go. — Reszta potem!

Dobek za zasłoną zniknął.

IV.

Pod murowaną zamku częścią były ciemnice dla złoczyńców. W dwu izbach zamknięto, w jednej Petrka osobno, w drugiej, za grubym murem, tak, by o sobie wiedzieć nie mogli, Rogera i Światosława.

Garść słomy przeguńtej i zmiętej możnemu niedawno panu służyła za poślanie. Drżał na niej z zimna okryty jednym kożuszkim, który wychodząc z rana przeciw Dobkowi narzucił na siebie. Lecz był to człek od młodu do wszystkich niewygód i nie weczasów nawykły, a gdy potem przyszło szczęście nie zmienił obyczajów, nie polubił wygod, siadał na twardej ławie, spał na sianie skórą zasłanem. Na łowach często głodu zażywał, a jadło proste czeladzi było mu najmiłsze. Gości przyjmował winem, drogami korzeniami zaprawnem i innemi napojami i jadem wytwornem a obfitem. Sam najczęściej pił kwas lub wodę i jadł z solą chleb czarny.

Nieraz śmiała się z niego, ramionami ruszając, żona, dziwili mu się ludzie; nie rozprawiał o tem z niemi, lecz obyczaju starego nie zmieniał.

Na dobre mu to wyszło teraz; gdy stróż dzban z wodą i chleb tylko zeschły przed nim stawiał. Nie poskarżył się, nie jęknął—modlił się.

Śmierć tylekroć miał przed oczyma, że się jej teraz wcale nie lękał. Spodziewał się, że mu w ostatniej godzinie księdza nie odmówią, tego jedynie pragnął, o tem myślał.

Czasem, wspomniawszy syna ukochanego, córkę pieszczołkę, żonę co się nieszczęścia znośić nie uczyla, zaciskał usta, gryzł wargi i było mu na sercu, jakby je kto nożem krajał. Modlił się naówczas, przypominał jak Chrystus Bóg cierpiał w pochodzie krzyżowym, jak bolał na krzyżu, jak znosił urągowi-

ska, plwanie, biczowanie i ostatnie męczarnie, wyrachowane z barbarzyństwem na to, aby jak najdłużej trwały—i myślał: Czemże boleść ludzka przy boleściach Tego co cierpiał za nas dobrowolnie? I lżej mu się stawało, jakby kto z ramion jego ujął brzemienia. Leżał tak całe dnie, noce, mało wiedząc, kiedy noc była a kiedy dzień.

W więzieniu tem słychać nie było, ani gwaru dnia, ani nocnej ciszy, przebiegła mysz czasem, zaszeleściło stworzenie jakieś, które dziurą z pod ziemi się dobyło i gdzieś znikło—panowała znów cisza grobowa, ciemności mogilne.

Przez pół okienka nad ziemią, zawiewał wiatr, ciekła woda, wchodziły smrody i stęchlizny, ale światło dnia zaledwie zduszone się wkradło. Drugie takie samo okienko, niegdyś wychodzące na podwórze, gdy później obok loch przymurowano, pozostało ciemne i patrzyło w jakieś milczące więzienie. Ale nie była to izba podziemna, w której Roger ze Światosławem siedzieli (głosy by ich dosłyszał przynajmniej Petrek) tylko ciemnica jakaś na pół wodą zalana gdzie gnili winowajcy na śmierć już skazani.

Tam też panowało milczenie grobów, ale czasami, rzadko dobywał się z głębin jakby ryk dzikiego zwierzęcia i jakby jęk ludzkiej mowy zdzieczalej, gdy człek oszalały sam się z sobą kłóci i żre z rozpacz.

Po tym ryku czasem słychać było jakby drzwi otworzenie i ciężkie razy zadawane kołem, po których krzyk się odzywał wściekły, oddech jakiś konającego i—milczenie.

Petrek głosu nie wydawał z początku, aż trzeciego dnia, gdy wzburzoną duszę ukołysała modlitwa, i stała się spokojną jak morze czasu pogody, począł głośno odmawiać modły swe codzienne i pieśni nucił pobożne.

Umiał psalmów kilka, które często słyszał powtarzane przez Benedyktynów w kościele i kilka hymnów świętych; pociechę mu to sprawiało, gdy

podnosząc głos, samego siebie słyszał na tym barłogu Joba, wielbiącego Pana, a błogosławiącego Mu w boleściach.

Śpiewał więc, i nikt słuchać ni słyszeć się go nie zdawał. Ale jednego dnia, coś zaszeleściało, zaskrobało. Drapano mur pod oknem czarnem, Petrek domyślił się, poczuł jak tam ktoś pazurami rwał kamienie i zsuwał się nie mogąc ich ująć, jak się czeptał i usiłował wspiąć ku górze.

Ile razy potem śpiewać poczynął, tylekroć powtarzało się to drapanie rozpaczliwe. Aż razu jednego usłyszał jęk dziwny i sapanie jakby dzikiego zwierza, a oczy podniósłszy, zobaczył w kratkach okienka, wystającą między dwoma pięściami, które za żelazo trzymały, głowę ogromną, kudłatą, ze ślepiami jak u kota błyszczącemi, z nosem wklęsłym i szerokimi ustami otwartymi, z których jak kły dzika, zęby długie wyglądały.

Głowa ta patrzała nań długo z jakimś wyrazem dziwu i przerażenia, potem mruczenie z niej dobyło się niewyraźne, jakby słowa z gardła, kłębiąc się w niem, wydobyć nie mogły, nareszcie stłumiony głos, począł wołać ochrypło.

— Kneź! kneź! Bo tak zwykle Petrka lud nazywał.

Petrek przyglądał się spokojnie. Głowa ta nie była mu obcą i nieznaną, w oprawie tego okna wydawała się inną, ale przypominał sobie, że gdzieś w życiu podobną do niej widywał. I przyszedł mu na myśl miejski stróż, któremu niejedną raz dawał zboże i szelagi, który się zwał Jarmuchą — przypominał sobie, iż był znikł, a mówiono o nim, jakoby rodzonego zamordował brata.

Trzymając się na rękach uwieszony u kraty, więzi eń zdyszany powtarzał głośniejsz coraz.

— Kneź! kneź!

— Tyś Jarmucha! he? — odparł Petrek wpatrując się w niego. — Tyś Jarmucha?

Otworzy się usta szeroko i więzień rozśmiał się dziko.

— Jarmucha! kneź w więzieniu! Jarmucha! kneź? co wy, zabiliście też brata?

— Ja? nikogo! — odparł Petrek — a żem tu — Bóg tak chciał!

Jarmucha razem śmiał się i jęczał, patrzył chciwie i napatrzyć się nie mógł. Pojąć nie umiał jak ten co stał tak wysoko niedawno, mógł spaść aż do tego lochu, obok niego i stać mu się niedolą równym.

— Módl się, Jarmucha! — odezwał się Petrek. — Jeżeli kiedy Bóg mnie wyzwoli, będę pamiętał o tobie. Rozśmiał się Jarmucha.

— Mnie powiesz! — zawołał z dzikim szaleem — powiesz! Z tych lochów nie wyszedł nikt żywym. Kości mi już połamali kołami, gdy zakrzyczę, a jak nie krzyczę, nie ryczeć! — Dzieci moje! dzieci moje!

I ręce wysilone odpadły od kraty a Jarmucha po murze tłukąc się stoczył na ziemię, jęknął i już go ani widział ni słyszał Petrek dnia tego.

Nazajutrz o tej godzinie, gdy modlitwy swe zwykł był odśpiewywać, znowu drapanie się na mur przeszkodziło mu, zasapany Jarmucha dostał się do okna, ale teraz trzymał już lepiej, bo kamienie powybijał, aby się za nie mógł uchwycić nogami.

Zawołał: — kneź! znowu i głową trząść zaczął, jedną ręką trzymając się za kratę, drugą pokazując na gardło.

Petrek tym razem nie przerywał sobie modlitwy, aż póki jej nie dokończył. Jarmucha słuchał jej, czekał, ciekawewi oczyma śledząc każdy ruch Palatyna. Twarz jego zmieniona przyoblekała się jakby litości jakiejś wyrazem.

Zaczęła się potem rozmowa z tym dzikim człkiem, który prawie mówić nie umiał.

Zapytał go Petrek, za co zabił brata, lecz gdy to rzekł i spojrzał nań, zobaczył go tak strasznie

przeobrażonym, iż w sereu swem pożałował, że mu zbrodnię jego przypomniał.

Jarmucha zbladł, zaczął się trząść oczy zago-rzały, usta się okryły pianą. Nie powiedział nic więcej prócz:

— Brat! Jam go chował, karmił, odziewał — zdradził, splugawił dom! Krwią zmyć, zmyć krwią trzeba było...

I oczy sobie zakrył ręką, jęcząc.

— Brat—brat.

— Żałujże za grzech twój, aby ci go Bóg łaskaw przebaczył—rzekł Petrek.

Tego nie rozumiał Jarmucha, sapnął z gniewu jak zwierz i wnet, puściwszy kratę na dół się zsunął. Wieczorem powrócił znowu trzymając w ręku kawałek chleba. Zdawało mu się może, iż Petrkwowi go brakło i że głodnym być musi. Pokazał mu kromkę i cisnął nią do więzienia.

— Jedz, kneź! — rzekł — jedz, ja nawykły do głodu, ja nim mar! Ty nie tak! Jedz! Ty mnie karmił. I prędko spuścił się znowu.

Podjął z poszanowaniem Petrek ten dar Boży i schował go jako najdroższą ofiarę; tży mu się w oczach kręciły.

Z duszą męzką znosił swój los Palatyn, a z każdym dniem, zamiast opadać na siłach, zyskiwał nowe, krzepił się na śmierć gotując.

Tego dnia, gdy księżna Agnieszka dała znak Dobkowi aby wyrok spełnił, jakimś przeczuciem pędzony Jaksa, nie zważając na niebezpieczeństwo, przybył do Wrocławia, na dwór ks. Janika.

A że wytrwać nie mógł w miejscu, niepokojąc się wiele, poszedł błdzić około grodu, ażali mu się nie da ludzi przekupić i znaleźć środek jaki uwolnienia więźnia.

Wprzódy już przyjaciele Petrka i ojcowie Benedyktyni posyłali na zwiady do grodu. Wiedzieli oni! że okno jedno ciemnicy, w której Petrek był zamknię-

ty, wychodziło w podwórze na którem straży nie było. Zamierzano nocą okno to wylamać, mur wybić i sznur spuściwszy, dobyć z głębi uwięzionego.

Na opactwie dowiedział się też Jaksa, że panią Petrkwą z córką wyprawiono na miejsce bezpieczne, ale, mało go tam znając, i młodym widząc, niepowiedziano dokąd niewiasty posłane zostały, aby się to nie wydało.

Gdy Jaksa, okrywszy się lada jaką opończą, aby poznanym nie był łatwo, wszedł z innymi ludźmi na zamek, Dobek właśnie rozogniony, nieprzytomny, rad że dopiął swego, bo się spuściwszy po Palatynie spodziewał, leciał z kilku siepaczami do więzienia.

Drzwi jego wychodziły na podwórze. Od tych sam Dobek klucze przy sobie chował, raz na dzień tylko je dając, gdy chleb i wodę dla więźniów noszono.

Otwarto wróta, Jaksa weisnąwszy się z innemi, u muru zdala przystanął, przewidując z trwogą po liczbie oprawców, których ścigał Dobek, że się tu coś strasznego gotować musiało.

Sam, Niemiec zajadły jak oprawca wyglądał, biegł, spieszył się, chwycił, krzychał, łajał, lekając się, aby książę danego nieodwołał rozkazu. Chciał go spełnić co najprędzej.

Pacholowie, których tu Dobek znalazł pod ręką, nimby się swoich, rozproszonych na podzameczu doczekał, byli wszyscy Szlżacy, na służbie przy zamku zostający, których marszałek nie znał, a oni tyle tylko o nim wiedzieli, że rozkazywać im miał prawo. Słuchali strwożeni, z niewielką do posłuszeństwa ochotą. Domyślali się może, iż szło o los Palatyna Petrka, który tu niedawno władał i rozkazywał, a miłowany był powszechnie, bo szczodrota sobie serca kupował.

Gdy drzwi otwarto, Dobek poczał krzyceć, aby mu wnet wiadziono Petrka i syna jego pod strażą, zostawując w kaźni Rogera.

Dunin T. II.

A że ludzie nie szli tak spiesznie jak chciał, sam ich bijąc do ciemnicy spychał.

Pachołkowie zstąpili natychmiast, Dobek u wyjścia stał niecierpliwy czekając.

Gdy gromada ta oprawców wtargnęła nagle do więzienia, a Petrek ujrzał ich, ciskających się ku sobie, sądził, że go już na stracenie prowadzić mają, obejrzał się, ażali księdza nie było.

I pokłękłszy na barłogu, modlitwę począł.

— Chwali dusza moja Pana.

Lecz długo mu tak na klęczkach nie dali pozostać siepacze, bo z góry wołając, naglił Dobek, aby go natychmiast prowadzili. Jedni więc zeszli po Światosława, drudzy pod ręce wlec zaczęli Petrka, który modlitwę swą pobożnie kończył.

Dopiero gdy w szyi ciemnicy zobaczył syna, wyrwawszy się siłą wielką tym co go trzymali, przypadł doń ściskając dziecię swe. Ale wnet pachołkowie ich, rękami związanych, rozerwali.

Stary Petrek, choć i na nim widne były ślady więziennych dni i nocy, w trwodze ducha spędzonych, nie tyle się zmienił co młode, pieszczone dziecię, wątlesza istota, z której zaledwie cień pozostał. — Światosław szedł, slaniając się, wycieńczony głodem i zaduchą, pół żywy, jak trup wybladły.

Gdy na światło dnia wywleczono Petrka, oczy rażone blaskiem zamknąć zrazu musiał, bo odwykły od niego, znieść nie mógł, po ciemnościach.

Dobek zobaczywszy go z powiekami zamrużowanymi, śmiać się począł okrutnie.

— Nie zamykaj oczów! — zawołał — napatrz się na światłość dzienną, rychło nie ujrzysz już jej, bo ci twe ślepie z rozkazu pana wyrwać każę.

Jęknął Petrek i rękę mimowolnie przyłożył do czoła, a syn posłyszawszy uraganie to, zaryczawszy z żalości, chciał biedz do ojca — pochwycono go i strzymano.

Dobek niecierpliwie się miotał i wrzeszczeć począł.

— Sam tu, oprawca jak! Jest który coby mu ślepie wydarł!

Pachołkowie wszyscy stali niemi. Do starszego z nich przypadł Marszałek bijąc go w plecy.

— Zaraz mi spełnić rozkaz pański! Słyszycie.

Oprawca zżymnął ramionami, bo choć nieraz spełniał podobne rozkazy, Petrka się dotknąć nie śmiał. Szanował go. — Mruknął ponuro.

— Nieumiem.

— Który z was? — wołał Dobek.

Nie wystąpił żaden. Dobek z gniewu jak wściekły się rzucił, tłukąc tych co poblizu stali.

— A nuż, psy paskudne!

— Jak sobaki was powywieszać każę. — Do czegożście się zdali, nieponie!

Wtem ponad ziemią, w wązkim okienku, ukazała się z kraty głowa kudłata.

Był to bratobójca Jarmucha.

Z gardła dobył mu się głos chrypliwy, niezrozumiały. — Wszyscy spojrzeli na tę poczwarę dobywającą się jak z pod ziemi.

Jarmucha mrugał oczyma i trzął się. — Głosu z piersi zmęczonych dobyć nie mógł. Po chwili dopiero zaczął wołać krzykliwie.

— Ja, ja!

Dobek wpatrywał się w niego, oprawcy mierzyli pogardliwym wzrokiem. — Jarmucha nalegał coraz głośniejsze.

— Ja, ja! panku, ja!

Niemiec zakrzyczał.

— Co za licho? kto on?

— Bratobójca Jarmucha, na stryczek osądzony — odezwał się oprawca, spluwając z obrzydzenia.

— Oślepiś go? wyrwiesz mu oczy! — Zapytał podchodząc Dobek.

— A, ja, ja, tak — powtórzył belkocząc Jarmu-

cha, który się rwał, cisnął i przylegał do kraty całą twarzą.—Życie mi daj! Oślepię ja!

Dobek w tej chwili dalby mu był więcej niż to liche życie, które nic już nie było warte.

— Dawaj go tu! Dawaj—zawołał nagle.

Światosław zakrywając oczy upadł na ziemię, zbliżała się męczeństwa chwila. Petrek stał nieporuszony, spokojny.

Natychmiast dwu pachołków zbiegło do lochu i wywlekło z niego coś zaledwie do człowieka podobnego.

Jarmucha łachmany miał tylko na sobie, gdy go pochwycono obluźganego krwią i wrzucono do ciemnicy. Pół roku już w niej gnął, odzież się popadała, ciało potłuczone ślizło od ran, kij oprawcy zostawił ślady straszne na tym pokureczonym nieforemnym szczałku człowieka, który z chciwością i pośpiechem biegł szukając już żelaza.

Jeden z oprawców miał nóż ostry u pasa, ode-rwał mu go Jarmucha, rzemień szarpnąwszy i przykląkszy toczyć zaczął na kamieniu z szalonym jakimś pośpiechem.

Kazano przynieść ławę i w tył ręce skrępować Petrкови, który spokojnie poddał się rozkazom, niekiedy tylko do szlochającego obracając się syna.

Oprawcy nawet podjęli litością zdjęci, Dobek cofnął się o kilka kroków, bał się znać aby krew nań nie trysnęła, suknię miał jasną i nową.

— Czego odchodzisz?—odezwał się mileczący do-tąd Petrek.—Przypatrz się dziełu twojemu, niech na ciebie tryśnie krew moja, ażebyś ją poniósł z sobą na sąd Boży.

Marszałek rzucił się w tył gniewny.

— Oczy mu wydrzeć—zagrzmiał—i język ten podły uciąć precz, aby nie bluźgał a milezał, psi syn! Oczy i ozór—powtórzył.

Straszny Jarmucha, odwrócił się jakby poświadczając, że rozkaz rozumiał, szczałka białymi zębami

i głową potrząsał. Petrek, u którego nóg klęczał, jeszcze nóż tocząc na kamieniu, popatrzał nań z politowaniem.

Stało się milczenie straszne, które lada chwila, jęk straszniejszy nad nie miał przerwać. Jarmucha podniósł się, spojrzał na oprawców i przybliżył do skazanego.

— Kneź, kneź — szeptał półgłosem — nie bójcie się.—Ja umyślnie, ja się wziął aby inny nie zrobił.—Oczy zakrwawię tylko nie wyjmę, język skaleczę—kneź—siedź, jęcz, krzycz—niech myślą, żem oślepił, krzycz!

W czasie tych przyborów, gdy brudnymi rękami Jarmucha dotykał już skroni Petrka, Dobek się tyłem odwrócił. Patrzyć nie chciał. Oprawcy, choć widzieli co się działo, wnet zrozumieli litość kata i przez miłość dla Palatyna—milczeli. Oczyma porozumieli się wszyscy, nikt nie chciał się krwawemu widowisku przyglądać. Jarmucha, obejrzawszy się bojaźliwie, ciął nożem w powieki, raz i drugi, zakrwawił skroń jedną i drugą, szybko z gorączkowym pośpiechem oczy pomazał krwią. Nogami niby dusił na ziemi wyrzucone żrenice. Potem usta otworzył Petrкови i w język ciął tak, że krew oblała wargi.

Za każdym cięciem nogami tarł po kamieniach i piasku, i śmiał się z radością dziką. He, he!

Petrek nie jęknął nawet.

Gdy Dobek, wyczekawszy dobrą chwilę, odwrócił się, zdało mu się, że wszystko zostało spełnione.

— Puścić ich—niech idą o żebranym chlebie.—Niemasz tu już ani piędzi ziemi, Palatynie! Sakwy mu dajcie, kij, wyszczuć go za wrota! Syn ślepemu potrzebny, niech prowadzi!

Won ich za wrota! Won!

Ledwie z pośpiechem gorączkowym słów tych domówiwszy, Dobek zwrócił się biegnąc do ks. Agnieszki, aby jej doniósł, że wyrok spełniono.

Księżna w sieniach stała niecierpliwie oczekując nań.

— Dokonano, oślepiiony!—zawołał Dobek rzucając się na ławę bo nogi pod nim drżały.—Język mu ucięto!

Agnieszka uderzyła w dłonie, ale pobladła trupio, chciała biedz, w głowie jej się zawróciło i musiała oprzeć o ścianę.

Oslabła ze wzruszenia, Dobek, który sam niepokojny był i przejęty, musiał odprowadzić do komnat.

Niepomyślano już na razie o tem co się z okaleczonym Petrką stać miało. Tymczasem u drzwi więziennych, jakby wszyscy byli w zмовie, chwycili bliżej stojący Petrka, który krwią mając zalane oczy, słał się na nogach nie mogąc utrzymać. Światosław objął go rękami, a Jaksa z pod muru przybiegł i krzycząc i nalegając.

— Uchodźmy, uchodźmy... na biskupi dwór co prędzej!

Nikt im nie tamował drogi, owszem miejscowi oprawcy, litościwi i usłuzni wskazali im i otworzyli furtę boczną do drożyny za wałami. Jarmucha rzucił się też za uchodzącymi aby się wydobyć z niewoli.

Z pośpiechem gorączkowym, prawie niosąc go na rękę, Jaksa popychał Petrka, szepejąc mu do ucha imię swoje. Światosław, choć sam ledwie się mógł na nogach wątkich utrzymać, podążał za ojcem. Uchodźcie potrzeba było ręczo, aby nowy jaki wybuch zemsty, jeszcze nienasyconej, nie dogonił ze śmierci wyrokiem.

Nie mówili prawie do siebie, na słowa zebrać się było trudno. Petrek polykając płynącą mu z ran krew własną, modlił się Bogu dziękując. Jarmucha dłuższem więzieniem okaleczony podążać nie mógł za uciekającymi, padł zaraz u wałów, i musiał w rowie, do którego się stoczył, pozostać.

Szli. Żaden z nich nie wiedział, nie uczuł jak

długo trwał ten pochód na dwór biskupi, ani dobrze rozumiał instynktem wybranej drogi. Chwila ta zdała się im wiekiem. Jaksa naglił, tak pilno mu było widzieć co rychlej starego Palatyna bezpiecznym. Raz się dostawszy pod opiekę ks. Janika, był już, choć na czas jakiś pewnym, że ztamtąd go nie porwą. Nie powątpiewał że Biskup przyjmie nieszczerśliwego, lub że w Opactwie znajdzie przytułek!

Ani Światosław ani Jaksa nie wiedzieli o tem co między katem Jarmuchą a Palatynem zaszło, nie domyślali się że kat ów, co się napraszał tak chciwie do spełnienia wyroku, wzrok mu ocalił i język całym pozostawił. W drodze okrwawiony Petrek ani się odezwał ani dał poznać po sobie co się z nim stało.

Gdy do wrót dworu biskupiego doszli nareszcie, do których Jaksa natychmiast gwałtownie szturmować począł, powybiegali ludzie biskupi i cofnęli się strwożeni widokiem okrwawionej ofiary. Wrzawa powstała w dworcu, sam Biskup, mąż pełen życia i energii usłyszawszy o Petrku, wybiegł jak stał na przedsięwzięcie, a ujrawszy Palatyna, którego ku niemu wiadziono, podniósł ręce do góry, zemsty Bożej wzywając.

Wprowadzono tak milezającego jeszcze Petrka do izby i złożono go na łożu; bo siły jego wyczerpały się. Po malej chwili jednak dźwignął się i milezając ciągle ukląkł, złożył ręce, modlić się począł.

Do koła stali wszyscy niemi i politowaniem przejęci. Biskup Janik pobożnie złożył ręce i męskim głosem począł modlitwę dziękczynną za ocalenie życia.

Nie było naówczas innych lekarzy nad mniichów Benedyktynów, uczniów szkoły salernitańskiej i żydów, którzy z arabskich ksiąg, niejaki wiadomości medyczne czerpali. Jaksa pobiegł natychmiast na Opactwo Św. Wincentego z wiadomością o ocalonym, ale tam wyprzedził go braciszek, który prze-

brany stał na grodzie i miał zlecenie donosić co się z Petrkiem działo.

OO. Benedyktyni na najgorsze będąc przygotowani, ciało tylko umarłego wyprosić chcieli, aby dobroczyńcę swego uczcić chrześcijańskim pogrzebem. Wiedzano już na Opactwie o wylupieniu oczu i wyrwaniu języka, ale nikt nie mógł odgadnąć gdzie się podział Palatyn. Wtem Jaksa nadbiegł, oznajmując że leży na biskupim dworze. Opat i braciszek Cencio lekarz natychmiast w gotowości byli spieszyć z pomocą religijną i balsamy. Brat Cencio zabierał z sobą bieliznę do okładów, leki do gojenia ran używane i cokolwiek w takich razach potrzebnem być mogło. Wszyscy razem biegli spiesząc na dwór biskupi.

W izbie przyćmionej znaleźli Petrka już leżącego na łożu, z twarzą chustą przysłoniętą, a Światosława przy nim na ziemi, na pół ze znużenia uspiętego; Biskup siedział zdala na straży przy nich i modlił się po cichu.

Surowo zakazanem było ażeby biskupich wrót nikomu nie otwierano, chociażby nawet z rozkazem książęcym przybywał. Ludziom kazano wziąć oszczepy i kusze a gotować się choćby do odpierania siłą napaści. O tej jednak dotąd nikt nie myślał.

Cudownie ocalony i pokaleczony tylko Petrek, nie wydał się z tem jeszcze, że oprócz krwi nie postradał nic, obawiał się bowiem aby wieść o tem do nowego gwałtu nie stała się powodem. Milczał.

Dopiero gdy Opat wszedł prowadząc z sobą braciszka Cencio, gdy Biskup się oddalił, a Światosław pozostał tylko, Petrek zbliżającemu się Mnichowi, do ucha go przyciągnawszy, szepnął.

— Cudem niewymownym łaski Bożej ocalony jestem — kat litościwszym był od księcia, skaleczył mnie, ale oślepić nie chciał, a języka ranił mi i przyciął nie wiele.

Brat Cencio przyklęknawszy opatrywać go począł.

Niestety! drżąca i niewprawna ręka Jarmuchy, jedno oko, nie chcąc zraniła srodze, tak, że wypłynięciem groziło. Drugie ranione przez powiekę za ledwie się uratować mogło. Język pozostał całym, ale przecięty był głęboko i posieczony. Jednak i za to potrzeba było Bogu dziękować. Petrek, choć z bólem i trudnością mógł widzieć światło dzieune — mógł kilka słów wymówić, podnieść powieki, wyjęknąć modlitwę.

— Bogu wszechmogącemu niech za to będzie chwała — odezwał się Opat — cud spełnił nad sługą swoim. Ale dopóki wy tu będziecie, nie jesteście bezpieczni. Uchodzić stąd musicie, uchodzić co rychlej, nie czekając uzdrowienia. Brat Cencio, syn wasz i Jaksa, który o mało życia za was nie postradał, pojedą z wami. Musicie się dostać tam gdzie są książęta młodzi i do nich schronić. Ziemie te już całe niemal zajmują wojska pana Władysława i pogaństwo okrutne. Uchodźcie lasami, manowcami, Bóg, który was od śmierci ratował, doprowadzi do celu. Cud stanie się, bo jest potrzebny, na upokorzenie zuchwałych.

Szeptali tak długo, aż brat Cencio nakazał spoczynek choremu. Jaksa, któremu to zlecono, biegł zaraz konie i ludzi zbierać i sposobić do drogi, bo bez pocztu silnego w te czasy niespokojne uchodzić nie było można. Orszak musiał być i dobrze zbrojny i z żołnierza najlepszego a doświadczonego złożony, jawnie zaś go ściągać, ani ukazywać nie godziło się, aby Władysławowi nie ścigali, domyślając się kogo prowadzono.

Na zamku spełniona zemsta, której pragnęła Agnieszka i Dobek, nie sprawiła radości nikomu.

Księżna oprzytomniawszy z pierwszego wrażenia, znówu się domagała, aby Petrкови życie odjęto.

Dobek dopiero po godzinie może przypominał sobie, iż nieopatrznie wymówiwszy się, oślepiętego puścić rozkazał wraz z synem.

Sam Władysław, gdy się o oswobodzeniu Petrka dowiedział, stał się niespokojnym. Obawiał się zemsty, wyrzucił Dobkowi i żonie, iż głowy potracili.

Natychmiast wyzwolonych gonić kazano, ale nim rozkazy wydane zostały, do których spełnienia użyć musiano ludzi zamkowych, późno już było do pogoni, a nikt do niej szczerzej ochoty nie miał.

Cała ludność wiejska za Petrkiem była, pomódz mu każdy był gotowym, chwycić go wszyscy się wzdrygali. Wybiegli wysłani wrzekomo w pogoń, w istocie z pragnieniem wielkiem, aby na Petrka natrafić mogli i do ucieczki mu dopomódz.

Bystre oko Dobka teraz już dostrzedz mogło na jak słabych podstawach spoczywała tu władza księcia, księżnej i jego. Ziemianie ukrywali się po kątach, gwałtem powołani przychodzili zimni i niechętni, wymawiając się i zwłócząc, gdy ich do czego użyć przychodziło. Mieszczanie rozbiegali się i ukrywali, posłuszeństwa nie było i mały orszak księcia sam musiał starczyć na wszystko, ciągle się rozbijając o ludzi milczących i opornych.

Przez cały ten dzień słała co chwila księżna Agnieszka po wieści, czy gdzie wypuszczonego nieopatrnie Petrka nie pochwycono.

Nakoniec gniewać się srodze zaczęła i wyrzucić czynić Dobkowi, a ten też rozjuszony wymawiał księżnie, że ona wyroku na gardło wyrobić nie umiała. Zamek rozlegał się hałasami i wrzawą, ludzie biegali jak pomieszani.

Domyślano się wprawdzie, że Petrek na dwór Biskupi lub do Opactwa swojego mógł się schronić, ale na jedno i drugie, w niepewności, czy się tam znajdzie, porywać się nie śmiano. Prawo schronienia winowajcom nawet jawnym, dawał ołtarz i miejscy poświęcone, targnąć się na nie nikt nie śmiał.

Dobek więc, po namyśle, na Opactwo posłał od księżnej, aby sam Opat stawił się do niej. Niespodziane to wezwanie Ojca Anzelma wcale nie ustra-

szyło. Dwu towarzyszków dobrawszy sobie, suknie odświętne, urzędowe wdziawszy, krzyż na szyi zawiesiwszy, poważny mąż pojechał na zamek. Lud, który go zobaczył jadącego, tłumnie się za nim pociężył. Od bram zamku wprawdzie straż go odegnała; ale tuż pod wrotami zaległ jakby na czatach, bo miejska ludność zakonników kochała i gotową była nawet stanąć w ich obronie.

Dobek widział zdala to poruszenie tłumu i łatwo mógł się domyśleć, co ono znaczyło, gdy gromady te, jak zburzone fale, o wały i bramy się oparły.

W izbie oczekiwała księżna Agnieszka na Opata, po księżcemu ubrana z przepychem, dwór swój ustawiwszy dookoła, bo bez okazałości tej nigdy obcych nie przyjmowała. Księcia w komnacie nie było.

Chociaż czuła w opacie nieprzyjaciela, księżna Agnieszka przyjęła go uprzejmie, posadziła przy sobie, zrazu o pobożnych rzeczach rozpoczynając rozmowę, któremi się niewiele zwykła była zajmować. Opat Anzelma spokojnego udawać musiał, choć nim nie był.

— Wasza Przewielebność — odezwala się w końcu Agnieszka — musieliście słyszeć o losie tego nikeszkiego zdrajcy, nad którym małżonek mój miał litość zbytęcną, bo na gorsze męczarnie i na śmierć stokrót zasłużył. Wiadomo, iż on wasz klasztor wzniosł i uposażył; wyście pewnie zbiegłemu dali przytułek?

— Nie zgłaszał się o to do nas nieszczęśliwy Palatyn — rzekł spokojnie mnich. — Nie rozumnem też byłoby dlań, tam się chcieć ukrywać, gdzie go pewnie naprzód szukać mogli, ci co zguby jego pragną.

— Więc go u was nie ma? — spytała księżna. Opat rękę położył na krzyżu.

— Kłamstwa usta moje nie wyrzekną — odezwiał się. — Na ten krzyż święty rękę Miłości Waszej: u nas go nie ma!

— Ale wiecie, gdzie jest pewnie — mówiła księżna z udaną łagodnością. — Ja mu już zguby nie

życze, nie jest dla nas niebezpiecznym. Chciałam tylko przez miłosierdzie radzić mu, aby się ztąd oddalił. Sam ksiązę teraz imać go każe.

— Któż wie, co Palatyn uczynił z sobą? — odparł opat — ja nie wiem, co zamierza. Zapewne sam on czuje, iż uchodzić powinien.

I zamilkł.

Po chwili księżna dodała:

— Opactwu waszemu, które ksiązę małżonek mój weźmie w opiekę swoją, jeśli mu sprzyjać i modlić się zań będziecie, nada większe ziemie i dochody niż te, któreście od Petrka dostali.

— Modlimy się za wszystkich — odparł opat, schylając głowę — a o łaskę Miłości Waszej starać się pragniemy. Do spraw ziemskich mieszać się nam nie wolno, jesteśmy biedni i słabi zakonnicy.

Na tę rozmowę nadszedł ksiązę, który się dosyć chłodno z opatem przywitał. Widać było, że troskę niósł na sobie wielką.

Małżonka wciągnęła go w walkę tą, której czuł, że nie podoła, — na sercu mu ciążyła, chmurą stała na czole. Nie mógł już o niczem mówić, tylko o tem.

Jak wszyscy słabi ludzie, Władysław, gdy mu na piersi spadło brzemię, dręczył się nieustannie myślą jedną, o niej tylko prawiać ciągle, nawet tym, co go zrozumieć nie mogli i wiedzieć o sprawie nie byli powinni.

Zaledwie stanąwszy przed opatem, rozpoczął natychmiast, jakby opanowany troską:

— Ksiązę opacie! ja tu sam panem być muszę, tak! opór próżny; com rzekł raz, to uczynię.

Opat zdumiony, jeszcze się nie zebrał na odpowiedź, gdy ksiązę pod ciężarem myśli swej, dalej ciągnął:

— Nie cofnę się, nie odmienię postanowienia, albo się poddadzą lub z kraju muszą iść precz!... Tak, tak!

Mnich patrzył nań milezący — Władysław dodał jeszcze:

— Ja wiem! wy wszyscy przeciwko mnie jesteście, jawnie lub potajemnie. Wiem o tem dobrze. Biskupi wszyscy, Pasterz nasz Gnieźnieński, duchowni i wy, mnisi, zbieracie się, naradzacie, knujecie... To nie nie pomoże! Ziemię zwojuję, splądruję, zniszczę i poddać się muszą wszyscy, wszyscy!

— Tak, zniszczę, spalę! — powtórzył groźnie.

— A nad czemże panować będziecie, miłościwy ksiązę? — zapytał opat spokojnie.

— Ludzie się zawsze znajdują — rzekł ksiązę. — Chcecie tu trzymać się i mieć dobrze, ze mną iść i przy mnie stać musicie.

— My, miłościwy panie — odezwał się opat tymże głosem chłodnym — my przy Bogu i ołtarzu stojemy. To sprawa nasza. Panu, jakiego Bóg nam da, wierni jesteśmy, ktoby on kolwiek był. Modlimy się nawet za nieprzyjaciół kościoła i nasze.

— O! ja wiem, wy, wy chytry bardzo jesteście — odparł ksiązę groźnie — chytry jesteście i przewrotni, wy i biskupi wasi, jako baranki się odziewacie, a wilcze kły macie w paszczekach.

Księżna, zdumiona tą mową nazbyt otwartą, popatrzała na księcia, który się przeszedł kilkakrotnie po izbie zadumany.

Wstrzymać jego wynurzania się nie można było, mówił jakby z samym z sobą.

— Za młodsze mi braćmi wszyscy ciągną, nie chcą znać głowy, a ja tu głową jestem. Poślę o to do Papieża, aby duchowieństwu posłuszeństwo nakazał dla mnie. Słuszna rzecz, aby jak jeden Papież jest nad całym chrześcijaństwem, jeden cesarz nad państwem swem, tak i nad temi ziemiami naszymi jeden król panował.

Opat słuchał milezący, ani przecząc, ni potwierdzając.

Wtem ksiązę przybliżył się do niego natarczywie.

— A coście zrobili z Petrkiem? — odezwał się.

— My? nie, bośmy go od nieszczęsnej godziny, gdy pochwycony został, aż dotąd nie widzieli—rzekł opat.

— Dlaczegoż godzinę sprawiedliwości nazywacie nieszczęsną? — pytał ksiązę.

— Bo to była godzina zemsty, a nie sądu, miłościwy panie — odpowiedział opat śmiało.

— Daliście mu przytułek? — zagadnął ksiązę.

— Gdyby go był od nas żądał, dalibyśmy pewno — rzekł O. Anzelm — ale się o to do nas nie zgłosił.

Księżna stojąca przy mężu wtrąciła:

— Już się go nie boimy wcale. Czy mu wyłupiono i paskudny język urnięto; niech się wlecze żebrac i pokutuje za grzechy! Niech ludzie patrzą na sprawiedliwość naszą i widzą, że nie przebaczymy zdrady.

Toż samo i drugich spotkał

Opat odpowiadał tak skąpo i niechętnie, iż się w nim łatwo było domyślać nie bardzo życzliwego słuchacza. Podniósł się wkrótce, obracając do księżnej Agnieszki z pytaniem: czyby mu co do rozkazy nie miała i po co był wzywany?

Agnieszka zmieszana milczała trochę i rzekła dumnie:

— Chciałam wam kilka grzywien kazać dać na ofiarę do ołtarza i relikwii świętych, abyście się za powodzenie oręża pana małżonka mojego modlili.

Sklonił się opat.

— Modlić się będziemy — odparł krótko.

Pożegnał się już i odchodził, gdy Władysław, przeprowadzający go do progu, mruzczał ciągle:

— Nie chcę nieczyjej zguby, ale wymagam posłuszeństwa. Nie ulegnę, na swem postawię, a duchownych do Rzymu skarżyć będę—do Rzymu!

Po wyjściu opata, obrócił się do żony i na drzwi wskazując, rzekł:

— Chytrzy są! Opat się lasi... znam go! Petrkowa żona miłsza mu pewno od samego Petrka! Będzie ją teraz miał! Ho! ho! Chytrzy są bardzo, ale mnie nie oszukają. Ja wszystko wiem!

V.

Stare to, ale święte prawdy słowo, że ludzie się nieszczęściami próbują, jako kruszce ogniem. Co próchnem jest błyszczącym, to spłonie i w popiół się nikiemny obróci, co złotem było, wypłynie strumieniem żłocistem.

Nie darmo Dobek, gdy się na zgubę Petrka zadawał i pochwycić go zamierzał, wprzód starostę Rogera chciał ująć, wiedząc, iż mężem był umysłu nieustraszonego, woli żelaznej, której nie złamać nie zdoła. Nie darmo, gdy oślepiętego Petrka puszczo-no z więzienia, dając mu syna za przewodnika i towarzysza, Rogera starostę nie uwolniono i trzymano pod kluczem.

W ciemnicy, w której siedział z synem Petrkowym, Roger cieszył młodzieńca osłabłego i męstwo mu swe wlewał. Od pierwszej chwili, kiedy mu usta zakneblowano, aż do ostatniej, gdy sam jeden pozostał między czterema murami, odwaga w nim rosła i potężniała. Otuchę miał jakąś, której źródła sam nie znał. płynęła ona z tajemniczych głębin duszy, i każdy dzień mnożył ją, nie ujmował.

Starostą będąc i sędzią, Roger znał tu wszystkich i wszyscy go znali do najmniejszego pacholika na

grodzie. Nie miłowano go tak jak Petrka, który hojną dłońią jednał sobie ludzi, ale pan był sprawiedliwy, nie okrutny, woli niengiętej, gdy domierzał zakon, nie dając się kupić ani płaczem, ani groźbą. Szanowano go więc i litowali mu się ludzie, nawet gdy się do więzienia dostał i popadł w niełaskę u pana.

Stróż sam nosił mu po cichu wieści o tem, co się działo. Wiedział starosta, że oślepieno i okaleczono Petrka, rwał włosy z żalu płacząc, ale coś mu mówiło, iż straszna pomsta spotka prześladowców.

Siedział tak w ciemnicy, niewiele dbając o siebie. Winy mu żadnej nie mogli zadać, krom, że był Petrka znienawidzonego przyjacielem.

Drugiego dnia otworzyły się drzwi. Dobek z dwoma przybocznymi sługami, sam się obawiając do więzienia iść, wszedł powoli i ostrożnie się rozglądając.

Na widok jego Roger, na łożu swem spoczywający, ani się podniósł, ni poruszył.

— No, starosto — Rogerze — odezwał się wchodzący — jam tu do was posłany przez pana, słuchajcie mnie pilno i uważnie. O waszą idzie skórę. Ja tam złego wam nie życzę. Ocalcie się, gdy możecie. Z waszym Petrkiem rzecz na wieki skończona. Wszystko mu zabrano co miał, ale nie znaleziono wszystkiego. Skarby przecie miał wielkie, to wiedzą wszyscy. W domu była ich część tylko, reszta zakopana, albo skryta. Nikt o tem nie może lepiej wiedzieć nad was.

— A wy myślicie, że gdybym wiedział, tobym wam wydał? — zapytał Roger.

— Musielibyscie to uczynić.

— Ani pod gardłem! — zawołał starosta.

— Ja to nie z siebie mówię — rzekł Dobek.

— A choćby mi o to i sam książę powiadał, inaczej mu nie odrzeknę — odezwał się więzień.

— Książę nie tylko to rzekł — ciągnął dalej Dobek — ale gdy mnie tu posyłał mówił mi: Znam Ro-

gera, mąż jest szlachetny i rozumu wielkiego. Powiedziecie mu odemnie, niech już o Petrku myśleć zaprzestanie, bo ten na wieki przepadł, niech mi służy wiernie. Wyniosę go wysoko i nadam mu ziemie wielkie.

— Tak pan rzekł? — odezwał się Roger chłodno — laskawszy więc jest na mnie niż zasługuję, bo ja komu raz druhem a sługą byłem, temu do zgonu druhem a sługą być nie przestanę. Co jego spotka, mnie też. Szczęścia bez niego nie chcę. Wolę pójść żebrać z Petrkiem niż od księcia wziąć najwyższe dostojęństwo. Służby żadnej nie chcę, winy do siebie nie czuję. Puście mnie, nie żądam więcej nic.

Dobek się śmiać począł.

— A któż to tak głupi, żeby molossy na siebie puszczał z łańcucha?

Roger się odwrócił ku ścianie, jakby już dłużej mówić nie chciał.

— Starosto — dodał posłany — dobrze ci życzę, a źle będę zmuszony uczynić.

— Czyń co chcesz — rzekł krótko Roger.

Dobek powstał chwilę, zawrócił się i odszedł.

Na zamku czekała nań księżna, a gdy powróciwszy, o swej rozmowie z Rogerem powiadać zaczęła, łajała go:

— Niezdarne chłopisko, do niczego! — wołała. — Idź mu powiedz, że na gardle karany będzie! Co za człek jest, aby się śmiał nam opierać?

Dobek poszedł raz drugi.

Władysław, który przy tem stał milezący, oburzył się na żonę.

— Dosyć już tych krwawych spraw — rzekł — niemi sobie nieprzyjacioly czyniemy. Roger nie winien nic. Strzymam go tylko.

— A skarby Petrkowe? — wtrąciła Agnieszka. — Mało ci to ich potrzeba na wojnę? Zkądże weźmiesz?

Wszczynał się spór między księżną a mężem, gdy Dobek wrócił, ale z głową opuszczoną, zniechęcony.

— Cóż ten człek?—spytała Agnieszka.

— Co? Mówi, aby go wiedziono na stracenie — rzekł Dobek.

— A ja go tracić nie dam!—zawołał książę.

— Cóż mówi o skarbach Petrkowych? — odezwiała się pani.

— Powiada, iż o nich nie wie i dodaje: Chcecie, abym się o nich dowiedział, puście mnie, pójdę szukać.

— Puścić? nie!—wtrącił sam książę—przepadnie i nie wróci. Życia mu nie wezmę, ale nie puszcę.

— Niech przynajmniej okup da—odezwiała się księżna.—Naznaczyć, ile ma dać grzywien, a potem niech z lichem idzie!

Znowu spór się potoczył długi o okup i grzywny. Władysław uległ. Agnieszka liczbę naznaczyła.

Posłano Dobka do więzienia po raz trzeci.

Za każdym razem poseł śmielszym więźnia znajdował, tak że zuchwaństwo jego niepojęte odejmowało Niemcowi śmiałość i odwagę. Gdy go raz jeszcze wchodzącego zobaczył Roger, podniósł się na łożu, spierając na łokciu.

— Cóż tam jeszcze? co?—zawołał szydersko.

— Macie dać za siebie okup: pięćset grzywien — rzekł Dobek.

— I pięciu nie mam!—śmiejąc się odezwał starosta. — Com miał, toście wy sami we dworku owej nocy zagrabili. Ale dla pieniędzy sobie skóry zdierać nie dam; przeto postaram się o okup, ino puście mnie... W lochu go nie znajdę. Mam rodzinę i przyjaciół.

— Chyba dziesięciu znajdziecie, co za was ręczyć staną—rzekł Dobek.

— Zaręczę i dwudziestu, gdy będzie potrzeba — mówił Roger.—Dajcie tylko znać ks. Janikowi.

Tak nareszcie skończyły się układy, bo starosta dłużej mówić już nie chciał. Ze względu prawie

ohchodząc się z posłem, odjął mu też ochotę i śmiałość; Dobek rad był skończyć z nim co rychlej.

Oboje księżtwo pobyt w Wroclawiu znużeni byli, chcieli powracać do Krakowa, dla pilnych spraw około wojny, a tu Roger jeden ich trzymał. Książę kapelana swego wyprawił do ks. Janika.

Spodziewano się rychłej odpowiedzi, tymczasem drugi już dzień upływał, a biskup milczał. Niecierpliwiła się księżna, wysyłając coraz na zwiady, gdy oznajmiono, że biskup na zamek jedzie.

Jechał w istocie mężny człek, ale nie sam. Zwołał do siebie przedniejszych ziemian i umiał ich przekonać, że obowiązkiem jest stanąć za tym, który bratem ich był, a marnie i niesprawiedliwie miał ginąć.

Sam swoim przykładem ich ośmielał, bo pierwszy poręczyć był gotów. Gdy na zamku zbliżający się orszak ujrzano, książę i żona jego zafrasowali się.

Okazywała się znowu moc i władza duchownego, który na jedno zawołanie więcej ziemian zgromadził, niż książę ich widział u siebie przez ciąg pobytu swego we Wroclawiu.

Jechali wszyscy na zamek jakby umyślnie z przeplechem, gromadnie, zbrojno, postrojeni, otaczając Pasterza swojego, dwór dlań świetny tworząc i okazując, że go uznawali głową swoją.

Trzeba było iść u drzwi witać biskupa, co też ks. Władysław uczynić musiał. Biskup, pół-rycerz, zawsze się tak stawiał księciu, jakby do równego sobie przybywał, nie zlekniomy, nie uniżając się, błogosławiąc dokola. Ode drzwi posunął się dalej przodując dumnie, za nim ziemianie liczni, wszyscy w milczeniu nroczysem.

Począty i ludzie całe podwórza zajmowali.

— Zezwoliliście, miłościwy książę—odezwał się biskup wszedłszy do środka—abyśmy za starostę Rogera złożyli porękę. Otóż, niesiemy ci ją. Daję ja moją, daję nie dziesięciu, ale dwudziestu ziemian, za

to, że Roger słowo rzecze, na naznaczony czas stać się będzie. Człowiek jest prawy, a słowo jego nie rdzewieje.

Agnieszka przytomna, cofnęła się, nie śmiejąc odzywać i mieszać do sprawy; książę, który nawykłym był nie bez niej nie czynić, zwrócił się i teraz ku niej. Dała mu znak gniewny, aby się jej nie pytał.

Aż nadto już mówiono o jej wpływie na męża, zdradzać się z nim nie chciała.

Książę musiał stanowić sam, nie mając znikąd pomocy. Spojrzał po ziemianach, stali jakoś chmurni i nasepieni, czytał niemal z wejrzeń ich, że za Petrka nań gniewni byli.

— Otoczony jestem zdrajcami! — odezwał się, ręce rozpościerając szeroko — nikomu wiary dać nie mogę. Bronię siebie i praw moich. Roger z tym nikiżemnym zdrajcą za jedno trzymał.

— Miłościwy książę, przebaczenie! — przerwał biskup — my Petrka za zdrajcę nie mamy. Bogu rachunek z tego zdawać przyjdzie.

Nie rad z obrotu rozmowy, książę wyzywająco popatrzał na ziemian, aż krewny starosty Rogera, którego Leszkiem Wdałym zwano, odezwał się:

— Przysłaliśmy tu ręczyć za brata naszego Rogera i porękę za niego wszelaką dajemy.

Wszyscy ręce zgodnie podnieśli.

— Dajemy! dajemy! — zawołali.

Biskup też prawicę wyciągnął.

— Ja z wami!

Ks. Władysław, nie wiedząc co czyni, skinął na Dobka, który stał we drzwiach z tyłu.

— Weźmij go z więzienia i tu go przywiedź — rzekł.

Nastąpiło długie milczenie; czekali, coraz się na drzwi oglądając. Znali wszyscy starostę jako męża w sile wieku i urody, któremu postawy i oblicza zazdroszczono, — nosił się więc, wiedząc o tem, że urodziwym był, zawsze czysto i strojno. Gdy teraz się

w progu ukazał, wprowadził na bucie i postawie nie stracił, lecz — zaledwie go poznać być można, tak niewola go brudem swoim okryła. W odzieży poszarpanej gdy go wiazano, z włosami spletanymi, szedł jeszcze tak dumny, jakby złotogłowy na sobie dźwigał.

Obejrzał się wkoło; przyszedł naprzód ucałować rękę biskupa, który go pobłogosławił; pokłonił się potem księciu. nareszcie oczyma wyszukawszy Agnieszkę, wzrok w nią wlepił tak straszny i groźny, że się przed nim z mimowolnym krzykiem przestrachu cofnęła.

W wejrzeniu tem co było zemsty, grózb, gniewu z całego człowieka się zebrało i oczyma wytrysnęło. Oczów już nie spuszczał z niej i zabijał ją tym wzrokiem.

— Daję wam wolność, abyście za siebie okup zebrali — odezwał się książę cicho. — Ręczę za was dostojni ludzie. Idźcie z niemi, a powracajcie na czas z okupem, bo was znajdę i pod ziemią.

Roger wysłuchiwał pańskiego słowa spokojnie, wzrok ciągle topiąc w Agnieszce, która w końcu, nie wytrzymawszy go, za męża się ukryła strwożona.

— Miłościwy książę — rzekł — ja i bez rękojmi dawszy słowo stawilbym się w słowie, bo je więcej ważę niż życie.

Pokłonił się. Biskup też dziękować zaczął, ziemianie za nim, a że do czynienia nic więcej nie pozostało, jeli się zaraz żegnać.

Roger stał przy biskupie, oczyma jeszcze szukając ofiary swojej, ale Agnieszka wymknęła się niepostrzeżona.

Zaledwie biskup odjechał, gdy do izby wróciła niespokojna. Książę ją jeszcze nigdy tak wylekła nie widział.

— Co ci jest? — zapytał.

— Wzrok tego człowieka! tej zmił! — zawołała. — Puściliśmy go na zgubę naszą. Widziałeś jego oczy! ślepie zwierza wściekłego! Żaden człowiek tak

nie patrzy, chyba wąż gdy zwierzę chce struchlałe polknąć.

Książę się przeżegnał.

— Nie mogłam wytrzymać tego wzroku—dodała Agnieszka. — Nieprzyjaciół dosyć mamy. Biskup przyszedł za nim, ziemianie ręczyli.

Agnieszka, która nie płakała nigdy, chyba z bezsilnego gniewu, poczęła szlochać, rękami obiema zakrywając sobie oczy. Książę nie wiedząc jak ją uspokoić, wyszedł, rozkazując Dobka jej ślać, który sam moc miał nad nią. Lecz, gdy się ukazał, precz mu iść kazała, wyrzucając to, że wszystkim więźniom, gdy w jego mocy byli, życia nie wziął.

— Człek ten nas zgubi, będzie nieszczęścia naszego przyczyną!—wolała.

Nie było co już czynić z niewiastą prawie oszalałą! gdyż żadne słowo przeciwko jej trwodze nie mogło nie.

Nazajutrz sposobiono się jechać do Krakowa. Dwór zrana wyciągnął w drogę, a księżnę wieziono na pół chorą z wielkiego niepokoju i gniewów. Dawała coraz nowe rozkazy, wołała i odpędzała ludzi, płakała i groziła.

Po drodze z wieściami się złemi spotykano. Książę Władysław, który był pewien, iż wszystko mu poddawać się musi, opór znajdował na każdym kroku. Trwoga pogan po kraju rozbiegłych i płaczących, nie tylko nie pomogła, ale wszystkich przeciw księciu jednoczyła. Oddziałami całemi ciągnęło rycerstwo do Poznania i Płocka, do młodszej braci. Jechali do nich zbiegając ziemianie, mocniejsze grody otwierały im bramy, z murów na wezwanie Władysława odpowiadając, że mu się nie poddadzą.

Wojna więc była nieuchronną, wojna straszna, z braćmi własnymi, z duchowieństwem, które przy nich stało, z ziemianami, ze wszystkimi. Z Czech i z Węgier spodziewali się posiłków uciśnieni.

Do tej wojny zajadłej, choćby siły miał w pięści ks. Władysław, w piersiach mu jej brakło.

Odgrażał się chwilami i miotał, to znów narzekał na Agnieszkę i sam na siebie, że podjął walkę. Księżna i Dobek dawali rozkazy, szli z niemi Niemcy, ziemian, nawet krakowskich, przy księciu tak jak nie było. Uchodzili, kryli się wszyscy. Duchowieństwo klątwami groziło. Położenie coraz stawało się niebezpieczniejszem.

Książę wątpił czy mu podoła, ale żona pchała go dalej na zgubę, nie chcąc słyszeć o niczem innym prócz pogwałcenia upornych.

Z Krakowa miano wysyłać natychmiast do Cesarza, z prośbą nową o pomoc i poparcie.

Przez całą drogę niepokój rosł, w Krakowie też nie lepiej stało. Zamek był prawie bez załogi, na biskupstwie nikogo.

Drugiej nocy po przybyciu do Krakowa, opowiadają wiarogodne kroniki, królowa w nocy, ze snu zerwała się przestraszona.

Wbiegła wprost do męża, który głębokim snem ujęty, odpoczywał. Ks. Władysław uląkł się niemal ujrawszy ją z włosiem rozpuszczonym, łzami zalaną, drżącą. Chwycił za oręż przy łóżku wiszący i małą tarczę, sądząc w pierwszej chwili że napad jakiś niespodziany zamkowi zagrażał. Księżna przypała płacząc.

— Al sen—wolała—miałam straszliwy. Śnił mi się ów z oczyma wilczemi Roger—patrzący na mnie tak jak patrzył na zamku we Wrocławiu.

Stałam we śnie w izbie mojej, nowe próbując obowie, gdy wpadł człek ten straszny, i nagle obowie mi zdarł z nóg, zostawując bosą.

Stara Regina, którą obudziłam moim krzykiem, zaraz mi sen wykladała i rzekła to, co ja sama czuję, że Roger ten zgubi nas i ze wszystkiego wyzuje.

Pocoście go wolno puścić! Gonić go, łapać, chwytac trzeba, ślać za nim i głowę mu odjąć—gło-

wę! Inaczej spełni się mój sen straszliwy na mnie, na tobie, na dzieciach naszych.

Gdy tak płakała i zanosila się, książę strwożył się mocno, i wstał na ludzi wołając.

Wyprawiono, nie czekając dnia, do Wrocławia ażeby Roger stawiał się na dwór książęcy. Szczęściem, Starosta przyjaciół miał wszędzie, nim urzędnik Władysława wyruszył po niego, wyprzedzając go, pobiegł już przodem ktoś inny oznajmić Rogerowi, aby się stawić nie ważył w Krakowie, gdyż tu na życie jego czychają.

Dziwnie się bowiem działo na tym dworze Władysława i Agnieszki. Panowali oni jeszcze i rządili, a rozkazywali, owszem kusili się o panowanie nad wszystkimi udziałami, a nie widzieli tego iż otoczeni byli niechętnymi, którzy sprzyjali młodszej braci i gotowi byli jej pomagać.

Dobek i garstka Niemców składająca otoczenie Agnieszki ślepa była na to co się pod jej oczyma knowało, nie słyszeli nic, albo nie rozumieli. Wierzyli oni w moc swoją, gdy polski dwór Władysława, urzędnicy i ziemianie trzymali z biskupami, a książęty młodszymi i temi co z niemi byli. Petrek i Roger mieli tu przyjaciół gorących, co odzywać się za niemi nie śmiejąc, robili co mogli by im iść w pomoc. Słuchano rozkazów książęcych pozornie, ale ufano w to, że wszystkie te wysiłki na nic się nie zdadzą, a dumna znenawidzona Niemka precz iść będzie musiała.

Gdy w nocy wielka na zamku wrzawa się wszczęła z powodu snu, o którym mówili wszyscy, zrozumiano zaraz, że wykład sam groził Rogerowi, popędził wnet posłaniec tajemny oznajmić mu, ażeby się skrył zawczasu.

W kilka godzin dopiero potem, wybrał się opieszale i niechętnie, wyprawiony do Rogera, urzędnik, który miał naglić do powrotu, ale już niebezpieczeństwa nie było, bo musiał być wprzód ostrzeżonym.

Wszystko tu teraz w ten sposób się działo, bez-

ład panował największy i zaślepienie razem. Dwór niemiecki odgrażał się i już zwycięstwo swe myślał wyzyskiwać, gdy dni jego były policzone. Nie było tajemnicy na zamku, któraby natychmiast wyniesioną z niego nie została, nie było postanowienia książęcego, o któremby wprzód nie wiadano, nim je ogłoszono.

Roger uwolniony za poręką, bawił na biskupim dworze, nie bardzo pilno zajmując się zbieraniem okupu swojego. Natomiast jątrzył umysły i do zemsty wołał za krzywdę wyrządzoną Petrkwowi.

Gdy ks. Janik pytał go, dla czego nie zbiera grzywien.

— Albo to o grzywny idzie? — odpowiadał Roger przejęty żalem — ani o mnie ani o okup mój gra się tu tyczy, ale o to by niebożnego Kaina na żywot braci nastającego, wygonić precz! Jakem żyw że się to stać musi i że się to stanie! A dopóki tego nie uczynimy, o sobie myśleć się nie godzi.

Bił się w piersi i przysięgał...

— Nic mi się nie stanie — mówił ostrzegającemu go biskupowi — chodźć będę bezpieczny, a oni padną i pójdą precz. Niewinna krew Petrkowa pomszczoną zostanie.

W kilka dni Roger samotrzec na koń siadł, nie było go przez dni kilka, a powróciwszy na dwór biskupi rozповідаć nie chciał dokąd i poco jeździł gdzie był i co robił. Pytających zbywał nie znaczącymi półsłowami.

Powrócił wieczorem gdy biskup już spał, naza jutrz rano pójechał; konie zmieniwszy. Nie było go znowu. Przyjechał czasem na godzinę w nocy, wyjeżdżał rano, nie opowiadając się nikomu.

Biskup powiadał wszystkim, że jedzie zbierać grzywny, o które niełatwo.

Gdy znowu się na chwilę ukazał, ks. Janik powołał go do siebie.

— Co ty sobie myślisz, Rogerze? — zapytał —

upływa dany ci czas, masz ty już potrzebne grzywny, czy jeszcze ci ich do liczby braknie?

— Ojcie mój—gdybym je nawet miał — odparł Roger—nie myślę niemi chciwego ich gardła zapychać, ja nie grzywny ale ludzi zbieram! Nie tań się z tem przed biskupem, że dla młodych książąt ścigał posiłki i ziemian do nich posyłał. Właśnie czasu tej rozmowy, nadbiegł z Krakowa usłużny człek z powieścią o onym śnie z trzewikami królowej, dla którego miano Rogera do Krakowa ściągnąć, aby mu tam życie odebrać.

Starosta zamiast ustraszyć się, swoim zwyczajem zaczął się śmiać pogardliwie i przedrzwiewać.

— Ale nie mi nie zdołają uczynić! Bóg nie dopuści.

Biskup się pogniewał nań.

— Człeczce zuchwały — zawołał — ale któż ci tę obietnicę Bożą oznajmił? Zbytek ufności jest też szaleństwem i grzechem. Masz przykład na Petruku, że ostrożnym być potrzeba.

— Ojcie mój — odparł Roger podnosząc ręce ku niebu z niewymownym zapalem, który i biskupa zdumiał.—Ja nie wiem, kto mi w duszę wlał to bezpieczeństwo, które w sobie czuję — aliści taką mam pewność, iż mi się nie stanie, że w ogień bym skoczył, pewien będąc, iż się nie spalę.

Nad wieczorem Szabron z Krakowa przybiegł od księcia z rozkazem, aby Roger natychmiast do dworu się stawił. Komornik ten pański, choć się liczył do Władysławowych sług i zaufanie jego miał, tak jak wszyscy inni prawie, dla Agnieszki i Niemców niechętnym był księciu.

Posłał go biskup do siebie wzywając, bo i Roger się tu znajdował. Opowiedział Szabron z czem go posłano, ale gdy się obejrzał potem że nikogo, oprócz biskupa i Rogera nie było, natychmiast zmienił mowę.

— Niechaj was Bóg uchwowa, panie starosto —

rzekł, abyście rozkazowi temu zadość uczynili, bo wam niechybnie głowa z karku spadnie. Czekają na was siepacze. Ukryjcie się gdzie, dopóki ta plucha nie przeminie, aż nasza pani ochłonie. Długo to nie może trwać. Bóg da.

Roger go uściskał.

— Miły Szabroniu—odezwał się wesolo—otom taki głuptaczek, iż pojedę, głowy nastawię, a nie zrobią mi nie! Nie!

— A któż was obroni? — spytał zdziwiony Szabron.

— Sam nie wiem — rzekł Roger—tylkom tego pewien, że oni mi nie uczynią nie. Niedoczekanie ich.

— Dla czego?

— Taka jest wola Boża!

Biskup usłyszawszy to, znowu go karcieć począł, ten szedł mu ręce całować, zaklinając, aby go puścił i powtarzając swoje.

— Nie uczynią mi nie!

Zdumiewali się wszyscy tej pewności i bezpieczeństwa jego, która się im zaślepieniem wydawała.

Biskup szczególnie, że był tak surowy i charakteru żywego, karcieł go ciągle za grzech mu poczytując tę zabobonną wiarę w siebie. Stało wreszcie na tem, po długich targach z ks. Janikiem, że pod błogosławieństwem zakazał Rogerowi, aby się z miejscą ruszyć nie śmiał bez archidyakona Roberta, którego mu od siebie dodać postanowił.

Ks. Robert, któregośmy już widzieli, Włoch rodem, oddawna już w Polsce przebywał; człek spokojny, bystry, przezorny, uczony, wielkiej powagi. Ten tak chłodnym był i rozważnym, jak starosta gorącym.

Biskup się nim w najcięższych posługiwał sprawach, była to jego prawa ręka, doktor praw, do pióra dzielny, w księgach i dekretach biegły zastępował Biskupa tam, gdzie on prędki często, unoszący się, ducha wielkiego, byłby swą żywością sprawę

kościola naraził. Nawzajem dobrego serca ks. Janik goił rany, które zbytnia surowość i ostrość ks. Roberta zadawała. Kochali się i byli sobie potrzebni.

Ciężko było dnia jednego ks. Janikowi bez tego pomocnika się obejść, bo czy prawo tłumaczyć, czy duchowieństwo poważnione godzić, czy wiernych karcić przychodziło, ks. Janik sercem to czynił, a głowy szukał u ks. Roberta.

Odpuścić go od siebie źle było Biskupowi, ale tu szło o życie drogiego na ową chwilę człowieka, który, gdy Petrka nie stało, sam był jeden jeszcze, co mógł coś z ziemianami począć i nad nimi miał przewagę. Potrzeba go było ratować.

Ks. Robert jechał był gotowym, a Szabronia obdarowanego wyprawiono przodem z tem, że Roger w ślad za nim podaży.

Po Mszy świętej, którą ks. Janik sam na tę intencję odprawił, ruszyli podróżni do Krakowa. Na wyjeździe jeszcze musiał starosta dać Biskupowi słowo, że bez ks. Roberta nie uczyni i posłuszny mu będzie. Dopiero go puścił Biskup.

Gdy się już do stolicy zbliżali, nakazał archidyakon staroście, aby twarz kapturem i chustami osłonił tak, aby poznanym być nie mógł. A że na posłuszeństwo słowo dał, choć z wielkim wstrętem uczynić to musiał. Do miasta go też nie wwiózł ks. Robert, ale do znanej gospody na przedmieściu u człowieka ubogiego, którego wierności pewni byli. Tu ksiądz, jak w więzieniu zamknął starostę, zakławszy go, aby bez pozwolenia krokiem nawet w ulicę się nie ruszał. Roger narzekał wielce, wyrwał się, bo miał i męztwo wielkie i ochotę stanąć z księciem oko w oko, ale słowo go wiązało.

Sam więc archidyakon pojechał ztąd na Biskupi dwór jawnie, i tam stanął, a nazajutrz rano odziewszy się obrzędowo, jak do księcia wypadało, na zamek jechał. Poznano go zaraz, że z Wrocławia

wia był, domyślając się już co wiezie i Dobek w progu niemal nagle poczał:

— Gdzie starosta?

Ks. archidyakon zbywszy go milezieniem, do księcia wprost oznajmić się kazał, nie chcąc z Niemcem wchodzić w rozprawy. Gdy o nim dano znać Władysławowi, wyszedł z kilku panami swemi na spotkanie. Księżna uwiadomiona o przybyciu, nie ukazując się, za zasłoną skryta, przysłuchiwała się rozmowie.

— Przynoszę Miłości Waszej—odezwał się archidyakon do księcia -- pokorne służby Pasterza naszego, ks. Janika. Przybywam od niego z prośbą za starostą Rogerem, który okupu jeszcze zebrać nie mógł, ale niebawem już cały mieć będzie i wypłaci. Pasterz miłości waszej o cierpliwość prosi.

— A gdzież się starosta sam znajduje?—spytał ksiądz.

— Za okupem jeżdżąc, po grzywnie od przyjaciół i krewnych ściągając, sam stawić się nie mógł, ale Pasterz nasz ręczy zań, poręczyli panowie — będzie się stawił, gdy zbierze.

— Więcej niż okupu ja tu osoby jego żądam—odezwał się ksiądz.— Nie przestał niespokojny matacz Petrka swego oplakiwać, a mnie nieprzyjaciół robić. Nowe na nim winy są, powinien się stawić na sąd mój.

Ks. Robert nie chciał ani uniewinniać, ni o tem rozprawiać.

Pasterz nasz—rzekł—ręczył zań, więc i za osobę jego, że do sądu książęcego stawić się będzie.

To powiedziawszy poczał ks. Robert szeroko, uczenie i wymownie dowodzić jaką rękojmnią było słowo dostojnego pasterza, zapewniając, że w nim wiarę nieograniczoną pokładać było można. Archidyakonowi, jako wielce wymownemu, ksiądz sprostac nie mógł, spletał się, nie wiedząc jak miał odpowiadać i w końcu nie dając już się sobie sprzeciwić, wolę

objawił stanowczą, aby Roger mu się stawiał w Krakowie.

Na tej rozmowie spłynęło czasu dosyć, a gdy posłowie jacyś przybyli i oznajmiono o nich, musiał archidyakon ustąpić, tak jak nie nie sprawiwszy.

W progu już odchodzącemu książę powtórzył, że nie okupu chce, ale samego człowieka; a zresztą jednego lub drugiego natychmiast musi mieć.

Z tem powróciwszy archidyakon na biskupstwo naprzód, nocą, pokryjomu przekradł się do starosty, który jak niedźwiedź na łańcuchu rwał się niecierpliwy chcąc z niewoli tej wyswobodzić. Upierał się koniecznie sam stawać i bronić swej sprawy.

— Ani mi się waży! ani myśl! — zawołał ks. Robert. Ja tego nie dopuszczę! Jutro raz jeszcze pójde na Zamek i spodziewam się u księcia otrzymać ulgę, zwłokę. Uchowaj Boże obstanie przy okupie, raczej pożyczę i złożę grzywny, niż wam pozwolę iść na pewną zgubę.

Roger ciągle rwał się niespokojny.

— Ojcie miły! ojcie kochany! Na rany Chrystusowe zaklinam was, okupu nie dawajcie. Ja się ani kryć, ani uciekać nie potrzebuję, ani płacić, jak mnie tu widzicie żywego, stojącego przed wami. Nie mi nie zrobić! Nie ja będę uciekał, ale on! on! co oślepił i okaleczył biednego Petrka, co czyha na życie braci.

Archidyakon znowu te zuchwale słowa usłyszawszy, kazał mu milczeć i zabronił wychodzić, zgromiwszy mocno.

Starosta narzekał, oburzał się, lecz słuchać musiał.

Nazajutrz archidyakon poszedł na zamek do księcia raz jeszcze. Rzeczy tu przez noc zmieniły się.

Ks. Agnieszka i jej pomocnicy zrozumieli, że zbyt wiele wrzawy ze swym snem i groźbą uczynili, że Roger ukryć się musiał nastraszone i ujsć im może. Postanowiono więc dobroć i łagodność udawać, aby twogę rozproszyć, i starostę ściągnąć, uspokoiwszy;

ks. Robert rozpoczął od wstawiania się za starostą do księcia, na co mu ten odpowiedział.

— Biskup i ziemianie ręką więc i nadal za starostę?

— Najuroczyściej mi zlecono porękę ponowić — rzekł ks. Robert — ks. Janik ręki i ziemianie też, na wszelki sposób.

— Odmawiać więc im nie mogę, i nie chcę — odezwał się ks. Władysław — okrutny nie jestem nawet dla winowajców, przedłużę czas. Gdy ten nadejdzie aby mi się z okupem i z pokorą nieodmiennie stawiał.

Musiał na wszystko zgodzić się archidyakon, a że skryptu pod pieczęcią żądano, która archidyakonowi wraz z kancelarstwem biskupiem powierzona była, dał porękę na piśmie, opisując czas na jaki starosta stawieć się był obowiązany. Książę, okazując się dlań wielce łaskawym, zatrzymał go potem jeszcze, namawiając aby biskup z panem swymtrzymał i był mu pomocnym.

W czasie tego posiedzenia nadeszła i księżna Agnieszka z żalami na duchownych i ziemian, pragnąc sobie widocznie archidyakona pozyskać. Przedstawiała mu po niewieściemu żywemi malując słowy, iż opór próżny był przeciwko takiej sile jaką książę miał z Rusi, od Cesarza i z ziem własnych.

Ks. Robert słuchał, nie przeciwiał się wcale — milczał.

— Proście za starostą — dodała — który powiernikiem był i przyjacielem serdecznym tego zdrajcy Petrka; a wiecież o tem, że ślepiec ten wprost z synkiem do książąt, do Płocka pociągnął i tam zewsząd na nas siły ściągają, do buntu namawiają. Starosta taki zdrajca jak oni, trzyma z niemi.

— Nie wiem, co się z panem Petrkiem stało — odpowiedział książę — lecz, gdyby oślepiiony i ze wszystkiego ogołocony dostał się tam, nie wiele może szkodzić komu.

— Starosta pewnie też do niego poszedł lub przedrzeć się myśli — mówiła pani — znamy tych ludzi.

— Biskup nasz ręczył zań — odparł archidyakon — więc mu się oddać nie da.

Na zamku krakowskim, gdy go ks. Robert opuszczał, bardzo już wojowniczo wyglądało, stały pułki całe na podzameczu, oddziały wyprowadzono na grody, wojska się poruszały, Ruś i Polowcy zajmowali ziemie dalsze i posuwali się dla połączenia z wojskami książęcymi.

Ks. Władysław sam zbierał się iść z ostatnimi i wybranymi swymi ludźmi; ale co było jeszcze przy nim ziemian i rycerstwa, chodzili wszyscy jak obumarli z żalości i wstydu, ręce łamiąc.

Niemcy tylko radowali się, że już wkrótce z panią swą państwem całem zawładną.

Starosta, chociaż z dworku, w którym go ukryto nie wychodził, chociaż tu mało widzieć mógł, od gospodarza nasłuchawszy się co się działo, kipiał z gniewu.

Gdy archidyakon na ostatku, zakapturzonego znowu wydobył z kryjówki, zaraz za Krakowem ze dwojgiem ludzi, pożegnawszy go, ruszył w świat, nie chcąc powiedzieć dokąd ani poco. Musiał mu tylko słowo dać, że nazad do Krakowa nie powróci i zuchwale się nie będzie stawiał księciu.

Pilno mu tak było na swobodę się wyrwać, że rozstawszy się ze swym opiekunem i przewodnikiem w czwał, bez drogi puścił się na lasy, jakby jednej chwili do stracenia nie miał.

Całując rękę archidyakona, rzekł tylko półgłosem.

— Pomszczę Petrka mojego, albo sam żyw nie będę!

VI.

Staruszek ks. Marcin, któremu się dostało biedną niewiastę z córką wieźć do Komorowa, przez lasy i pustynne drogi, nie małą miał z nią i o nią troskę.

Petrkowa, rodu książęcego pani, o czem nigdy zapomnieć nie mogła, nawykła do tego, że jej długo wszyscy pokornie bili pokłony, od męża począwszy, który ją dla piękności jej miłował wielce; nie-szczęście znosić wcale przygotowaną nie była.

Rozpieszczona od losu, przez męża i obcych, piękna niewiasta stała nadto wysoko, aby jej kiedykolwiek przez myśl przejść mogło, że ją podobny los spotka — ubóstwo, wygnanie, trwoga o los męża, dzieci i własny.

To co się z nią stało teraz, długo się jej snem i zmorą jakąś wydawało, tak, że, gdy się z prawdziwego snu budziła, obejrzawszy się do koła, na swą nędzę i sieroctwo, rozmdlewała się we łzach nieustannych i narzekaniu.

Naówczas to, mleczące zwykle, słabe dziecię, co same jak powietrzne widmo wyglądało, jak ze mgły stworzona Rusalka, stawało się silniejszym i mężniejszym od matki. Cieszyło ją, pieściło, tuliło, tak samo jak niegdyś pieszczonem było.

Ks. Marcin, nawykły mieć do czynienia z prostym ludem, na wszystko zahartowanym, co godzina na nowo dziwić się musiał powracającej słabości matki i sile dziecięcia, a boleć nad niedolą tych istot, które do niej stworzone nie były.

Dla nich stokroć sama śmierć znośniejszą była nad te męczarnie przedłużone. Za nią uśmiechało się im niebo, tym bólom nie było ulgi i końca.

Dunin T. II.

Dziwiło pobożnego staruszka i to, że owa niewiasta, która o losie męża nie wiedziała — nie tyle się nim trwożyła, co o siebie i o dzieci. Wspomniała czasem — Petrika, ale zawsze z narzekaniem nań, że on zuchwalstwem swem i zbytnią śmiałością księcia obraził, że upierając się przy swem na niewinną rodzinę ściągnął pomstę i zgubę.

Nie tyle bolała piękna pani nad nim, co nad losem własnym, wspominając wciąż złociste teremy, ciche ustronie, w którym się chowała; przeklinając przeznaczenie swe, co ją w te obce rzuciło kraje.

Lecz, że zarazem dosyć pobożną była kniehinia Marya, książdz Marcin słowem Bożem ją uspokajał, modlitwy odmawiając krzepił, pieśniami świętymi zabawiał.

Z początku chciała koniecznie wiedzieć dokąd ją wieziono, i ks. Marcin nie rad był tać tego przed nią, ale po rozwadze, zbył ogólnem upewnieniem, iż na zamku, do którego jadą, bezpieczną być może, byle się z sobą nie wydawała nazbyt, kim była — aby ztąd po ludziach głosy o niej nie poszły. Nie tań i tego, że gród był choć zamożny, niewytworny, a życie w niem proste.

Nie w smak to było, nawykłej do życia wygodnego pani, iż w tem schronieniu, jak je opisywano, nie znajdzie komnat jasnych, ani przepychu domowego, pocieszała się tem tylko, że wprędce wszystko to złe skończyć się musi.

Gdy się już do Komorowa zbliżali, a wokolicy żadnego niebezpieczeństwa dla podróżnych nie było i samych ich z ludźmi mógł ks. Marcin pozostawić, na godzinę wprzód pojechał na zamek do Jaksowej, oznajmić jej o gościach.

Czleka zostawiwszy pewnego przy wozach, sam starowina, jak był nawykł różnie się włóczyć po świecie, chabet'a z wozu wyprzągłszy, pomimo nóg nabrzękłych i bolących, siadł nań i przodem pokłusował.

Tu go tak znano, że, gdy się tylko u wrót pokazał, wnet mu je otworzono, a stara Jaksowa, odziana tak, jak zwykle, na pół po mężku, pół po niewieściemu, wyszła sama na spotkanie.

Zdala się już, a naprzód o swojego jedynaka pytała, bo go miała na myśli.

— Nie wiecie, nie wiecie, co się z nim dzieje?

— Złego mu się nie stało nic — rzekł ks. Marcin — a próżnować nie może, kiedy wszystkie ziemie goreją! Swoich braci w ogniu odstąpić ich mu się nie godzi.

— A zkad jedziecie? — pytała stara.

— Ze świata dalekiego — rzekł ks. Marcin — co pytaacie? dość wam wiedzieć żem nie sam, że ocалony od dziczy i pogan, którzy wszędzie plądrują i w niewolę biorą, niewiastę znacznego rodu z córką prowadzę wam. Musicie ją tu przyjąć dla miłości Chrystusowej.

Skrzywiła się stara pani.

— Al! zawołała — zaprawdę wolałabym dziesięciu mężczyzn hodować i karmić, niż jedną niewiastę! Rozśmiał się na to ks. Marcin.

— Daremna rzecz — rzekł — wyboru nie macie, co Bóg dał przyjąć potrzeba. Pani jest wielkiego rodu, książęcego, trochę z nią zachodu mieć będziecie. to prawda: bom ja w podróży próbował, że niełatwą jest, ale co się nie czyni dla miłości Chrystusa Pana?

Jaksowa załamała ręce i zafrasowała się mocno, sposępniała.

— A któż ona jest? kto? — poczęła dopytywać.

— Nie pomoże wam nic wiedzieć o tem i nie potrzeba — odparł ks. Marcin. — Tyle mi tylko powiedzieć polecono, iż ks. Pasterz nasz, Janik żąda od was abyście jej przytułek dali, czuwali, doglądali, a swego czasu sowiec się to nagrodzi. (Tak mu zlecili mówić Benedyktyni, choć ks. Janik o schronieniu tem nie wiedział). Obraziła się Jaksowa niezręcznem słowem.

— Jakbym to ja za miłosierdzie nagrody potrzebowała?—zawołała.—Cieżar to będzie wielki, bo cudzy w domu, to swój z nim już jakby obcym był, A—co robić? izbę jej dam, chleba nie pożałuję, zresztą niech się sobie cieszą jak mogą. Ja mam i tak na głowie dużo, do snu im śpiewać nie będę.

Rozmawiali jeszcze w podwórku, gdy wozy i ludzie z Petrkową, na gród wyjeżdżać zaczęli. Nawykła do wód, do gmachów jasnych i przestronnych Petrkowa, gdy z wozu przypatrując się dokąd ją przywieziono, postrzegła nędzne na pozór zabudowania, a przede drzwiami niewiastę dziwną, na pół po mężku odzianą z twarzą surową i nie miłą, zdało się jej jakby ją do więzienia wtrącić miano i szlochając oczy sobie zakryła.

Stara Jaksowa wzrokiem bystrym cisnęła na dwie przybyłe i oko jej napotkało piękną Błogosławę, nie mogąc się od niej oderwać.

Co się w niej zbudziło na widok tego dziecięcia, które się około matki rozpadało, tuląc ją i starając uspokoić—Bóg jeden wie—lecz serce się poruszyło, liłość ją zdjęła i, zawachawszy się nieco, poszła sama do wozu pomagać, aby z niego na pół omdlałą wysadzono.

Nie rzekła i słowa na powitanie, ale silną rękę przyłożyła się nie wahała, gdzie jej było potrzeba. W milczeniu poprowadzono ją do najlepszej izby, tu trzeba było pokładać zaraz na pościeli, bo z sił opadała od wielkiego płaczu i żalości. Córka kląkszy przy niej, zimne jej ręce ogrzewała, przytulała do siebie, kołysała jak dziecinę.

Postała nad niemi chwilę stara Jaksowa, popatrzała nie mówiąc nic, a, choć nie dla nich czynić nie obiecywała księdzu, zakrzatnęła się z pomocą i posługą, nietyle może dla słabej niewiasty, co dla dziewczeczki biednej, której żal jej było.

Tak pięknie wychowanego kwiatka dawno nie widziała stara, oczy jej nawykłe były do prostych dziewczynek wiejskich, nie do takich zjawisk z drugiego

świata. Dziwiła się, bolała, mówiąc w sobie:—Jako żdzębło tak słabiuchne burze życia przetrwać potrafi, jak się w ciężkiej walce nie zmarnuje?

Na co to Bóg stworzył tak wątłem, aby ludzie bezbroną istotę nogami zgniętl?

Petrkowa zaledwie na gospodynię spojrziała, biorąc ją za sługę może, nie spytała o nic, nie dowiadywała się o nikogo, nie żądała ni witać ni widzieć, zapragnęła tylko wszelkich wygod do jakich była nawykła, a których tu znaleźć nie było podobna.

Placz więc nowy był i narzekanie.

Do wieczora spoczywał ks. Marcin na grodzie. choć mu, po długiej niebytności pilno było do Miechowa. Został dłużej nieco, aby biednym niewiastom zapewnić tu życie znośne i udobruchać nachmurzoną Jaksowę.

Litowała się ona nad wygnanką, ale zarazem zżymała i gniewała na nią, że tak dziecinnie słabą była i rozpaczoną. Więcej społecznia budziło w niej śliczne dziewczę, o które uparcie dowiedzieć się chciała, czyjem było?

Ks. Marcin wolał odkrycie zostawić późniejszemu czasowi, i nie powiedział nic.

— Kto one są, to się tam później od nich dowiedzie—rzekł.—Ja tam coś słyszałem, nie dosłuchałem, ot,—nie wiem. Dla mnie kto nieszczęśliwy, pomocy potrzebujący, o nazwisko się nie pytam. Czyńcie i wy tak, miłościwa pani, na co wam ta ciekawość?

— To nie pusta ciekawość—odparła stara, potrząsając głową.—Jam matka, mój ojeze — kto wie? Lada godzina, mój Marek przybiedz tu może i zohańczy dziewczynę; kiedy ona mnie za serce tak wzięła, co dopiero chłopca? Będzie mi jeszcze szalał za nią!

Rozśmiał się ks. Marcin.

— No, to co?—odezwał się — jak poszaleją, ja pobłogosławię, szal odejdzie, a szczęście Pan Bóg da.

— A! nie, nie!—poczęła stara—co mi tam z tego,

że taka piękna? To pajęczyna, ja z niej pociechy nie będę miała, bo to siły niema, lada wiatr ją we mgłę rozwieje. Ja takiej dla mojego nie chcę.

— El! el! — rzekł ksiądz — przecie ta słaba dziewczyna, przez całą drogę matkę piastowała, a miała więcej mocy niż ona!

— A takiej żony krasawicy dla Marka nie chcę — rzekła stara uparcie. — Co to warto? będzie się za nią rozpadał, przylgnie do niej, rozleniwieje! Dzieci mi z niej przyjdą słabe, co je trzeba będzie powijać w jedwabie. Ja mojego w śniegum kąpała! Nie! — nie!

Zadumała się stara macierz.

— Chyba ją przed nim schowam — dodała — a jak? Oko chłopca piękną dziewczę przez ścianę dojrzy.

Ksiądz nie chciał mówić więcej, i choć Jaksowa coś z niego dobyć usiłowała, zbył ją ni tem ni owem. Została niespokojną i jak na straży.

Życie na starym gródku zaraz się dla tych gości całkiem zmienić musiało. Co dawniej szło porządnie wedle koguciego piana i słońca, niezem nigdy niezamącone, teraz rwało się, wlokło, spóźniało, latało niewiedzieć po jakiemu. Petrkowej często trzeba było jadła, gdy wszyscy spali, a snu gdy największa wrzawa była na grodzie.

Zresztą zamknięte siedziały same z sobą, matka i córka, bo Jaksowa służbę im posyłając, sama nie miała ochoty zbliżać się do nich. Petrkowa, którą raz tylko widziała, jakiś wstręt w niej budziła. Wzdragala się do niej iść, potem ciekawość niewieścia ją brała, i pociąg czuła do pięknego dziewczęcia. Chętnie by ją nieraz wezwwała do siebie — wstydziła się i obawiała.

Ile razy ją spotkała, pomyślała o niej, zaraz jej syn na pamięć przychodził — nuż zobaczy? nuż rozgrzeje?

Zdarzyło się któregoś dnia, że Błogosławie, do jej sukienek zszarżanych i podartych igły i nici było potrzeba. A, że służby na ten czas przy nich nie było,

wyszło dziewczę same szukać starej pani, choć z trwożą wielką, bo pomarszczona twarz była jej straszną. Jaksowa w swojej świetlicy siedziała nad robotnicami, gdy bojaźliwe dziewczę ukazało się na progu z rumieńcem na twarzy. Stara uśmiechnęła mu się wabiąc je ku sobie i zawiodła do bocznej komory. Posadziła strwożoną na ławie, a co miała pod ręką, plastr miodu, chleb biały, orzechy, postawiła przed nią i przysiadła się do niej sama.

— Rybko ty moja — odezwała się — jak ci na imię? Zapytała grubym swym zwykłym głosem, który starała się napróżno łagodniejszym uczynić.

— Imię mam Błogosława — cicho szepnęło dziewczę.

— Dajże cię Bóg twem imieniem błogosławił — rzekła stara. — Musiałś się chować za kratą i bez słońca boś biała jak śnieg i wata.

Dziewczę spuściło oczy, lży jej się z pod powiek toczyły ciche, bo dawne, lepsze przypominała czasy.

— Tak — odezwała się — pani matka i ja, nie znałyśmy ani zimna, ani skwaru, ani sloty, dopóki... I lży jej mówić dalej nie dały.

Jaksowa zlekka śliczną jej główkę do piersi przytuliła. Obudziło się w niej uczucie dziwne. Stęsknioną była za macierzyństwem, spragnioną wnuczęt, zdało się jej, że jakieś dziecko własne przytula do siebie.

— Nie płacz — odezwała się — lży nie pomogą, a oczów twoich szkoda, jeszcze one lepsze czasy zobaczą. Nie śmiała już pytać o więcej i dziewczę mówi nie śmiało, poprosiła o to co mieć chciała i uciekła.

Ale dobra znajomość była zrobioną między starszą a dziewczęciem. Gdy matka jej spała, Błogosława wyrывała się czasami do Jaksowej, bo się polubiły bardzo. Pod opieką tej mężnej niewiasty, dziewczę czuło się bezpieczniejszem, zdrewniałej starszeczce oddech świeży tego kwiatka, życie i czucie przywracał.

Rozmowy ich były urywane, bo jedna nie umiała mówić wiele, druga nie miała odwagi. Dopiero gdy się tak zwolna, trwożliwie, ostrożnie zbliżyły do siebie, Błogosława więcej ośmielać się zaczęła.

I jednego wieczora, ot tak w rozmowie—wypowiedziało dziewczę, że była córką Petrkową. Usłyszawszy to Jaksowa ręce załamała w milczeniu, nie powiedziała nic, ale nie nabrała przez to wstrętu do biednej.

O losie ojca nie jeszcze nie wiedziała córka, a tu już wieści były doszły o oślepieniu, okaleczeniu okrutnem i wygnaniu. Jaksowa jej o tem nie powiedziała, tylko gdy dziewczę płakało bolejąc nad zgonem ojca, bo go za zabitego miano—odzywała się:

— A może też nie umarł ojciec wasz. Czekaćcie aż nieszczęście przejdzie, niewyprzedajcie go, gdy o tem nie wiecie. Ludzie mówią, że mu żywot wyproszono—i na wygnanie skazano tylko.

Zaczęła się o te pogłoski rozpytywać Błogosława, ale Jaksowa sama ich nie będąc pewną, nie chciała próżną karmić nadzieją.

Gdy po tej rozmowie wyszło dziewczę, stara przed ogniskiem stanęła jak słup zadumana, z usty zaciętymi i pytać się zdawała losu jak zrządził i dla czego jej rzucił w dom tę właśnie, której dla syna nie chciała? Miałoby to być przeznaczeniem?

Wprawdzie teraz gdy Petrek przestał być onym wielmożą i panem, nie tyle się go już lękała Jaksowa, ani doń wstręt miała tak wielki, boć za grzech odpokutował, a jednak zawsze dla syna pragnęła innej, czegoś co sama oznaczyć nie umiała, nie tej dziewczyny z mgły i promieni utkanej, wątłej i słabej...

Troskała się już wielce, a nuż Jaksa przybędzie? gdy ją zobaczy? gdy się miłość rozbudzi, co uczynić z nim? będzie miała siłę się oprzeć?

Gdy się to działo, Jaksa tymczasem wiódł Petrkę do bezpiecznego schronienia. W drodze wierny ten

towarzysz niedoli, dla ojca i syna stał się jakby dzieckiem i bratem. Los ich zrównał; Jaksa teraz był dla nich dobroczyńcą i podporą. Pizedzierając się przez puszcze, w obawie, aby ich nie poznano i nie pochwyciono, blakali się długo, omijając gościńce wielkie i nierychło w Płocku stanęli. Tu Jaksa mógł go już zdać książętom młodym w opiekę, bezpiecznym będąc o niego. Ale wnet niepokój go ogarnął o Petrkowę i Błogosławę, o których losie nie wiedzano, Sam Palatyn codzień, co godzina niemal miał imiona ich na ustach.

Jednego dnia sam Jaksa odezwał się, słysząc bolejącego Petrkę:

— Pozwólcieź mi, ruszę za jej miłością i za dzieckiem waszem, aby się choć dowiedzieć, co się z niemi stało. Pewien jestem, że wam o nich dobre przyniosę wieści.

Petrek, który teraz, dla skaleczonego języka, mowę miał belkoczącą i mało jej używał, na ramiona mu się rzucił z radości.

— Tyś dziecko moje! drugim mi jesteś synem!—zawołał.—Radbym, abyś to uczynił i lękam się o ciebie; chcę byś jechał i boję się! Czyń jak sam osądzisz; jedź ratuj ich. Bóg ci zapłaci i ja nie zapomnę... Odetchnę lżej, gdy się dowiem, co się z niemi dzieje.

Jaksa natychmiast usposobił się do podróży; a gdy żegnać się przyszło, Petrek go z uścisku długo nie puszczał. Żal mu go było, bo się do niego przyzwyczaił, pokochał i dla Światosława też miał w nim najlepszego towarzysza... Więc się żegnali, a rozstać nie mogli, a gdy już jechał, patrzali nań u wrót długo, dając znaki.

Na dworze młodych książąt, miał tę pociechę okaleczony, który dla nich cierpiał, że go tu szanowano jak ojca, a opiekowano się nim troskliwie. Młodzi książęta go nie odstępowali, starsi doń przychodzili po radę, obie księżne czuwały nad starcem, by mu na

nieczem nie zbywało. Petrek, jeżeli dawniej nie potrzebował wiele dla siebie i żył po prostu, teraz gdy go dotknęło to co za karę Boga domierzoną uważał, za pokutnika się mając, surowszy jeszcze żywot prowadził.

Znaczną część dnia spędzał w kościele, do którego z oczyma chustą zawiązanymi siedi przez syna wiedziony, surowe odprawiał posty, a powtarzał, że łaskę Bóg uczynił mu wielką zasłużoną karą na tym go dotknąwszy świecie.

Los Palatyna zgrozą przejął wszystkich i przyczynił się głównie do tego, że duchowni wszyscy za młodemi książętą przeciwko ks. Władysławowi głośno się oświadczyli.

Arcybiskup sam zbierał ludzi, aby z nimi iść w pomoc uciśnionym.

Wojska z obu stron ścigały się ku Pilicy, gdy Jaksa z Płocka wyruszył, zkąd młodszy książęta i księżne dwie, w obawie aby ich tu Władysław nie pochwycił, do warowniejszego ciągnąć mieli Poznania. Bliżej też tu byli Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, na którego pomoc duchowną i orężną rachowali.

Jaksa śpieszył, jak zawsze, przedzierając się na oślepi lasami a bacząc tylko, aby się w ręce nieprzyjaciela nie dostać. Dobit się tak naprzód szczęśliwie do Wrocławia, gdzie się języka dostać spodziewał. Lecz tu trafiło się właśnie, że i biskupa nie znalazł i opata nie było, a inni lub nie wiedzieli, albo mu o schronieniu Petrkowej mówić się nie ważyli. Czekać nie chciał, a spuszczać się na własną przebiegłość, gdy pochwycił ślad którądy Petrkową wieziono, ruszył przepytując, dowiadując się, idąc szlakami, jakie mu ludzie wskazywali. Zdziwiony był w ostatku mocno, gdy go przepytywanie to wprost na jego własny Komorów wywiodło. Nie wierzył jednak jeszcze, żeby się to w istocie stać mogło, czego najmótniej pragnął. Na mil kilka od zamku rodzinnego ślady niewiast znikły zupełnie. Jaksa zniechę-

cony i znużony, widząc się już tak blisko matki, nie mógł się wstrzymać, aby nie dojechać do niej. Potrzeba też była wielka i gród ubezpieczyć w te czasy niespokojne i ludzi swych pościagać, aby z nimi potem w pomoc iść młodym książętom.

Na grodzie stara matka, choć wzdychała za nim, nie śmiała się syna spodziewać, gdy jednego wieczora u wrót Jaksa zatrafił po swojemu i po głosie natychmiast go wszyscy poznali. Rzuciło się co żyło naprzeciw niemu, a najpierwsza matka, zapomniawszy o wszystkim, byle go coprędzej uściśnąć.

Mrok już padał. Jaksa znużony był, zdziwił się gdy matka, zamiast go wprowadzić do świetlicy, którą on dawniej zajmował, powiodła go do siebie. Chciał do zwykłego kąta swojego zawrócić, ale rzekła mu zakłopotana nieco, aby tam nie szedł, bo gości ma.

— A jacyż oni są?—zapytał Jaksa.

— Niewiasty dwie biedne uciekające przyjać musiałam—odparła matka.

Tknęło to Jakse, że mu imienia ich nie powiedział.

— Niewiasty? a zkądże one przybyły?

Stara smutnie zmierzyla go oczyma, jakaś zazdrość obudziła się w jej sercu.

— Co ci tam do obcych niewiast! — zawołała chmurno.

Młodemu już się roić zaczynało, że Petrkowa być tu mogła; ta myśl jak ukropem go oblała. Stał drżący cały.

— Darujcie mi, kochanko matko moja! — rzekł. — Życie moje stawilem ratując Petrkę. Odprowadziłem go okaleczonego do Płocka, a teraz gonie żonę jego i córkę, abym go o ich losie uwiadomił. One to u was być muszą, nie kto inny!

Rozgniewała się stara i poruszyła groźnie.

— To są! są!—odparła—ale tobie dziś nie o nich myśleć, tylko o matce, bo ta ci pierwszą być powinna.

Jaksa zamilkł i poszedł za nią zmieniony zupełnie, pokorny, ale milezący. Matka nie wytrzymała długo, sama rozpoczęła rozmowę o niewiastach i żaliła się.

— Tak — rzekła — przywieźli mi je tu, te pie-szczone kukielki, na które zdala chuchać trzeba. Nie-szczęśliwemu dachu odmówić się nie godzi, a baby te ciężą mi. Dziewczyna piękna, a wątła i słaba; tylko mi nie patrz na nią!

— Matusiu serdeczna — przerwał Jaksę — późna twa rada; widziałem ją nie raz, ale sto razy, a co się ze mną stać miało, to się stało. Miłuję ją bar-dzo, miłuję strasznie; teraz, gdy Petrek wygnańcem jest, spodziewam się ją dostać.

Wyrzekł to śmiało i stanowczo; matka odwró-ciła się nagle zagniewana, ale nie odpowiedziała nic. Jaksę poszedł ku niej; odepchnęła go od siebie. Od-stąpił i przysiadł na ławie smutny, gdy stara po chwili przystąpiła doń, głowę rękami objęła i po-częła całować. Starej nieznane łzy kręciły się pod powieką. To odpychała syna, to przyciągała go ku sobie — naostatek odtrąciła i poszła do ognia za-dumana.

W tejże chwili, nie wiedząc może o niczem, czy też domyślając się, wbiegła do izby Błogosława. Stara chciała jej zastąpić drogę — zapóźno! Wbie-gła wewnątrz i zobaczywszy siedzącego Marka, krzy-knęła.

Jaksę się zerwał ku niej — stanęli naprzeciw sie-bie w niemem zachwyceniu, któremu słów zabrakło.

Staruszka spoglądała na nich z boku, aż gniew-na wpadła między nich, aby ich z tego osłupienia wyprowadzić.

— Pozdrowienie wam od ojca waszego przy-wożę — odezwał się Jaksę.

Dziewczę usłyszawszy ojcowskie imię, przebo-jem rzuciło się ku Jaksie.

— Ojciec! żyje więc ojciec? — zawołała — a! chodź-

cież coprędzej do matki, poświadczyć to żywym sło-wem, pocieszyć ją! Żyje ojciec. Bóg niech będzie błogosławiony.

Ze złożonymi rękami padła pośród izby na kolana.

Jaksę, który w prostocie swej, nawet dla po-cieszenia tych których kochał, kłamać nie umiał, do-dał wnet.

— Żyje ojciec wasz okaleczony okrutnie, ale żywota już bezpieczny. Ze Światosławem oba od-prowadziliśmy go do młodych ksiąząt do Plocka.

Zakrzyknęło znowu z radości dziewczę, posty-szawszy o bracie. Stara Jaksowa już teraz nie mo-gła nic, bo zapominając na wstyd wszelki. Błogosła-wa chwyciła Marka za suknię u ramienia i ciągnęła go gwałtem do matki.

— Chodźcie! zlitujcie się! chodźcie!

Nie sprzeciwiając się odstąpiła Jaksowa, ale z brwiami namarszczonemi, mrużąc groźnie — że jej syna zabierano. Szła wieczerną sposobie dla dziecka, łajac dziewczęta i rozpędzając je gniewnie.

Przez się tylko przejść było potrzeba do kom-naty, w której Petrkowa, cały ten czas więcej leżała niż siedziała. Złamana niedolą swoją, bezwładna, większą część dnia spoczywała z głową osłonią-ą chustami, jęcząc i wyrzekając.

Gdy na próg wpadła Błogosława ciągnąc Jak-sę za sobą i wołając:

— Żyje ojciec! żyje! — Porwała się z posłania Marya, odrzuciła chusty, spojrzała na Jak-sę, które-go nie bardzo lubiła, jakby przeczuć, że jej miał córke odebrać i pytać zaczęła szybko.

— Gdzie? co się z nim stało!

Jaksę nie zataił nic, opowiadając wszystko cze-go był sam świadkiem. Płakała znowu Petrkowa słu-chając, a wtrącając pytania o syna, o ludzi, o skar-by, potem wołać zaczęła, rwąc się z pościeli jak nie-przytomna, że natychmiast ztąd chce jechać do męża.

Córka ujawszy ją rękami, zaledwie mogła uspokoić.

— Miłościwa pani — rzekł Jaksa — nie może to być abyście teraz z zamku ruszyli. Ja sam ledwie się tu żyw dostałem, poganie dziey i wojska Władysławowe wszystkie ziemie zalewają. Życia ani wolności nie bylibyście pewni. Czekać tu potrzeba aż się wojna uśmierzy. W obleżonym grodzie, Płocku czy Poznaniu lepiejby wam nie było, ani bezpieczniej niż tu gdzie my, gdyby i dziec nadpłynęła, zawsze się obronić potrafimy.

Z mowy jego dopiero, gdy się szerzej począł tłómaczyć, dowiedziała się Petrkowa, iż jest u matki Jaksowej, i — zamilkła zaraz zdziwiona, a prawie przelekleła.

W owych czasach obyczaje były inne — lękała się o córkę, aby ją siłą jej nie wzięto. Złagodziła więc dla Jaksy.

Po długich pytaniach, na które Marek odpowiadał, coraz nowemi szczegółami, puszczo go nareszcie do matki. Wyszedł smutny i znękany i widokiem Błogosławy tak przejęty, że sobie rzekł — iż gdy mu ją sam Bóg dał i do grodu przyprowadził, nie odda jej już nigdy i nikomu, choćby za nią i wojnę toczyć przyszło.

Z tą myślą w duszy do izby powrócił i myśli tę pewnie Petrkowa odgadła, gdy się strwożyła, dowiadując gdzie się znajduje.

Jaksowa chodziła chmurna jak noc, krzątając się niby koło wieczery. Gdy wszedł nie odezwiała się do syna — usiadła na ławie naprzeciw niego, sparała na łokciu i patrzała w twarz swojego dziecięcia.

— Hej! — odezwiała się długo przemilczawszy — myślałam, że ci się zatęskniło do starej matki, a tyś gnał na złamanie karku, nie do mnie ale do tych kukiel białych! Nie kłam przedemną, wiedziałeś, że one tu są, nie dla mnieś tu jechał a do nich!!

Jaksa poczuł się mężem i odrzekł śmiało:

— Usta się moje nigdy lżą nie zmazały — nigdy! nigdy! Szukałem Petrkowej, nie taję, alem nie wiedział, że tu jest. Do ciebie mi serce tęskniło jak zawsze. Matka wekazała ręką w stronę izb naprzeciwko.

— A do tamtej, do tamtej, to ci się nie tęskniło??

— Nie skłamię, tęskniłem i za nią, tak już musi być, bo w tem wola Boża.

Stara wstała od stołu. Milczeli oboje. Nie mówiąc nie puściła syna spać.

Gdy w komorze legł sam Jaksa, nim mógł pomyśleć co ma czynić — z sobą, ze znużenia wielkiego sen go ogarnął. A że kilkoro nocy spędził drzemiąc tylko na siodle lub pod drzewem, gdy raz padł na posłanie, objęła go żelazna moc snu i trzymała do rana.

Matka już budziła prządki i ogień rozpalać kazała, a on jeszcze jak legł na jednym boku, ciągle kamiennym snem odpoczywał.

Dzień dopiero białą powieki mu otworzył. Nim ruszył z posłania rozmyślać począł. Co tu pocznę? Nie godzi mi się zotąć a nie chce się jechać? Co pocznę? Tak dumając a przewracając się doczekał aż mu matka sama polewkę przyniosła, spojrzał na nią z obawą. Twarz miała smutną i uśmiechniętą.

— Pij i jedz — rzekła — nie dąsaj się, jam ci nie wrogiem, tyś dziecko moje...

Pocałowała go w czoło.

— Niech się dzieje wola Boża!

— Matusz rodzona! — rzucając się jej na szyję, zawołał Jaksa — ty mnie kochasz, ty mi tego nie wzbronisz!

— Albo ja ci bronić mogę? — poczęła stara. — Ja? Tyś mężczyzna nie dziecko, ani się pytać powinienieś o cudzą wolę, tylko swoją mieć. Plunęłabym na ciebie! Jeno wiedz. Weźmiesz słabą łatkę, tylko lży z nią, bo to sił do życia ani do szczęścia nie ma! Nie daj Boże! A no — Bóg z wami!

Nie mówili więcej, odeszła prędko. Jaksa dumiał

chodząc dzień cały. Błogosława nie pokazywała się do południa.

Żyć tak z nią na zamku, stać na straży, łapać wejrzenia, zapominać o wszystkim nie myśląc jeno o sobie, błogo było, ale się nie godziło rycerskiemu dziecku.

Z południa poszedł Marek do Petrkowej i rzekł:

— Muszę ztąd z mojami ludźmi ciągnąć do książąt i do pana Petrka, może mi co do niego nakazecie? Pomyślcie, abym miał co odnieść.

Błogosława spojrzała nań rumieniąc się.

— A kiedyż w tę drogę—zapytała Petrkowa.

— Bylem ludzi moich zgromadził, dziś po nich wysłę zawołanie, za kilka dni pewno pociągnę—rzekł Jaksa wzdychając.

Od Petrkowej poszedł do matki mówiąc:

— Ciągnąć mi trzeba, nie może być inaczej.

— Wiedziałam ja że trzeba—odparła. — Wojna, to darmo, wojakowi za piecem siedzieć srom, kisać tu z babami niezdrowo. Jedź—wypędziłabym cię sama. Nie czas się tu miłować kiedy drudzy giną.

Tegoż dnia po włościach Jaksy do Miechowa i za Miechów biegli dziesiętnicy i sotnicy na wojnę wywołując lud zdatny i pędząc do Komorowa. Kupami przychodzili z siół młodszy zbrojni, ale jak to czasu takiej wojny być musiało, licho i po domowemu, w siekiery i oszczepy. Z leśnych osad mieli niektórzy łuki, niektórzy tarcze lipowe, kaftany skórzane, reszta kozuchy proste, pałki nasiekiwane. Więc co było na zamku broni z dawnych czasów, zaczęto lepszym rozdawać, stanowiąc starszyznę, dziesiętników i obozowe straże. Stara Jaksowa sama szła patrzeć i gromadom piwo wytaczać kazała. Rada teraz była z syna i dumna nim.

Dopiero gdy sami się z sobą znaleźli wieczorem, a opowiedział jej Jaksa, bez przechwatek ale szczerze, jak się mężnie księciu stawiał, aby Petrka ratować, jak się wazył wszędzie, życia nieszczędząc gdzie powin-

ność kazała; całować go poczęła w głowę, ścisnąć, i twarz jej chmurna rozjaśniła się radością.

— Idź tak dalej!—zawołała—ojciec twój takim był; tobie innym się nie godzi być!

Ostatniego dnia, gdy już z zebranymi ludźmi ciągnąć przychodziło, nadjechał ks. Marcin. Słyszał on już o tem, co się działo w Komorowie, chciał się przypatrzeć oczyma własnymi.

Stara, zobaczywszy go, poszła na przywitanie z uśmiechem dwuznacznym, wskazując na drzwi, za którymi siedziała zamknięta Petrkowa.

— Wyście to mnie, ojcze, biedy tej naprowadzili!

— Ja się tego nie wypieram—rzekł ks. Marcin—wyście się nadaśali, a może się już i cieszyecie?

— Co mam robić?—odezwiała się Jaksowa po swojemu—muszę syna słuchać, gdy męża nie mam! Ale ani on, ani ja długiej z tego pociechy mieć nie będziemy!

— Jam tu przybył nie o tem z wami rozprawać—odezwał się ksiądz—ale radzić, kędy ciągnąć. Książęce Władysławowe wojska są wszędy, dziec po gościńcach potokami płynie. Bić się z niemi samemu nie potem, trzeba do kupy się zbierać, a jak się nasz dostanie do gromady?

Nadszedł właśnie Jaksa i ksiądz w rękę pocałowałwszy.

— A, lasami!—rzekł krótko.

— Byle wam ich starczyło—odparł ks. Marcin—i byleście w porę nadażyli, bo siły się pościągaly nad Pilicą i bitwa za pasem.

— Więc dniem i nocą ku Pilicy pociągniemy—rzekł Jaksa.—Bóg da, że w porę staniemy, aby Władysława bić i gnać!

Ks. Marcin pokiwał głową.

— Któż wie, kogo pobija?—rzekł cicho.—Pogan wam życzę przeciw sobie mieć, nie Władysławowych ludzi; a nuż Jaksa na Jakse następować będzie mu-

siał i brat się potykać z bratem? Niedobra ta wojna, odwróć Panie! Prosty lud i w dwu siolach sąsiednich nie czuje się do jednego rodu, ale wy, ryccerzcy ludzie jednego zawołania, co poczniecie?

— Bóg łaskaw—odezwał się Jaksa—my może nie poczynąć nie będziemy potrzebowali, bo co jest pocziwych staną po stronie książąt, a Władysław zostanie z najemnikami swojemi.

— Amen! — zamknął ks. Marcin.

Gdy wsiadać na koń przyszło, poszedł Jaksa raz jeszcze do Petrkowej żegnać się. Stara matka oczyma tylko powiodła za nim, mrucząc:

— Niech już czyni jako chce!

A było to żegnanie osobliwe, bo w niem narzekania więcej niż dobrych słów Jaksa posłyszał. Pieszczonej niewieście wszystko to w niesmak szło, czem ją karmiono, jak cieszone, przez co los jej osładzać chciano — za każdą więc sposobnością skarżyła się tylko i bolała nad sobą. I teraz, zamiast poleceń do męża, rozwodziła żale nad dolą własną.

Plakała za utraconą wielkością swą, po życiu przesłem i wszystkim co je przypominało. Nie lubiła szorstkiej męskiego ducha gospodyni, nie podobał się i syn, ni ten stary dwór, w którym znalazła przytułek. Wszystko dla niej szło opak, a że córka była z nią zawsze, na Błogosławę spadały łzy, żale i kwasy nieszczęśliwej. — Błogosława milcząca znosiła wszystko, ażeby nie pokazać, że cierpiała, gdy obcy patrzali na nią, uśmiechała się im smutnie.

Gdy Jaksa przyszedł opowiedzieć się, że jedzie, a dodał, że może do pana Petrka przedrzeć się potrafi i zaniesie mu, co poleconem zostanie; zapłakała kniahinia, podniosła głowę, białemi ramionami ruszyła pogardliwie. Zdawało się, że nie nie miała do nakazania biednemu ślepcowi, na którego narzekała ciągle, że z winy jego w to nieszczęście popadła.

Błogosława widząc, że matka milczy, odezwała się cicho:

— Powiedźcie ojen, niech nas do siebie zabierze, radaby matka i ja z nim i Światosławem być.

— Dziś to niemożliwa — rzekł Jaksa. — Wiecie, że przez zwojowane ziemie przedrzeć się trudno. Da Bóg lepszy czas, uczynicie jak wola. Przebaczenie, jeśli wam tu u nas niewesoło i niezaciszno i niemiło może, cóż robić? Myśmy z matką do prostego życia nawykli.

Petrkowa nie odpowiedziała, poruszyła głowę, rozplakała się, rzuciła ręką, zakryła oczy i pochylili się na poduszkę. Jaksa spojrział na dziewczę oczyma błagającymi — zarumieniło się.

Matka widzieć nie mogła, wyciągnęła mu rękę i ścisnęły się ich dłonie, bez słowa, w milczeniu.

— Wracajcie, wracajcie zdrowi! — szepnęła po chwili Błogosława. — Niech was Bóg prowadzi i odprowadza. Modlić się będziemy.

Głos zamarł jej w piersiach, zakryła oczy.

Jaksa wysunął się z izby. A gdy siadał na koń, obejrzał się jeszcze ku dworowi i w okienku mignęły mu włosy złote. Ludzie już wrotami tłumnie ciągnęli w pole za chorągwią białą.

VII.

W gospodzie pod Wrocławiem letniego wieczora pełno było, gwarno i szumno. Po nawałnicy wielkiej deszcz padał od godzin dwu, więc ktokolwiek tędy jechał z miasta, czy do miasta, zajeżdżał się schronić pod szopę, bo się rychło rozpogodzenia spodziewano.

Po skwarze długim ulewa ta przysła dla ludzi jak błogosławieństwo, przynosząc z sobą woń drzew i traw odświeżonych, odżywione powietrze, trochę chłodu i jakby wiosenne technienie.

Cieszyli się nią wszyscy, ci nawet, co od niej przemokli i ci, których siano na pokosach leżało, a najwięcej ci, którym w podróży dokuczył upał i pył gościńca.

Stary Mikuł, żona jego Samicha, stary gęslarz wędrowny znowu się tu znaleźli, jak przed rokiem tylko nie tak milczący i zaspani. Był i kmieć ów, Tychon, powracający znowu z Wrocławia, nie z przewodu ale z targowicy, było innych ludzi wielu, ryckerskiego zawołania kilku, czeladzi różnej dość, kupca tylko żadnego, bo od tego czasu, jak ks. Władysław wziął się do wojny przeciw braciom, Rusi i Polowców naściągawszy, nie ważyli się z żadną kupią do Wrocławia bezbronni handlarze, których siła po drogach Polowcy pozabijali i z mienia poodzierali.

Gościenny dwór we Wrocławiu przy rynku pustował dawno, a w bramach stróże spali, nie mając od czego brać opłaty.

Wśród tego tłumu, podzielonego na gromadki, dawny nasz znajomy, otyły, rumiany, rubaszny ojciec Maur znajdował się także, przyczekując, rychło li deszcz ustanie, wyglądając coraz przeze drzwi, bo mu ciżba ta nie smakowała i nie miał się z kim rozgadać, gdyż po większej części w gospodzie prości ludzie byli.

Ten i ów przyszedł go milezający pocałować w rękaw i odechodził odebrawszy błogosławieństwo.

Wtem od słoty obmokły jezdny jakiś, opończę okryty, zbrojny dobrze, na koniu podbiegł do drzwi i zaczął wołać gwałtownie, aby mu parobcy konia wzięli, bo sam już z niego zsiadał. Widać po nim było podróż długą i pośpieszną. Na koniu i na nim pyłu było dosyć osiadło, który deszcz zmienił w błoto. Suknie miał poszarpane, a wpatrzywszy się, dostrzedz

było można na odzieży jego ślady strzał i cięć, jakby z niedawnej walki wyniesionych.

Młoda twarz, acz zmęczona, ożywiona była jakąś radością promienistą, w głosie jego brzmiała wewnętrzna pociecha.

Wszedł na próg; okiem rzucił w głąb na ludzi, a tuż mu się i ojciec Maur nawinał. Ten się z ciekawością prawie natrętną zbliżył do niego.

Podróżny go witał, a mnich przypatrując mu się, wołał:

— Ale na Boga wielkiego, ja was znam! Gdzieżemy się to widzieli? bo nie pamiętam!

— I ja nie wiem—odparł podróżny.—Może we Wrocławiu za innych czasów, gdy tam nasz Palatyn Petrek tak jak panował. Wszak pewnie od Świętego Wincentego jesteście, ojcze?

— Pewnie! zkadżębym był? To zgadnąć łatwo! Jeślibyśmy się gdzie widzieli na tym świecie, to nie gdzieindziej, tylko około opactwa, koło którego my jak pszczoły koło ula brzęcemy.

Wtem uderzył się O. Maur w czoło.

— Ale, czekajcież! nie pamiętacie? Tu, w tej gospodzie zjechaliśmy się ze starym Zaprzańcem jednego wieczora. Nie wy to byliście?

— Jam był, przypominam sobie — odezwał się podróżny.

— Od tego czasu wody dużo upłynęło!—zawołał ksiądz.

— O, i krwi!—dodał podróżny.

To mówiąc, obejrzał się dokoła i w głąb gospody, kędy ludzie stali zbrojni, trochę nieufnem mierząc ich okiem. Mnich przypatrywał mu się, badał go wzrokiem pilnym i coś poszeptywał.

Wtem na gospodzie, gdzie ciżba była narodu wszelkiego, wszczął się gwar wielki; zaczęli mu się przysłuchiwać oba.

Tychon kmieć głośno prawił, ręce powkladałszy w kieszenie.

— A mnie tam co do tego, kto nad nami będzie panował! Ten czy drugi zawsze ze skóry drzeć będzie, bo nasza kmiecia skóra na to jest. Im mniej tych co jej potrzebują, tem ona calsza. Jak nam książę Władysław jeden królować będzie, a resztę wyżenie preez, tem ci lepiej. Choć odetchniemy, póki małe książątka nie podrosną.

Drudzy patrzali na kmiecia koso, ten prawil śmialo:

— Jakby i tych biskupów, klechów i mnichów—dodał, wskazując na O. Maura — przetrzebili trochę, a mniej się ich zostało, nie szkodziloby to kmieciom nic.

Mruknął ktoś z kąta, wszyscy słuchali w milczeniu, ale ramionami ruszano.

— Ino na Ojców nie mówcie nic—odezwał się jeden—jest z nich korzyść, bo rozumu i Pana Boga uczą, drzewa i siola sadzą, sieją zboża nowe i rzemiosła zaprowadzają.

— Jakby my wprzód, za dziadów naszych—odezwał się rozochocony kmieć — ani Boga, ani rozumu nie mieli! A im i za Pana Boga i za to co uczą płacić trzecha, dziesięcinę dać, służbę odprawiać, stróże posyłać, ba, i...

Tu głową dziwnie pokręciwszy, rozśmiał się i nie dokończył.

Niektórzy mu, zrozumiawszy go, głośnym śmiechem odpowiedzieli.

— El! el!—zawolał drugi od stołu—prawcie wy sobie co chcecie! Pogany nam kraj zalały, zjedli nas i stratowali, te chrząszcze czarne, co ledwie ludzką twarz mają. Wojna! niechby nasz pan wojował ze swojemi, a to wszelkiego paskudztwa nawiodł, że się nam trupami i popieliskami ziemia zasiała. Niemcy gdy najadą, złe i dzikie, Węgry gdy przyjdą, okrutne, Czechy, choć naszą mowę mają, jak zwierzę nas żrą i szarpia, ale ci co ich tu teraz licho nagnało, gorsi od tamtych wszystkich — stado wilków wściekłych i głodnych.

— Wszyscy oni jednakowi — odparł Tychon — tylko że oto dziś tego plugawstwa więcej, gorzej nam dojada. A kiedy się to skończy!

— He! Nie bójta się — odezwał się jeden ze zbrojnych — skończy się to rychło, da Bóg. Nasz książę Władysław dopiero rozpoczął, jeszczeście nie kosztowali co on wam gotuje. Połowy tego nie było co będzie, ale potem — odpoczniecie!

— A! Chryste broń!—zawolał Mikuł, ręce podnosząc do góry.

— A toć was stłukli na miazgę pod Pilicą—odezwał się ktoś z tłumu, uciekaliście wy i książę jak myszy przed kotem, nie bądźciez butni!

— Co za dziw, że nas pobili pod Pilicą?—krzyknął jeden ze zbrojnych.—Ziemianie księcia zdradzili, ile ich jest wszyscy zdrajcy, z książęty trzymają. A czemu? Bo książątka młode jak zechcą za nosy wodzić będą, a naszego starszego księcia i Agnieszki nie potrafią. Toć młodych wola; zamiast coby oni panowali, ziemianie im będą przewodzić.

— No, a godziź się to—przerwał jeden z gromady, mieszczanin z Wrocławia — ażeby po królu nieboszczyku jeden zabierał wszystko, a drugim nie dał nic? Gdzie to kto widział, aby starszy brat młodszych ograbiał i wypędzał?

— Albo co? — przerwał Tychon — a małoż się tego widziało? Kto siłę ma ten dusi, swat czy brat, choćby rodzony ojciec, jak się nie obroni won iść musi!

Niechby małe książątka sobie jechali za siostrenią do Niemców— nam tak i jednego dosyć. Wojnaby się skończyła.

— Pewnie że skończyłaby się—dodał jeden ze zbrojnych. — Nasz pan jej nie winien, opuścili go wszyscy i obcemi musi własne dziedzictwo zdobywać.

— Ani on je będzie widział! — zawolał ten co wprzód mówił o porażce pod Pilicą. — Pobili was

raz, pobiją dziesięć razy! Nie zawojujecie tych ziem! Któż z wami? Sami obcy; księża Biskupi i ojcowie za was, bij, zabij, juści oni wiedzą gdzie sprawiedliwość!

— Eh! — zawołał żołnierz. — Biskupi i mnichy pójda z tym kto zwycięży. Oni do wojny niezdatni, my się ich nie bojemy.

— Na! na! — przerwał towarzysz pierwszego, zbrojny także—to nieprawda. Ho! ho! mają oni czarę wielkie i siły w rękach, więcej mogą niż pułki całe. Czyżście to nie słyszeli, co było niedawno, ksiądz wyszedł na pagórek, ino ręką machnął, sośnie się powaliły na ziemię jak kosą podciął.

— Że oni coś znają, to pewna—potwierdził Tychon, który między rozprawiającemi rej wodził.— Znają wiele i są czarnoksiężnicy. Z niemi się zadawać niezdrowo!

W tem z ciżby ktoś zawołał:

— A jakże tam było pod Pilicą? dużo natłukli?

— Natłukli dosyć—rzekł żołnierz—i rozbiegło się i porozehodziło dużo. A co to ma do tego? Teraz już wszystko naprawione. Było kilka tysięcy tych czarnomazów, teraz jest ich chyba kilkadziesiąt. Cma niepoliczona.

Gród za grodem się poddają—ino jeden jeszcze podobno został. Jak ten weźmiemy, wojna skończona, ksiąząt niestanie, a Ojcowie księża nam się pokłonia.

— Jakież to tam gród się trzyma?—zapytał inny.

— Poznań!—rzekł zbrojny.

Gdy się tam rozmowa toczyła przerywana śmiechami i wykrzyknikami, Ojciec Maur słuchając jej po trosze, że mało rozumiał, odciągnął na bok przybylego.

— Prawdaż to co ci ludzie tam plotą?—zapytał.

I widząc, że podróżny się zawahał, dodał zaraz.

— Przedemną wy mówić możecie, wiecie że my wszyscy Petrкови jesteśmy słudzy, z księciem Wła-

dysławem nie trzymaliśmy nigdy i—da Bóg, trzymać nie będziemy. Prawdaż to, że pogaństwaśmy płyną znowu?

— A, prawda! — odparł młody spokojnie — ale one płyną i rozplyną się. Rozbijając się o Poznań, jak fale o skałę.

— Gród że to tak mocny? — zapytał Mnich.

— Mocen ci jest! — dodał młody — ale tem, że ma w sobie ludzi mocnych. Arcybiskup Gnieźnieński i wszyscy panowie Biskupi z nami. Jadę po ks. Janika.

— A u nas prawią, że Władysław już wszystkie ziemie opanował, i że nadziei wybawienia od niego nie ma.

Podróżny wzgardliwie ruszył ramionami.

— Tak to wygląda dla tych, co bliżej rzeczy nie baczą—rzekł.—Ksiązę Władysław, prawda, owdładł wielą zamkami, a że mu bracia ustępowali na Poznań ciągnie, ale tam go koniec czeka.

Mnich spojrział niedowierzająco.

— Hej! hej! czyżby tak było? pewna-li?

— A cóż w życiu ludzkim pewnego? — odparł wzdychając młody. — Mówię wam co ludzie rozumni i poważni twierdzą — więcej nie wiem. Co Bóg da, On jeden świadom.

— A wy? jedziecie po ks. Janika?

— Tak jest.

W izbie zaczęli się ścierać, ci co byli za księciem Władysławem, z temi co za młodszemi księżętami ciągnęli, kłócić się już gotowali, a Tychon się śmiał.

— Dajcież pokój trutnie — wołał ze swą butą kmiecią — a co wam potem, czy jeden czy dwu panować będzie? byle wam kury niosły i pszczoły miód dawały, krowy się cielily i na owcach wełna rosła? Nie wasza sprawa ani ich kochać, ni ich nienawidzić? Byle wojna ustała, kto z niej wyjdzie cały, mnie wszystko jedno. Ksiązę Władysław zostanie? pokłon mn biję, będzie Bolko, padam na twarz przed nim,

dadzą mi Mieszka? i ten dobry. Żaden poradnego nie daruje. Co innego gdyby żadnego nie stało! Hej! hej!

Potakiwało mu wielu, bo im się najrozumniejszym wydawał. Ojciec Maur słuchał usiłując zrozumieć i niecierpliwiać, że nie wszystko pojmował!

Tymczasem deszcz nie ustawał jeszcze.

— Nie wiecie tam ojeze — zapytał młody podróżny — co słyhać o pani Petrkowej?

— Tyle tylko, że gdzieś bezpieczna siedzi w myśkiej jamie — rzekł ksiądz. — Nasz Opat, który wielkim jej przyjacielem jest, spokojny o nią, pewnie jej dobrze być musi. A wy, o Petru nie wiecie?

— Owszem, z książętą jest razem, a choć mu oczy wydarto, widzi, choć język urzezano, mówi!

Ojciec Maur ręce złożył.

— Cud Matki Boskiej! — zawołał. — Cud prawy! A nie dla czego innego Bóg nad nim miłosierdzie miał, tylko, że naszego Ojca Benedykta reguły klasztorów tyle fundował... Za to mu płaci niebo. Ale jestże tak istotnie? Mówcie? Widzieliście go sami?

— Jako was widzę, ojeze mój — rzekł podróżny. Wyplęnęło oko jedno, drugie cudem ocalało, język ucięty służy mu, mówi nim.

O. Maur stał w zachwyceniu.

— Relikwie miał przy sobie tak szacowne — dodał — jakich nikt nie posiadał! One mu wyjednały opiekę i ocalenie cudowne.

— I jak on cudem ocalał — odezwał się młody podróżny — tak my cudem nad Władysławem i jego sproszeni tłumami zwycięstwo odniesiemy wielkie.

— Amen! Amen! — dokończył mnich. — Wojna ta i nas już kosztuje dużo. Klasztorów kilka złupili poganie, kościołów popalili nie mało, braci naszych brodatych poginęło wielu.

Deszcz powoli ustawać zaczynał. Do stojących we drzwiach zbliżył się ciekawy gęślarz, przypatrując się im, podsłuchując i dopominając jałmużny. Poznawszy księdza po sukni wnet się cofnął, bo między

śpiewakami ludowymi, sprawiającymi jeszcze jakby rodzaj potajemnego kapłaństwa, a duchowieństwem nigdy zgody nie było. Gnano tych ludzi, podejrzanych o gusła i czary precz, pozbywano się ich ze wsząd. Mimo to żadne wesele, chrzest, pogrzeb nie obszedł się bez tego, aby się tam nie wkraśl choć jeden gęślarz, i odprawił cicho jakiegoś obrzędu, nie odśpiewał pieśni, nie wziął należnej daniny.

Od czarnej sukni mnicha, gęślarz jak przestraszony, pierzchnął zaraz na stronę i usiadłszy na ławie zdala, brzdąkać nawet po strunach przestał.

Gwar się wzmacniał w gospodzie, po piwie rozgrzani wszyscy prawili i opowiadali o tem co kogo bolało.

Jeden gromadzie opisywał, jak z siola nad gościńcem uchodził.

— Widziałem ich sam na własne oczy moje — prawił — tych pogan z za morza. Lud mały, ogorzały, śniady, włosy czarnego, ślepią wpadłe, jak u krety, nosa mało co, gęby dużo, zęby ostre białe, a choć to szataństwo drobne i wątłe się zdaje, mocne jak żelazo. Kozuch ma ledwie wytarty na grzbiecie, łuk i strzały, kawał noża krągłego, konie małe jak żaby, ale sunie się tego jak mrowia, jak gąsienicy i gdzie to przejdzie zje, spali, strątuje, że żdźbła po sobie nie zostawi. A żrą bestye nawet padło. Jak naszli Osowiec, z którego kto zwawszy uszedł na błota i lasy; jak tam pół dnia postali, nie było i kolka w płocie. Kościół złupili, księdza obwiesili, dzieci z kolebek powyrzucali i pognietli — a gdy odciągnęli nikt swej chaty miejsca nie odszukał. Czego zabrać nie mogli to spalili... i poszli dalej.

Milczeli słuchający, grozą przejęci.

— A no dobrze wam tak! — zamknął zbrojny człek. — Po co ziemianie panu naszemu Władysławowi opór stawia? Po co? Abo pan zły?

— Tak jak i drudzy — wtrącił Tychon — bo oni wszyscy do siebie podobni, ta tylko między nimi

różnica, że jeden co się objadł odpoczywa, a ci co głodni więcej jedzą, Ja sytych zawsze wolę.

Mikuł rozdając piwo ciągle powtarzał:

— Aby już temu raz koniec był!

Słota się nareszcie skończyła, deszcz coraz drobniejszy przekrapiał, niebo miejscami odsłaniać zaczynało, strzepnął opończę swą młody, zabierając się na koń wsiadać, mnich też wyjrawszy, do odjazdu się sposobił.

Ten i ów z gromady szedł do koni, gospoda się wypróżniała. Na młodego podróżnego, rycerskiej postawy, którym jak się czytelnicy domyślą łatwo, był Jaksa nasz, dwaj zbrojni książęcy ludzie, zaczęli spoglądać ciekawie, szepecząc coś pomiędzy sobą. Odzież i broń wydawała się im snadź podejrzana.

Ten już się wybierał jechać, gdy oni też za nim wyszli do swych koni, i co rychlej na nie powiadali. Jaksa właśnie na siodło skoczył.

— A wy to zkąd? — zapytał jeden z żołnierzy.

— A wam to na co? — odparł Jaksa.

— Bo my jesteśmy ludzie książęcy, którzy straż sprawiamy wedle grodu.

— Toć, ja go wam przecie sam jeden nie opamię! — odparł szydersko Jaksa.

— A cóż tu robicie? — badał natrętnie się podsuwając, starszy.

— Czyż to już ziemianinowi swobodnie po gościńcu jechać nie wolno? — spytał Jaksa.

— A no! a no! — wołał żołnierz — musi się przecie przed strażą wywieść, kto i co jest Jam tu dziesiętnikiem. Teraz ziemianie różnie trzymają, oko na nich trzeba mieć.

Jaksa się już nie oglądając na nich i nie odpowiadając, ruszył z miejsca — ale, oba żołnierze tuż przy nim jechać zaczęli.

— Nie powiecie coś zacz? — pytał dziesiętnik, do konia się przysuwając.

— Jadę do miasta, w mieście się opowiem, nie na gościńcu — zawołał Jaksa gniewnie.

Popatrzał na ich konie, jakby chciał obrachować, czy od nich ująć potrafi. Szkapy mieli dość liche i pomęczone. Koń Marka był też drogą podbity, ale silnych nóg i bardzo skorych chodów.

Nagle więc wśród rozhoworu wyprzedzać ich zaczął nieznacznie. Skoczyli za nim truchta nawołując.

— Stój tam! Słysz! Stój!

— Stójcie sobie, ja wam nie bronię — zawołał Jaksa. — Ja uczynię co mi się zda, bo słuchać was nie potrzebuję.

W tem konia ostrogą spiał i popędził. Żołnierze za nim. Ale znać było odrazu, że oni mu nie podolają.

Słyszając tę żwawą rozmowę, co było w gospodzie patrzeć się wytoczyło. Jaksa klusował już bardzo śpiesznie, dwaj zbrojni gonili go, konie ćwicząc napróżno. Jednemu z nich szkapa nad miarę chłostana znarowiła się, ogonem merdać poczęła ze złości, stuliwszy tylne nogi, a przednimi hece wyprawiać i dęba stawać.

A im ją zajadlej siekł, tem uporniej stała, drugi tymczasem na towarzysza nie zważając, wyśworował się naprzód i pędził. Pogoń była osobliwego rodzaju, bo koń żołnierza zmęczony ledwie na trucht mógł zebrać. Jaksa zaś swego nie puszczaając czwałem, na siodle się zwrócił twarzą do goniącego, klusował powoli, śmiejąc się i odsadzał się od niego coraz dalej, choć nie bardzo śpieszył. Tamten zaś kłął, a kłął i swojego podjezdka i uparte zwierzę, które towarzysza jego w miejscu trzymało.

Zebrał się nareszcie na cięższego klusa, gałęź ułamawszy, aby konia nią okładać, ale na wyciągniętego jak Jaksie niestać go było, i Marek coraz się bardziej oddalać począł. Wóz też Ojca Maura, wyje-

chawszy z pod gospody, rącho ruszył gościńcem, bo miał spaseł konie klasztorne.

Tychon, którego żołnierze do pogoni cheieli zabrać, ani myślał się ruszać.

— Albom głupi! — wołał — wolę powracać do domu! Na gościńcu mnie do pogoni brać nikt nie śmie, okrom księcia samego. Co mi tam!

Jaksa w dali coraz znikał, nareszcie za wierzby nade drogą się skrył. Tyle go widzeli.

W gospodzie śmiechu było pełno. Guślarz wyszedłszy na próg, stał i brząkał coś, a mruczał jakby podśpiewywał sobie.

Zbliżył się do niego jeden podpiły, i klepiąc go po ramieniu, rzekł śmiejąc się.

— No — a wy, starowino, co myślicie, kto u nas będzie na wierzchu?

Guślarz począł wahać głową, palce po strunach biegaly mu coraz żywiej.

— Sokół i sokolicha długo wróble jedli — począł podśpiewywać sobie, nie patrząc na pytającego — jedli i latali górą! Aż się wróble zbiorą kupą, za sokółem lecą, to ten dziubnie, to ów dłuźnie; pióra z niego lecą. A gonia, a gnają. Co się sokół zwróci, to wróbel upada, ale cztery stada, gromada nie łada. Już i kruki z niemi, pędzi cała chmara! Sokół mdleje, siada, wróbli, kruków mnogość leci, dziubią oczy, skubią skrzydła. Wróble poczęły, skończyły kruki, rozerwały na sztuki, na sztuki! Kruce lecą, kości świecą.

Ludzie słuchając pokiwali głowami, guślarz po-brząkał jeszcze, na ławę siadł, głowę spuścił. Szeptano cicho.

— Byłby sokół cały, gdyby nie sokolicha!

Na drodze nie widać już było Jaksy, dojeżdżał do wrót grodowych, stróże w nich stali. Zwolnił sobie kroku, włókł się pomalutku noga za nogą. Dojechałszy do bramy, gdy stróże przepytować wstali, konia spiał nagle, przez wrota skoczył i minął ich.

Zerwali się za nim wołając, ale już przepadł kędyś między chałupami, ani śladu! Kie lichu! Pokiwali głowami i usiedli!

Jeden drugiego lajać począł.

— Tyś winien. Tyś się zagapił. — W tem nadjechali społem już oba zmęczeni pogońce.

— Jechał tędy konny?

— A już ciż.

— Kimże się opowiadał.

— Końskim ogonem — odparł jeden ze stróżów z gniewem — tyleśmy widzieli go co nam pod nos zamiótł chwostem.

Cóż robić było? Ziewnęli u wrót stojący, zakleli i siedli.

Jaksa tymczasem już do biskupiego dworu się zbliżał, a tu, nie czekając aż mu otworzą, z konia zsiadłszy do furty walił. Co trzy razy uderzył, to stanie i czeka. Za drugą trójką otwarto wrota, wpadł przez nie, konia ciągnąc za sobą. Zamykał zawołał — a spyta kto? mówić, nikogo nie widzieliście.

Opasły stryjasek witał już w podwórku synowca i ścisnął go ciesząc się. Razem coprędzej szli do ks. Janika.

Biskupowi wojna już srodze była dojadła. Księży mu wybijała jak muchy, dziesięciny zagrabiła, mnożyła niepokój; zły też był na nią, bo i na łowy trudno się było wychylić.

Zobaczywszy tu Jakę znowu, uląkł się ks. Janik.

— A pocóżes tu głowę przyniósł? — zawołał.

— Musiałem! — odparł Jaksa — was ztąd wyciągnąć mi kazano.

— A jaż tam po co? — odezwał się ręce składając ks. Janik. — Mało ich tam jest i nie wiedzą sami co czynić? Jeszczem ja im potrzebny, który od nich nie więcej wiem!

— Jak ono jest to jest — odezwał się Jaksa — ks. Pasterz Gnieźnieński pilno was do siebie do Poznania powołuje. Z tem jadę.

— A ja mu tam do czego?

— Biskupów potrzeba jak najwięcej — odezwał się Jaksa — aby ich powaga siły nasze poparła. Sam ks. Arcybiskup wybiera się do obozu.

Biskup podniósł oczy do góry.

— Daj Bóg, abyśmy mu cokolwiek pomogli — westchnął. — Wojna to z ludźmi, co ani Boga ani sług jego nie szanują. Myśleliśmy, gdy się nam poszczęściło pod Pilicą, że temu już będzie koniec. Niezbożni dwakroć większe siły zebrali i poszli brać grody, i pobrali jedne po drugich. A nas szczupła gromadka!

— Nas dużo, ojcze kochany — począł Jaksa, ręce jego całując. — Wszystko się tak składa, że gdzie oni tryumfu się spodziewali, tam zgubę znaleźć muszą. Odbiegną Władysława wszyscy, gdy ujrzą, że Bóg go opuścił, gdy Arcybiskup klątwę nań rzuci uroczystą.

— Gdzie? jak? kiedy — spytał ks. Janik.

— We własnym jego obozie, wobec jego ludzi — mówił Jaksa — tak jest postanowiono.

Ks. Janik zadumany, mileżał.

— Więc mnie tam żądają? — rzekł po chwili.

— Z tem tu przybyłem — począł Jaksa wesoło. — Do samego Wrocławia chwyтали mnie po drodze, nie mogąc pochwycić. Oto dzięki Bogu stoję u celu, a teraz gdy suknię waszego sługi przywdzieję i z wami nazad jechać będę, już mi się nie stać nie może.

Ks. Janikowi twarz się powoli rozjaśniała.

— Powiedz mi co o naszym Petru? Jak mu jest?

— Mężny jako żaden, cierpliwy jakom nie widział nikogo — odpowiedział Jaksa. — Wszyscy go tam jako męczennika czezą, albowiem się nim stał i odmienił a stał prawie innym, świętym człowiekiem. Modli się i w duszy pogodę ma, jak gdyby z tego co mu się przygodziło, cieszył.

Mówili jeszcze, gdy po rączym chodzie i jasnym głosie, poznał Biskup nadchodzącego Starostę Rogera.

Zwrócili się ku drzwiom wszyscy. Wszedł rażno, wesół i śmiejący się jakby walną bitwę wygrał. Biskup patrzył nań, gdy mu ręce całował, nie pytając a czując, że sam zaraz spowiadać się zacznie.

Jakoż Starosta głowę podniósłszy, wnet mówił:

— Wasza Miłość jużescie i nieciekawi i zkąd jadę?

— Owszem, czekam, abyście mi waszą wesołą twarz tłómaczyli.

— Jadę od Mikowa i od Jerzego z Głogowa — zawołał Roger. — Prawda, zem się im i kłaniać i obdlić i nogi całować musiał, alem naostatek ich obu pozyskał. Jerzy zamku nie poda! nie! Mików będzie trzymać z nami i ta dzicz pogańska padnie, rozlezie się jako gasienice po ulewie w błoto wsiakając. Będziemy górą!

A obejrawszy się na Jakse.

— Ty zkąd tu! Jakso? — zawołał.

— Złamał gdzie maluczko a wszystko się rozstrzygnie — rzekł uśmiechnięty Marek.

— I widziałeś kochanego pana mego?

— Jak was widzę!

Roger skoczył ku niemu.

— A mówże, mów, jak on jest? Padł-li? znękan? przybity? zwątpił? Chory czy zdrow?

— Tak jak wy w miłosierdzie Boże ufa — mówił Jaksa — i wesół jest jak wy, i powiada, że cały wzrok odzyska, gdy Kaina z ziemi wyżeniemy.

— A że bezbożnik wygnany być musi! — okrzyknął Roger wielkim głosem — to tak pewne jest jak że Bóg na niebie! Jam na jedno oka mgnienie ani zwątpił ni się uląkł! W powrozach ich, w więzieniu, pod groźbami śmierci, śmiałem się i radowałem zwycięztwu! Jak ono przyjdzie? zkąd? Spadnie-li z niebios, wyrośnie z ziemi, nie wiem; ale wierzę w nie, jak w Boga wierzę.

Biskup Janik przejęty, uściskał go.

— Mówi pismo, iż wiara góry przenosi, nie wiem, Dunin. T. II.

może ta twoja wiara uparta, którą ja naganiałem nieraz, zwycięstwo przeniesie na stronę inną. Ale prawdaż to, że Mikowa zyskałeś, że Jerzy z tobą!

Roger palce złożył jak do przysięgi.

— Opierał się Juraś—rzekł—bał się Mików, pókim ich nie poruszył wstydem, nie ubłagał prośbami; nie pokazał, że sromemby się okryli, gdyby nie pomścili zbrodni na Petru dokonanej, na tym panu, który w sercu nieboszczyka króla pierwsze miał miejsce, który ziemię nasze wielokroć wybawił, który je kościołami okrył, klasztorami zasiał, murami odział, a bronił sprawiedliwości przeciw bezprawiu.

Jaksa z poszanowaniem ujął Rogera za długo wiszący rękaw zwierzchniej sukni i kraj jego pocałował w milczeniu.

— Bóg niech wam nagrodzi!—szepnął cicho.

— Nie mnie nagrodzi on — przerwał starosta—ale tego pana, męczennika, którego tryumf oglądać będą oczy nasze! Sprawa Petrkowa sprawą Bożą, a Władysławowa szatańska.

Zapalił się tak Roger, aż Biskup znak mu dał, ażeby się miarkował.

Mówić zaczęto o innych grodach, do których książę Władysław rozesłał gońców, aby się na gwałt mu poddawały. Radzono jak je obronić. Biskup mniej miał odwagi, wiedząc jak ogromną przestrzeń ziem zalewały posiłki Władysławowe. Jeden prawie Roznań pozostał już w rękach młodszej braci.

Roger się tem nie trwożył.

— Co odpadło powrócił—mówił—dosyć mieliśmy panowania krwi i ognia—ostatnie to konanie jego.

Biskup, który się z razu zdał wahać z podróży, teraz gdy pomyślał, że na koń sięś będzie mógł, a ciągnąc kawał drogi lasami, może i zwierza zobaczyć i sokoła gdzie spróbować—odżył nieco i nagięć poczał sam.

Jaksa rad był zbiedz jeszcze do Komorowa, ale mu na to czasu dać nie chciał ks. Janik, zaraz na-

zajutrz wybierając się do Gniezna, rozkazując, aby konie miano w pogotowiu, ludzi mu dobrano i dwór, sakwy, psy i ptaki.

Z małym bardzo orszakiem puścić się w drogę nie było można, bo choć od wszelakiej napaści duchownego suknia i krzyż bronił, Połowcy dzieci na nie nie zważali. Trzeba było gotować się, aby w razie napaści jednej z kup, które się po kraju wałęsały samopas, skutecznie się jej obronić. Dla biskupa taka przygoda wstrętliwą nie była, rycerski duch jego, który suknią przygniatała, rad był być zmuszonym do życia obrony i zdobycia bodaj oręża, którego mu, zwykłego czasu nosić nie było wolno.

Sprawy biskupstwa zostały przy archidyakonie Robercie, reszta psów i sokołów na opiece pana brata, któremu opasłość z miejsca się ruszać nie dozwalała. Co miał zwawszego ludu ks. Janik, wszystkim nazajutrz hasło dano, aby z końmi gotowi byli do pochodu. Wszyscy też długo między parkanami zamknięci, rozkazowi byli radzi.

Na zaraniu odprawiło się nabożeństwo, konie pod kościołem już prychały gotowe, czeladź mnoga kręciła się około progu. Dzień był piękny i świeży po deszczu wczorajszym.

Jaksa wdziawszy dworską barwę, wmieszał się do biskupiego orszaku. Wyjeżdżającego biskupa, zęgnął Opat z Benedyktynami, przeprowadzał Starosta Roger, który na Szlaku pozostać musiał, aby tę ziemię dla młodych książąt zachować.

Jechali tak do wrót miasta, u których straż stała jak wczora. Przed Biskupem pokłonili się pokornie, ale jeden z nich podniósłszy nieco głowę, Jakse zobaczył i poznał. Potrącili się łokciami.

— Ten sam jest! — biskupi sługa!

Letnia podróż na dziarskim koniu, komuby nie była do smaku? Biskupowi też czoło się zaraz wyjaśniało, gdy powietrzem wolnem odetchnął i okiem sięgnął ku sinym lasom. Chwalił Boga w cudownych

dzielach jego, w krasie letniego poranku pełnego wonności świątecznych i blasków tęczowych.

Lecz dalej jadąc zasępiło się czoło. Przerzynali okolice, któremi przeszła już wojna, a po niej naówczas nie pozostawało nic — popiół tylko i kości!

Wśród lasów zabiegły im drogę gromady ludzi głodnych, na wpół nagich, wycieńczonych, żyjących grzyby i jagodami leśnemi lub pochwycyconem zwierzem — prosząc o chleba okrucy. Gromady te trupów żywych płakały po spustoszonych sióлах swoich, a gdy je minęli, długo jeszcze jęk ich gonił za niemi i w uszach się odzywał...

Gdzie przepłynął ów strumień śmierci, tam i liści na drzewie nie pozostało; w wielu miejscach gorzały lasy, płonęły wyschłe łąki, świeciły dogorywające stogi, chmurą czarną dym się nad puszcami kłębił, płowemi płomieniami porozdzierany.

I gdy ciągnęli drogą padały podpalone sosny obsypując ich iskrami, zwierz spłoszony wybiegał stadami przelekle, zmieszany pospół, żubry, łosie, sarny, wilec, bo płomień gnało za niemi.

Drugiego dnia, już tylko czarne, zwęglone przebywali zgliszczu, z których kruki się zrywały, ogryzające kości białe, zwierza i ludzi.

W dali czasem mignął im mały oddział jakichś ludzi, i chował się w gęstwinę.

Poobalane leżały krzyże, pospalane i poryte cmentarze, na rzekach mosty powywracane, pustynia smętna wszędzie, a nad nią to niebo wiekuiście pogodne, jasne, wesołe, które straszy jak nielitościwy wyrok, nawet łzą nieskropiony.

VIII.

Jak gród grodem stał nad Cybiną i Główną, nigdy tu jeszcze takiego zbiegowiska ludu nie było, jak teraz, gdy Poznań ks. Władysław oblegał.

Jak okiem sięgnąć rozkładał się do koła obóz Władysławowy, albo raczej kilka obozowisk połączonych z sobą.

Stały jedne przy drugich szalasy, jak grzyby z ziemi wyrosłe, ciasno zbite, dalej namioty białe, szare i pasiaste, i szopy naprędce poklecone, a w posrodku na pagórku widać było, niby dwór ogromny namiot pański, nad którym wysoko czerwona wiała chorągiew. Wiała wysoko, dumnie, zdając się urągać wieżycy na zamku obleżonym, która też czoło podnosiła do góry, a na niej tkwiło także czerwone znamię królewskich dzieci.

Niewielki gród, choć warowny, wśród tej okolicy gęsto, szeroko ludem nabitej, zdawał się jakby orzechem w potężnej dłoni, co go ścisnąć mogła i na miazgę zgruchotać.

To też na zamek ów patrzano z obozu księcia Władysława, jako na łatwą zdobycz, którą każdej godziny pochwycić było można.

I książe Władysław teraz inaczej myślał, innego się spodziewał, niż gdy z pod Pilicy sromotnie uchodzić musiał. Coraz wychodził z namiotu swojego, i w boki się ujawsz, spoglądał na gród, bo w nim zebrani byli wszyscy, których ująć chciał, aby wojnę zakończyć. Bracia młodszy czterej, Petrek zdrajcą mianowany, Wszebór zdrajca drugi, a mnodzy inni, których zdrajcami zwano.

Na grodzie obleżonym tak cicho było, tak się wydawało pusto, jakby go już rozpacz ogarnęła, i oniemiała, albo nadzieja karmiła niepojęta.

Czasem z wieżyczki nad tłumem słychać było dzwonek wołający na modlitwę, niekiedy trąby zwoływały ludzi, potem na wałach, za ostrokołami i przymurkami ledwie się gdzie głowa z hełmem pokazała i znikła.

Na wieży tylko grodowej czasem widać było wchodzących kilku zbrojnych, co się po okolicy rozglądali. Widok, jaki się z niej rozpościerał, najmężniejsze mógł strwożyć serce.

Tysiące koni pasło się po łąkach, tysiące ludzi obsiadało ogniska, gwar jak z kipiącego kotła, dzień i noc nad obozem się unosił; gwar zmieszany dzikich pieśni, krzyków ludzi, rżenia koni, beczenia i ryku stad na rzeź pędzonych, niezrozumiałe brzęki i szczełki broni i ruchów tłumu.

Osobną lawą leżeli Polowce, prawie bez namiotów i osłony, na gołej ziemi u kotłów swoich. Kupa ich każda kociół swój miała i do niego się garnęła, a na tykach pozatykane były znaki ich dziwne, ogony końskie i pierze, a skrzydła jakichś ptaków.

Czasem na małym koniu, przytulony do niego, jakby z nim zrosły, człeczek mały, nogami brzuch jego obejmując, zwieszony nad grzywą; przesuwał się między namiotami, schylał się ku ziemi, chwytając z niej co chciał, zsuwał ze szkapy, wskakiwał na nią, nie wstrzymując w pędzie.

Czasem dwu się ich uganiało z oszczepy, podrzucali je w górę i łapali, piskiem dzikim napełniając powietrze. U ognisk gdzie niegdzie odprawiały się jakieś obrzędy, zwlekali ludzie w mileczeniu; nagle jeden z nich padał. Włó się pieniąc i wrzeszcząc, a drudzy jak szaleni latali wkoło, póki nie popadali znużeni i nie nastała cisza grobowa.

Indziej związanych trzymano jeńców na powrozach, owdzie rycząc dzielono pobrane łupy, ucinano łby wołom, odzierano ze skór barany i pieczono je na ogniach i kamieniach. Tu i owdzie stały kładzie i beczki, a gromady leżały przy nich. Górą po nad

tem unosiły się kruki i gąłki, jakby już sobie ludzi na żer znaczyły i na nich trupy zmawiały.

Namiot pański zdawał poznać było można, bo był ogromny, płatami szkarłatu okryty, a pobudowany tak, aby książęcia, jego dwór, kuchnię i czeładź mnogą pomieścił.

W pośrodku namiotu wrota na przestrzał stały otworem, tak, by mógł wóz zajechać wpośrodek i stać pod płócienną od sloty osłoną. W prawo, poprzdzielane ściankami i opłotki, były izby pańskie, księżnej, starszyny kilku. U wnijscia strażę chodziły, psy się wylegiwały na słońcu. Było przed południem, wojsko wszystkie odpoczywało; nie miano się czego śpieszyć, gród był w ręku. Osaczali go dokoła, nie siłą to głodem wziąć mogli, lada chwilę strwożony musiał się poddać. Czy dziś wieczór, czy jutro rano szturm doń przypuścić, wszystko już było jedno; nie mógł mieć znikąd ratunku.

Książę Władysław siedział na pniu pokrytym sukniem, a dumal sobie roztargniony. Księżna się na siedzeniu miękkim naprzeciw niego rozpościęrała. Patrzali na się. Agnieszka tryumfowała, błogo jej było.

— A cóż? — mruczała, spoglądając na męża z wyrzutem jakimś i pogardą — a cóż? nie stałoż się jakom mówiła? Tyś się chciał układać po Pilicy, a oto ich wszystkich w garści mamy, i już nie ujdą nam!

Władysław patrzył w ziemię.

— Cóż z niemi uczynimy? co? — zapytał.

Agnieszka wstrząsnęła się z odrazą i niecierpliwością.

— Cóż? czy jeszcze pytać trzeba? Czy się to żywi, co szkodliwe?

— Na wygnanie ich wszystkich! — odezwał się jakby nie słysząc Władysława. — Pójdą za siostrą Gertrudą, pójdą!

— Ażeby zamtąd wrócili ze sprzymierzeńcami? — zaśmiała się Agnieszka. — Albo to nie ma zamków

i lochów dla nich, gdzie bezpiecznie siedzieć mogą, dopóki nie wyzdychają!

Książę ciągle był z myślami swemi, i kończył nie zważając na żonę.

— Jeden Petrek głowę da. Temu nie przebaczę, a i Wszebór wart pod topór, ale stary człek.. stary człek!

— Hm! Petrek?—śmiała się księżna— a co nam po jego głowie? Gdy nie stanie książąt, co nam ten robak szkodzi? Starszych oślepić trzeba, młodszy...

Nie dokończyła, bo Dobek podniósłszy ściankę wszedł do nich.

— Na grodzie się coś ruszać zaczyna—rzekł— ludzie się kręcą. Pewnie posły wyprawia o łaskę prosząc. Co czynić, gdyby zażądali rozmowy?

— Przede mnie ich prowadzić — odezwał się Władysław. — Tu!

— Nie potrzeba słuchać żadnych posłów—przerwała Agnieszka. — Niech książęta przyjdą sami, i co przedniejsi z niemi; topór się rozmówi i koniec będzie!

Na wykrzyk ten Dobek nawet nie rzekł nic i kończył swoje.

— Mówią, że u nich już wody nie ma, studnie powypijali, reszta wyschła, pragnienie panuje straszne, lud mrze.

Zaśmiał się Dobek.

— Poddadzą się, nie dziś to jutro — dokończył z obojętnością Władysław.

— Nie ma wątpliwości — dodał Niemiec. — Byle nie pozakopywali wprzód skarbow swych, które książęta zewsząd tam pościągali; łup będzie ogromny. Cudzym ludziom do grodu nie trzeba się dać ani zbliżyć.

Książę Władysław głową to potwierdził, wstał i wyszedł się znowu cieszyć widokiem milczącego grodu, który jak skała ruchomem morzem głów ludzkich stał otoczony.

W istocie na zamku w tej chwili ruch większy widać było, bieganie za murami, zbrojnych więcej u wałów. Tu i owdzie strożkowaty szyszak błyszczący wytknął się do góry i zniknął.

— Sposobią się już do poddania niechybnie— rzekł w duchu książę.

Wtem konny człek dopadł do książęcego namiotu. Książę i Dobek, który za nim wyszedł, popatrzyli nań. Twarz jakąś miał pomieszana, jakby przeleżał.

Wskazał ręką daleko, niby po za obozowe szranki.

— Tam, het!—począł zdyszany—jest ich dość, wał a wał się!

— Kto? gdzie?—spytał Dobek.

— A woje! woje!

— Nasz lud?

— Nie!... mówią, że dla obleżonych gromady ciągną.

Książę się rozśmiał pogardliwie.

— W matnię sami idą—odezwał się— a niech idą! Spóźnili się pewnie na odsiecz zamkowi, a chcieliby się teraz do niego dostać! Ha! ha! niech przybywają.

Nadbiegł drugi z tem samem. Pytano:

— Dużo ich tam?

— Kto policzy? hej! kupy się suną! dużo tego! Kazał książę ślać na zwiady, ale się nie strwożył nikt.

Co znaczyły nędzne kupki przeciw nagromadzonym tysiącom? Śmieli się niektórzy:

— W porę się zebrali na nas!

Już miał książę nazad wniknąć do namiotu, gdy z drugiej strony nadbiegł sotnik stary.

— Droga ode Gniezna orszak tu jakiś ciągnie— rzekł. — Krzyż przed wozem niosą. Wóz czerwono wysłany, na nim siedzi mąż wiekowy w sukni szkarłatnej.

Książę Władysław zatrząsł się.

— Arcybiskup z Gniezna! — zawołał. — Hej, Dobek! na koń i drogę mu przetorować do mnie, aby go nie śmiał tknąć, ani nie poszanować lud. Pasterz jest!

Z tem wszedł niespokojny trochę do namiotu, gdzie siedziała Agnieszka.

— Z Gniezna arcybiskup jedzie! — zawołał.

— Można się go było spodziewać — odparła księżna. — Jedzie za książętami prosić, bo oni wszyscy z niemi trzymają. Czują, że dla nich nie ma ratunku. Nie ich to sprawa, ale nasza, litości nie trzeba mieć. Pokłonem się go odprawi. Co mu do tego?

Ludzie na wzgórzu kupili się i patrzyli, bo na gościu widać już było poczet niemały. Krzyż srebrny, który świecił cały od słońca, wioził na koniu siedzący krucyfer. Za nim jechał dwór konny i liczny orszak zbrojny, a w pośrodku na wozie krytym jechał sędziwy Jakub ze Żnina. Co było ludzi chrześcijańskich po drodze, padali przed nim na kolana, a on ich w prawo i w lewo palcami złożonemi błogosławił. Cisza się stała w obozie uroczysta.

Wóz ten szkarłatny, ciągnący powoli, straszny był, jakby na sobie dźwigał potęgę wielką.

Patrzano za nim, jak się posuwał zwolna, toczył poważnie, zmierzając wprost ku namiotowi księżemu. Kto bliżej mógł spojrzeć w twarz starca, dojrzał w obliczu tem jakiegoś oburzenia i gniewu, który przerażał.

Starzec oczyma wodząc po obozie, wstrząsał się ze zgrozy.

Za nim w komzach ze świecami zapalonemi postępowali duchowni, a na czele ich Rupert biskup krakowski i ks. Janik wrocławski w sukniach obrzędowych kościelnych, z laskami i świecami w rękę.

Ten występ duchowieństwa, tak odświętny, uroczysty jakiś, patrzącym z namiotu wydał się dziwnym, strasznym prawie. Coś w nim było pogrzebo-

wego. Książę Władysław stał blady i pomięszany. Agnieszka zarumieniła się niespokojna.

Orszak jakby naumyślnie ciągnął nogą za nogą, zatoczył się na wzgórze aż pod sam namiot księżęcy i na dany znak przez arcybiskupa, zamiast stanąć u wnijsia jego, zawrócił w samą namiotu bramę i wjechał w nią. Duchowni wszyscy weszli za nim ze świecami w rękach, i do koła patrząc stanęli.

Arcybiskup nie powstał, na wysokiem siedzeniu, jak na tronie siedząc, czekać się zdawał. Panowało milczenie, ludzie się gromadzili, wyszedł zwolna książę odkrywszy głowę, wysunęła się za nim Agnieszka.

Stanęli jak winowajcy przed tym starcem, który ponad niemi rozsiadłszy się, z góry spoglądał chmurno.

Władysław po krótkim namyśle, do wozu się zbliżył, zdało mu się, że arcybiskup wysiadzie.

Nie ruszył się starzec.

— Nie gościem ja tu do was przybyłem, ale mścicielem — odezwał się powoli, głosem poważnym. — Pogwałciliście bozkie i ludzkie prawa, ziemie nasze zaleśliście pogaństwem, obalone kościoły, pomordowani słudzy boży, trupami usłane pola! To sprawa wasza! Idziecie następując nielitościwie na gardła braci waszych! nieopamiętani nieczem.

Wstrzymał się, wzruszenie mu głos w piersi zatamowało. Władysław blady milczał. Patrzył na żonę, której oczy krwią zabiegały, rękami trzymała płótno namiotu, gniotąc je jakby poszarpać chciała.

— Nie kajacie się, Kainy! nie kajacie się, nie zbrojni. Niech więc spadnie na was grom Boży!

Wstrzymał się raz drugi, czekając. Władysław milczał dumnie, groźba obudziła w nim nie postrach, ale gniew uporny. Zwolna kołpak, który trzymał w ręku, nałożył na głowę i spojrział na biskupa zuchwale i wyzywająco.

Czuł się tu panem.

W starcu gniew urosł jeszcze.

— Nie kajacie się?—powtórzył—niech spadnie na was grom Boży!

I podniósłszy się z siedzenia, ręce do góry rozpostarł wołając.

— Anathema na ciebie Władysławie, anathema na żonę twą i współniczkę, na cały ród twój, do dziesiątego pokolenia. Bądźcie przeklęci na ziemi, w życiu i po zgonie, bądźcie przeklęci z Kainem i Lucyperem! Anathema na was! anathema!

Biskup cisnął świecę podaną mu przez księdza, a za nim inni wszyscy poczęli rzucać i gasić światła, powtarzając chórem, głosami wielkimi.

— Anathema! anathema!

Ks. Władysław drżący stał słupem, ci co go otaczali słuchali odrętwieni. Agnieszka padła na kolana, potem porwawszy się wnet, za ścianę namiotu ukryła.

Rozlegało się — Anathema, a po nim groźne milczenie.

Arcybiskup usiadł twarz odwracając, na dany znak wóz z pod namiotu, w którym stał, zwolna wyciągać zaczął na plac, gdzie mnóstwo żołnierzy i ciurów zbiegło się patrzeć na przybyłych duchownych jak na widowisko jakieś dziwne, którego znaczenia nie rozumiało.

Lecz tłum ten, do którego nie dochodziły wyrazy strasznej klątwy, drżał od trwogi przeczuciem.

W tem woźnica arcybiskupi, gdy już z pod namiotu wyjeżdżał, jakby umyślnie kołem zawadził o słup utrzymujący płócienne okrycie, i zaledwie się wóz wytoczył, gdy one drzewce zachwiało się i namiot cały runął na głowy stojących pod nim, księcia Władysława, żony jego i dworu*).

*) Historyczne.

Krzyk przerażenia dobył się z pod płócien, pod któremi poruszali się, dobywając przygniecenia.

Nie można było posądzać, że się to stało umyślnie, ale że Bóg uczynił znak, zgubę przepowiadający Władysławowi.

Stojący dokoła ludzie rzucili się wnet odgarniać płótna i wydobywać z pod nich przygniecionych niemi. Tymczasem wóz arcybiskupi, który otaczało duchowieństwo, zwolna ciągnąc obozowymi uliczkami, witany po drodze przez strwożonych żołnierzy, bez przeszkody oddalił się, zostawując za sobą przerażenie i grozę.

Z pod namiotu pierwszy wydostał się książę Władysław, z ruskim swym sprzymierzeńcem kniazem Wsewołodem, który wypadkiem tym, więcej był przerażony od niego. Chłodny, obojętny prawie już, ostygłszy z pierwszej trwogi, Władysław nie rzekłszy nic, patrzył na odjeżdżającego arcybiskupa. Ani narzekania, ani jeden wyraz gniewny nie dobył się z ust jego.

Takie było nawyknięcie do posłuszeństwa dla duchownych, takie poszanowanie tego stanu, wrazone przez pierwszych panujących, u których oni stali na równi z królami i mocarzami, iż porwanie się przeciw kapłanowi, niesłychanem, niemożliwem było.

Klątwa, która strąciła z tronu Szczodrego, stała jeszcze w pamięci wszystkich.

Taką samą teraz cisnął arcybiskup na księcia, na żonę jego i na wszystkich współników, dopomagających mu przeciw braci.

Książę stał zadumany, upokorzony, a jednak mało nią poruszony, gdy Agnieszka z płacziwym gniewem doń przybiegła.

— Słać potrzeba natychmiast do Rzymu! do Papieża, do Cesarza! ze skargami, z żalobą — wołała targając suknię na sobie. — Niepierwsza to niesprawiedliwa klątwa, której Pan Bóg nie wysłucha! Zważać na nią byłoby tchórzostwem, zgubą, podłością! Nie

mieli już innego ratunku, to ostatnia ich strzała. Gdy ta nie poskutkuje poddać się muszą.

Tak mówiła księżna, a zbiegający się Niemcy gorąco ją popierali, śmiejąc się z księży, którzy mieli nie nie sprawiwszy, okryci hańbą, prosić sami później o przebaczenie.

Ruski książę patrzył i słuchał niewiele rozumiejąc; wszelako jemu się to nie podobało i dawało do myślenia. Gdy Władysław do niego z pytaniem się zwrócił, począł mu szeptać.

— Ej, brat ty mój! Zgodziłby się z niemi może! Ze świąszczennikami niedobra sprawa. U was oni wielką wolę mają, musicie ich słuchać! Zgoda lepsza! A toż to bracia wasi.

— Nie bracia są, wrogowie, nieprzyjaciele — wtrąciła gwałtownie Agnieszka — z niemi zgody być nie może. Jeżeli im życie darujemy, niech i za to dziękują Bogu! Z kłątwy nas starszy nad nich Biskup Rzymski rozwiąże, a my postaramy się, aby ją rzucił na tych, co śmieli prawego pana swojego znieważać!

Wśród żwawych rozmów o tem całego dworu, Władysław stał zimny i niemal obojętny. Z dziwnie chłodną jakąś krwią spoglądał na gród obleżony i jakby nie słuchając co mówiono dokoła, odezwał się po przestanku.

— Poddać się muszą! muszą.

Namiet tymczasem coprędzej podnoszono i umocowywano, słudzy nawet ślady kół wozu arcybiskupiego zamiatali, aby zatrzeć znaki i pamięć wypadku, który dwór, żołnierzy i wszystkich, przejął straszną trwogą.

Około książąt kręcący się Niemcy pokrywali śmiechem wewnętrzny niepokój, powtarzali za księżną odgrazanie się Rzymem i udawali, że lekce to sobie ważą. W wojsku przybycie biskupów, uroczyste ich wystąpienie w obronie młodych książąt obudziło obawę o własne bezpieczeństwo. Wiedzano co klątwa znaczy.

Nad wieczór przybywający dowódcy twarze przynosili posępne, Dobek postrzegał, że wojsku odwaga i ochota od boju odpadła. Rozpowiadano sobie w obozie, jak na jedno skinienie ręki starego arcybiskupa sam z siebie, nietknięty namiot runął na głowę księcia. Tłómaczono to jako znak i przepowiednię zguby.

Wieczorem gdy się wieści coraz bardziej trwożące szerzyły, Dobek, nie wiedząc czem w wojsku męstwo odżywić, kazał beczki powytaczać, aby się ludzie napojem raczyli jako chcieli.

Mimo to milczenie znaczące, eichemi przerywane szeptami panowało w dolinie nad Cybiną i Główną.

Cicha noc letnia pokryła ją swym płaszczem gwiaździstym.

Do powiększenia obawy wzbudzonej klątwą, przyczyniało się i to, że na tyłach od rana pułki jakieś pokazywać się zaczynały, które poza obozem na nocleg legły, postawiwszy strażę na przodzie.

Dwa wojska dzielił niewielki rozdół tylko, którym ciekł na pół wyschły strumień, gdzieniegdzie się jeszcze sączący. Tu z obu stron ciągnęli żołnierze, przypatrując się sobie, wyzywając, zaczepiając i łajac, odgrazając i przedrzwiewając.

Poznawano w sobie przeciwników. Z tamtej strony ludzi pana Władysławowych nazywano poganami; z tej wywdzięczano łajac przybyłych jako kleszych ciurów.

Tu i owdzie począwszy od łajania, przechodzono potem do rozmów spokojniejszych, do rozpytywania i utyskiwania. Śmielsi niektórzy z za strumienia podchodzili namawiając Władysławowych, aby do nich zawrócili, rzuciwszy spółkę z wyklętym; lękając się gniewu Bożego i pomsty. Gdy noc czarna nastała, kupki z obu stron nad Główną stojące, połączyły się powoli, szeptały zgodne, porozumiewano się, biegano i ciemność okryła wszystko. Do żadnych zaczepk i starcia nie przyszło.

Nazajutrz rano rozpocząć się miał napad na zamek.

Nie spieszono z tem bardzo, nie chcąc nadaremnie tracić ludzi, gdy i tak poddanie się grodu było nieuchronnem. Ten i ów podsuwał się pod mury i wały, śmielsze kupki ochotników rzucały się samopas, spinały pod ostrokoły, wtem nagle spadała belka, toczyły się kamienie, zębate koła, i garść wystraszona, zostawiwszy kilka ofiar w miejscu, cofała się z przekleństwami.

Lada chwila oczekiwano poddania się zamku.

— Ufają w siły swojego arcybiskupa — powtarzała Agnieszka mężowi — gdy się przekonają, że na jego klątwę nie zważamy, będą prosić o łaskę.

Czekano więc cierpliwie.

Około południa wszystko w obozie szło na spoczynek. Książę Władysław pod namiotem, którego ściany podniesiono dla upału, aby wiatr przewiewał, siadł razem z księżną i kniazem Wsewołodem za stół. Ztąd jak na dłoni widać było gród obleżony, wieżę za kościołem Ś. Mikołaja i ciągle na nią występujących ludzi, którzy się ztamtąd obozowi przypatrywali.

Przy kotlach i kadziach zasiadło wojsko nieco rozweselone, posilać się i spoczywać. Upał był srogi. Sam on już ludzi nękał, choć się walką nie zmęczyli.

Z obozu w grodzie, z grodu w obozie ludzi i twarze niemal rozpoznać było można. Niekiedy ku murom śmielszy ktoś się podkradłszy, wypuszczał strzałę i śmiech z siebie czynił, a gdy ta w powietrze świsnąwszy spadała napróżno, natomiast z za parkanu belt raził śmiałka, który z guzem lub raną uciekał.

W wielkich misach i na szerokich deskach liśmi podesłanych, noszono na stół książęcy naprzód polewki, potem mięsiwa pieczone, których było dostatek, potem kasze różnie przyprawne. Podczaszowie nalewali w złote kubki, a dokoła psy książęce siedząc, stojąc, skomląc na rzucane im kości czekały.

Ks. Władysław patrzył ogryzając kość sarnią

ku grodowi, gdy kniaź Wsewołod, siedzący przy nim, ręką mu wskazał na wieżę za kościołem św. Mikołaja.

Na wieży tej ciągle widać było kręcących się ludzi, których głowy oknami wyglądały, ale ich tam żaden pocisk nie mógł osiągnąć. W chwili tej właśnie kilku ludzi stanęło na murze u samego wieży wierzchołka i podnieśli do góry ogromną tarczę czerwona, jakby świeżo we krwi zboczona.

Znak to był jakiś. Kniaź Wsewołod potrącił Władysława, ukazał mu godło krwawe i zapytał:

— Co to jest?

Władysław popatrzał chłodno i głową trząsnął.

— Co ma być!... Wiedzą, że nie żarty, dają nam znak, że się chcą poddawać.

Wtem tarcza znikła za murem. Oczy wszystkich na wieżę były zwrócone.

Zwolna tarcza czerwona poczęła się raz drugi podnosić ku górze i zawisła w powietrzu długo.

Kniaź Wsewołod zapytał znowu:

— Patrzajcie-no, bracie miły, tarcza się wychyla raz wtóry.

— Proszę o łaskę i rękawicę — odparł uśmiechając się książę — ale rękawicy dać nie mogę.

Nastało milczenie. Kazano kubki nalewać nowe, księżnej oczy polyskiwały radością dziką.

— Juściż nie może to być znak inny, tylko, że się poddać pragną — wołała, rękami bijąc i spoglądając na męża. — A cóż? a co? nie zdało się męztwo nasze, nie miałam słuszności, gdym żądała, aby trwać przy swoim i nie dawać się zastraszyć... A co? a co?

Gdy cześnicy nowe kubki naleli, kniaź Wsewołod, który z oka wieży nie spuszczał, trącił księcia Władysława.

— Patrzaj-no bracie, tarcz spuścili.

— To znaczy pokorę — rzekł Władysław — i lby ugną do ziemi tak samo.

Znikło całkiem krwawe znamię.

Dunia. T. II.

W obozie zaczynano też sobie więzę pokazywać palcami, a szydzić z obłęzonych. Już się radowano łatwym łupem.

— A szczeniaki przekłęt! al przyszła na was godzina! — wołali Niemcy otaczający namiot, którzy wywabieni tarczą, powybiegali i na głos się śmieli.

Wtem tarcza krwawa dźwignęła się po raz trzeci, ale teraz, jakby ją jakaś siła potężna uniosła, nad mur, wysoko wzbila się w powietrze, zawisła długo, a potem jak piorun na dół runęła.

Kniaź Wsewołod pokazał ją Władysławowi, nie dowierzając znaczeniu tego godła. Ks. Władysław śmiał się *).

— Jawna rzecz, o łaskę proszą!

— Nie bądź-że nadto surowym dla nich — odpowiedział Wsewołod — gdy ci Bóg dał bezkrwawe zwycięstwo... Pokaż się im bratem, przyjmij ich pokorę.

Agnieszka nie dała odpowiedzieć mężowi.

— Los ich postanowiony! ten się już zmienić nie może.

Książę potwierdził głową i dodał dumnie:

— Nie proście już darmo za niemi, zdrajcy są i zdrady nie zaniechają dopóki żywi.

Domawiał tych wyrazów, gdy ogromny wrzask powstał w obozie, widać było nagle od kotłów zrywających się ludzi, bieżących ku koniom i broni.

Pierwsza wrzawa powstała od strony grodu, zkad już biegł komornik książęcy, wołając, że z zamku wypadła garść zbrojnych ludzi i na obóz uderzyła.

Władysław dopijał kubka, gdy kniaź Wsewołod baczniejszy zerwał się z siedzenia prędko i do swojego namiotu pobiegł co żywiej, zbroję i hełm przywdziać. Wołał za nim książę, aby pił jeszcze pospołu, ale go słuchać nie chciał.

*) Historyczne.

Wtem i na tyłach obozu rozruch się stał także. I tam ludzie napadnięci u kotłów i kadzi bezbronni, porzuciwszy napój i jadło, lecieli do szalasów po pałki, siekiery i tarcze, które do kupy poustawiane były.

Na wieży św. Mikołaja wiała teraz ogromna chorągiew szkarłatna, pysznie jakoś i zwycięzko, po nad gród i dolinę.

W całym obozie już ruszało się co żyło; Dobek napół uzbrojony wpadł do namiotu.

— Zdrajcy! — zawołał — z dwóch stron napadli nas razem! Z grodu wyskoczyli jedni, wypatrzywszy, że nasi nie w pogotowiu, zgnetli ich, na tyłach walka, cisną naszych...

Wstał książę i jeszcze nie zatrwożył się, gdy i Agnieszka przypadła ręce łamiąc. Dopiero teraz przyszedł jej na pamięć ten namiot, co runął na ich głowy; przecucie złowrogie ogarnęło ją nagle.

— Koni! koni! — poczęła wołać głosem przełę-kłym—dwór do pana! Kto żyw, do nas!

Teraz już i książę się poruszył.

— Zbroi! — zawołał do komorników — kaftan mi tu dać! hełm! miecz! Nie może to być, aby ta garść śmiała i mogła na nas się porwać!

Kniaź Wsewołod w tej chwili już zbrojny na koniu, z drużyną swoją ruszał tam, gdzie walka się rozpoczęła; mijając namiot, oszczepem ukazał na bijących się, a z twarzy mu widać było, że niezbyt ufał zwycięztwu.

Pod namiotem książęcym, na dany znak przez Agnieszkę, której słuchać więcej niż pana ludzie byli przywykli, wszystko się ruszało z pośpiechem wielkim, trwoga ogarniała, bo krzyki i szczepek walki aż tu dochodziły.

Zewsząd rozlegało się wołanie rozpaczliwe:

— Koni! koni!

Księżna to ręce łamała, to zakrywała oczy, to krzyczała na głos, tupiąc nogami z gniewu.

Na tyłach obozu z małego szumu stał się też wkrótce zamęt i wrzask wielki.

I tam latali ludzie potraciwszy głowy, chwytając lada jaki oręż, który im wpadł pod rękę, drudzy koły powyrywali z szalasów; do broni się nie docisnąwszy.

Dwór z pośpiechem już zwijał namioty książęce, rzucano na wozy naczynia, suknie, oręż, co kto pochwycił. Konie wystraszone wrzawą rwały się woznicom z rąk, że je ledwie piesi pacholankowie za lby chwytając utrzymać mogli.

W obozie kurzawa powstała, jak chmura płowa, która widzieć nie pozwalając, co się za nią działo, przetrach jeszcze pomnażała.

Ks. Władysław siadł na koni, księżnę wsadził na wóz — i nie na pole walki śpieszyli, ale wydobyć się z niej chcieli, bo ich zewsząd ogarniała. Z obu stron nadbiegali ludzie popłoszeni, z których bezmowne, blade twarze donosiły już, z której strony było zwycięstwo.

Dobek, który przy księciu stał, nie wiedział sam kędy zawrócić, bo z tyłu sunęła się wielka lawa ludu i gniotła a rozpraszała Władysławowych, którzy w bezładzie uciekali, tarcze rzucając, broń gubiąc, padając pod konie i waląc się jedni na drugich.

Gdy książę Wsewołod, cofając się już od grodu, odepchnięty od niego z innemi, dobił się do tego miejsca, kędy przed chwilą stał namiot książęcy, znalazł tu tylko poobalane koły, kupy słomy i siana, ogniska wygasające i powywracane ławy, które na prędce skiecono. Księcia i księżnej śladu już nie było, a na pytanie kędy uszli, wskazano mu drożynę, którą uciekający ludzie biegli ku lasom.

Z wieży kościoła św. Mikołaja, jak na modlitwę uroczystą we święto odzywał się dzwon, w którego głosie wczorajsza klątwa Arcybiskupa jeszcze się odzywać zdawała.

Walka trwała ciągle, jeżeli nią mordowanie bezbronnych prawie nazwać było można. Władysławowi

ludzie uchodzili i tylko naciśnięci przez rycerzy książęcych, rozpaczliwie się bronili.

Z przeciwnej strony zajadłość była straszliwa.

Z dwóch boków pochwyczone wojsko księcia Władysława, choć liczniejsze, na miazgę starte zostało. Ludzie się nie spodziewali napadu, a opylanych postrach bezumny. Kupami leżały trupy, konie jak oszalałe rżąc i wierzgając, miotaly się na pobojuwisku. Z zamku wybiegła garść wybranych; która bój rozpoczęła, coraz teraz rosła, wychodzili z murów wszyscy, wrota zostawiając otworem, bo się już obawiać nie było kogo. Na wałach widać tylko było niewiasty w bieli, podnoszące ręce do góry, i mnichów w czerni, błogosławiących krzyżami walczącym.

Wieczór spuszczał się powoli na krwawe brzegi Cybiny i Głównej, bój był już tak jak skończony.

Odzierano trupy, wiązano pochwytanych, okrzyki dzikiego upojenia zwycięstwem unosiły się nad pobojuwiskiem, a dzwon od św. Mikołaja brzmiał teraz jakby Bogu na chwałę za tryumf uciśnionych.

Wśród zajadłej walki nikt nie pomyślał o pogoni za ks. Władysławem i Agnieszką, którzy z małą garścią dworu i straży swej zdołali dopaść do lasów i niemi ująć przed nieprzyjacielem.

W milczeniu ponurem wlekli się wszyscy. Na wozie Agnieszka głowę na rękach sparlszy płakała, ale lzy jej gniewu i żółci były pełne. Niekiedy pięściami uderzała po kolanach i z piersi jej dobywał się głos stłumiony.

— Nigdy!

Władysław, z głową na piersi zwisłą, jechał niemy.

— Zwyciężyli nas u Pilicy — wołała niewiasta — rozproszyli i tu, ale wojna nie skończona jeszcze! Cesarz mój brat w pomoc przyjsć musi! jego rycerstwa nie pokonają tak łatwo jak tej gawiedzi. O, nigdy! Do Krakowa! na gród! Zamkniemy się tam,

nie będą śmieli przystąpić! Tam jesteśmy bezpieczni, aż cesarscy nadciągną.

Niemiec z tyłu się włókł, nie słysząc nic, nie wiedząc co się z nim działo. Czasem go rozbudzał głos pani, to znów wpadał w osłabienie. Kłątwa arcybiskupa leciała za nimi.

Wieczór i noc ciszę przyniosły z sobą na polu krwią oblanem. W tumie rozlegały się pieśni, na wałach brzmiało wesele; walka była wywalczona. Władysław uszedł.

Późną już nocą wszyscy książęta zeszli się do dolnej izby zamkowej. Dwu z nich było w walce i z niej wracało, Bolko i Mieszek, dwu młodszych patrzali na nią z wieży i drżeli jeszcze, grozą tego widoku przejęci.

Z zawiązaną głową w pośrodku nich stał Pala-
tyń Petrek, szepejąc modlitwę dziękczynną.

— Daleś mi, Panie dożyć tej chwili sprawie-
dliwości twojej, odpuść mnie teraz w pokoju. Amen!

I uściśkał stojącego obok Światosława.

Radość wielka była na zamku, ale obawy re-
sztki mieszała się z nią jeszcze. Wtem z pola walki
wracający dopiero, we zbroi cały, wszedł hełm zde-
mując Wszebor palatyn, wołając od samego progu:

— Przy nas zwycięztwo! Radujcie się, miłościwi
panowie nasi! Niewiele uszło! Rozbite ich pułki i roz-
proszone, ścigają nasi po lasach. Cybina i Główna
potokami krwawymi do Warty płyną. Chwała Bogu
na wysokościach, który nam dał zwycięztwo! Bądźcie
pozdrowione sieroty pana mojego, którym powrócone
jest dziedzictwo ojca waszego!

Petrek ręce podnosił do góry.

— Nie koniec to, początek tylko — wołał — ale
mocen Bóg i ten, kto Bogu ufal

Okna izby, w której wszyscy stali, wychodziły
ku wałom i poboju, na którym zwiły się światła
mnogie i smolne pochodnie. Wszystek lud z zamku wy-
biegał odzierać trupy. Widok był straszny i smutny...

W pętach pędzono jeńców pokrwawionych, do sznura
poczepianych, wozy pełne łupów huczały na zam-
kowym moście.

Dwaj starsi bracia, Bolko i Mieszek, mileząc
rzucili się ścisnąć z sobą, jakby oba drużbę i pokój
na przyszłość sobie poręczali. Kaźmierz i Henryk,
w oknach wywieszeni napół, zabawiali się światłami
migającymi na poboju.

Wiatr zrywający się niekiedy, niósł woń spalen-
izny i krwi, głosy jakieś rozpaczliwe a tłumione, nie-
kiedy okrzyk wesoly, który dreszczem przejmował.

IX.

W Komorowie siedziały niewiasty, karmiąc się
wieściami, które im ludzie przynosili, jak noszą z lasu
grzyby i jagody, takie jakie znaleźli po drodze, świeżo
urośnięte po deszczu, zwiędłe od skwaru, stare i nowe.

Czasami trwoga na gródek padała; naówczas
stara Jaksowa macierz, szła do swoich ludzi, stawiała
strażę, sposobila się jak do obrony. I gdy jednego
dnia wieść przychodziła straszna, groźna, przeraża-
jąca o poganach już ciągnących tutaj, drugiego ktoś
przynosił pociechę wielką; która we trzy dni roz-
wiała się w powietrzu nieczem.

Ludzie mówili, że tam widziano już dziec w po-
chodzie, ówdzie, że ją ścigano w ucieczce bezładnej;
jedni głosili Władysława zwycięzcą, drudzy pobitym
na głowę i wygnanym.

Jednego dnia na wozie przybył ks. Marcin, aby
odprawić w kapliczce mszę świętą, i wszedłszy do
sieni, zapowiedział, że będzie im zwiastował pocie-

chę wielką. Jemu już wiarę dać było można. Powiadał, że ks. Władysław na głowę został pobity, po kłatwie rzuconej nań przez Arcybiskupa.

— Prawica Boża — rzekł — dotknęła Kaina.

Uchodźcie musiał z pola walki nad Cybiną i znikł, niewiadomo było gdzie. Jedni mówili, że do Niemiec zbiegł do cesarza, o posiłki go prosić, ziemie mu swe poddając; drudzy, że na Ruś uszedł z kniazem Wsewołodem. O Agnieszce i o dzieciach jej słychu nie było.

Tyle już razy zwiedziona Jaksowa, słuchała głową potrząsając, a w końcu rzekła do starego:

— Póki tej prawdy nie zobaczę, nie uwierzę.

— Rychło i to nastąpi — odparł ks. Marcin — bo Petrek na swój dwór powraca, gotują się już na jego przyjęcie, książę Bolko Kraków obejmuje i zwierzchnie panowanie.

Błogosława, która wybiegła była, aby się od przybywającego o czemś dowiedzieć, wróciła do matki, przynosząc jej wesołą nowinę. Poszedł za nią i ksiądz upewniając sam, że to co mówił miał z ust ludzi, którzy na klęskę nad Cybiną sami patrzyli.

Ożywiła się twarz kniehini Maryi, ale tego jej nie było dosyć.

— Jeżeli tak jest — poczęła — dla czegoż Petrek nie śle zaraz po mnie, aby ztąd wyzwolił? bym na swój dwór powróciła i tułać się przestała po obcych kątach?

Czemuż zaraz nie przybył tu syn mój? sługi moje? Więc już tak zapomnieli o mnie, jakbym ja nieczem nie była?...

Rozpieszczona pani i teraz jeszcze nie była rada, bo myślała tylko o sobie.

Choć jej w Komorowie dogadzano, miasto litości dla gospodyni, powzięła do niej odrazę i nienawiść prawie. Dwie też to były istoty, co nigdy by z sobą pogodzić się nie mogły. Stara Jaksowa żyła miłością dziecka, pracą, milczeniem i wielką duszą, którą

w piersi nosiła; Petrkowa kochała siebie tylko, a resztę świata jakby za stworzoną dla siebie trzymała. Całymi dniami bolała i płakała nad sobą zawsze, narzekając na męża, za którego cierpieć musiała.

Błogosława napróżno się ją ukoić starała, zyskując tylko wymówki od matki, że jej nie kochała. Znosiła to w pokorze. Dla niej ta matki niedola była jakby chorobą jakąś, budzącą litość niezmierną i miłość coraz gorętszą. Znużone jednak czuwaniem i jękami dziewczę wiodło w oczach i usychało.

Jaksowa, która na nią teraz jak na synową patrzyła, stękała i bolała, że swojemu dziecku, kwiatka tego jasnego wychuchać nie umiała! Pieściła ją za matkę, żywiła, przytulała, tchem własnym rada ją wzmocnić. Napróżno! Dziewczę w oczach wiodło powoli, nie czując nawet, że słabło, nikło, rozplywało się jak mgła w powietrzu.

A była coraz piękniejszą, rosły jej oczy błyszczące, twarzyczka smętnego nabierała wdzięku. Gdy stara Jaksowa dopytywała, czy ją co nie boli, zaręczała, że jest zdrową, że jej było dobrze, że się czuje szczęśliwą.

Czasem wychodziła na wały puste i z góry rozpatrywała się po okolicy, po lasach, po polach, słuchała jak śpiewało ptastwo, jak na zamku gwarzyli ludzie, jak piosnki się przez okna otwarte z izby dziewcząt rozlegały. Słuchała, patrzyła, wracała potem do złotej kądziolki przy łóżku matki i karmiła się jej narzekaniami.

Z twarzyczki jej znikły rumieńce, na ustach tylko trochę krwi zostało, a oczy, oczy coraz jaśniej świeciły, jakby gdzieś za światy przejrzeć chciały.

Jednego ranku zatętniało, Błogosława rzuciła kądziel i wybiegła. Podwórca pełne były ludzi, konnych, wozów, a w pośrodku na koniu stał Światosław i w koło oczyma rzucał. Zoczywszy siostrę skoczył z siodła i padł sobie na szyję płacząc z radości. Ona wiodła go do matki.

Na widok dziecięcia ukochanego, zerwała się kniehinia Marya, krzyknęła i na pół omdlała upadła na posłanie. Syn nogi jej całował. Słowa mu się w ustach plątały.

Zrozumiała Petrkowa, że po nią przybył syn, że ją z tej nienawistnej dobędzie jamy, że dawna wielkość powróciła do ich domu, i że we dworze pod Sobótką czeka na nią pół ślepy mąż, który sam jechać nie mógł, bo siły postradał.

Jednej godziny tu dłużej pozostać nie chciała, powiedziała sobie, że nie ją tu powstrzymać nie potrafi. Znalazła siły, aby zerwać się z łóżka, zaczęła odziewać coprzedzej, wołając, że choćby zaraz wyruszy w drogę. Płakała i śmiała się razem. O starej gospodyni swej nie wspomniwała nawet.

Ale Światosław jechać nie mógł, dopóki by druzyna jego nie spoczęła, miał też podarki do oddania od ojca i z Błogosławą poszedł do Jaksowej.

Ta stała w izbie swej u stołu, sposobiąc jadlo dla przybyłych gości, poważna a smutna.

Uścisnęła Błogosławę tak, jakby córkę ścisnęła własną, a gdy Światosław przemówił, że ojciec jej posyła dzięki i podarki, odezwała się:

— Najlepszy dar byłbyś mi tu przywiózł, syna mojego biorąc z sobą; za resztę wdzięcznam, odrzucać się nie godzi, ale mi potem nic. Dajecie wy, no, to weźmiecie też odemnie, mam i ja czem się dzielić i obdarzyć.

Choć Petrek odarty był ze wszystkiego, lecz, skoro Władysław upadł, a on powracał do majętności, we mguieniu oka znalazło się co utracił. Roger starosta, Jerzy, Żupan z Głogowa, Mikow, Wszebor złożyli się nań szatami, sukniemi, sprzętem srebrnym i złotym, futrami, końmi i groszem. Dali królewicze swojemu obrońcy obfite dary i Petrek miał się już czem dzielić. A że dla siebie nie potrzebował wiele, dla drugich zawsze będąc szczodrym, nie wyprawił Światosława z próżnemi rękami po żonę.

Wiózł Światosław kubki złoczone, misy srebrne, jedwabów sztuk kilka, kun worów dziesiątek.

Gdy dary te złożył, stara podziękowała i rzekła: — Tak ci jest, darzyć się i obdarzać trzeba, ja też was upominkami dla ojca obciążę, kto bierze, ten dawać musi.

Chodźcie no ze mną.

Uśmiechała się starucha chytrze. Zawróciła się do Błogosławy i rzekła do niej:

— Chodź i ty, abyś wiedziała, gdzie co leży, bo to ci się kiedyś przyda.

Zarumieniwszy się dziewczę szło w milczeniu.

W komorze zameczystej, do której sama ona tylko chadzała, staruszka silną dłonią podniosła drzwi na ziemi leżące, które skórąmi przykryte były. Ogarek zapalony w glinianej miseczce niosła w rękę.

— Zchodźcie — mówiła — a nie bójcie się, choć stromo jest, po bokach sznury wiszą.

Pode drzwiami loch był w ziemi i kamieniu kuty, czarny, otehlanny, straszny jak więzienie. Przodem śmiało kroczyła stara, niekiedy oglądając się na Światosława, który siostrę prowadził. Zwrócili się w lewo, poszli w prawo potem, spuścili w dół, pieśli się do góry, aż doszli do drzwi zamkniętych. Jakso-wa z pod fartucha dobyła klucz i odsunęła rygle.

Sklepienia izbica szeroka, długa, niska ciągnęła się gdzieś w głąb, że końca jej było nie dojrzeć. Zaduch w niej panował, bo powietrze tylko kędyś z góry szparami jakiemiś przez błony wpadało.

Dziwy tu ujrzeli.

W prawo i lewo pod ścianami na podkładach dębowych stały skrzynie ogromne, wisiały wory, leżały kupami odzieże i całe sukna wały. W rogu srebra i złota świeciła się kupa ogromna aż do sklepienia. Co kosztowniejsze stało na skrzyniach.

Oreża i zbroi pospolitej było też poddostatkiem. Stara z dumą się zwróciła do Światosława do góry

podnosząc ogarek. Nie mówiła nie, ale twarz jej powiadała.

— Co myślicie? jest tego dość:

Światosław, choć u ojca nawykły był skarby oglądać, zdziwił się mnogości nagromadzonego mienia i rzekł do niej:

— Daj nam Boże nie mieć takiego jak wy wroga, coby skarby te rozgrabili!

Jaksowa już ogarek postawiwszy wybierała co godnem Petrka sądziła, cztery drogie pierścienie na sznur związała, dwa złote wzięła kubki, sztukę szkarlatu odłożyła na stronę.

— Wybieraj sobie ty, co ci lubo! — rzekła do chłopca — abyś mi ztąd z próżnemi nie wyszedł rękami.

To mówiąc pierścień jeden na palec włożyła Błogosławie, dała Światosławowi jeden, dwa dla rodziców.

Zmuszony wybierać młody gość wziął tarczę małą wyrabianą wzorzysto, bo niezem ostrem obdarzać się nie godziło. Sztukę szkarlatu na plecy mu zarzuciła stara, sama misy i kubki wzięła w silną rękę i dawszy im po skarbcu popatrzyć, szła z powrotem.

A gdy znowu szli, nietylko ów skarbiec podziwiał Światosław, ale drogę, którą doń niewiadomemu trafić było trudno, bo pod zamkiem, jakby krety ryły, wążkami szycami i chodniki się rozbiegały do góry, w dół, porozgałęziane na wsze strony.

Gdy powrócili nazad do izby, już znaleźli od Petrkowej służę, która do wyjazdu nagliła, a stara nie wstrzymywała, choć na Błogosławę patrząc, lży jej w oczach stawały.

W ostatniej chwili kniehini się przywlokła żegnając i dziękując.

— Nie ma tam za co! — odparła dumna niewiasta obojętnie.

Dziewczę ze łzami rzuciło się jej w objęcia.

— Powracaj do mnie! — szepnęła jej do ucha — wracaj, gołąbko moja, źle ci nie będzie!

A tu już do wozów i koni naglono, kniehini na swoim siedziała, córkę wywołując niecierpliwie do siebie.

I jak stała w progu stara Jaksowa, tak wkuta, nieprzytomna, zapatrzona została długo, zapomniawszy o bożym świecie. Z oczów lży ocierała.

O synu wiedziała, że przy Petrku pozostał, któremu jak rodzonemu służył ojcu, jako dziecko własne ukochany. Nie mógł przybyć ze Światosławem razem, bo jeden z nich przy nawpół oślepyłym zostawać musiał.

Powrót Palatyna do dworu pod Sobótkę, tak uroczystym był, jak okrutne z niego porwanie. Gdy się o zbliżającym dowiedzieli starzy druhowie, jechał naprzód starosta Roger z ziemiany o mil dziesięć, aby go poczestnie wprowadzili na dworzec, już na przyjęcie jego przysposobiony. A gdy miał do domu wjeżdżać, zaszli mu drogę OO. Benedyktyni z opatem na czele i mieszczanie, wyjechał ks. Janik z archidyakonem Rogerem, zebrał się wszelakiego ludu tłum ogromny, uderzono we dzwony w kościele.

I była chwila uroczysta, która ludziom z oczów lży wyciskała, gdy go ujrzeli oczyma chustą białą zawiązanymi, pieszo naprzód idącego do kościoła, na podziękowanie Bogu. Kościół cały światłem płonął, pieśniami się rozlegał. Tu kłękłszy Petrek u ołtarza, upadł na twarz, a ludzie plakali, a mnisi śpiewali.

Do kruchty, choć go popychano i odpędzano, weisnął się odarty, straszny, z głową kudłatą Jarmucha. Szedł, a krył się, bał się aby go nie poznano, a choć uczynił co mógł, lękał się aby się na nim za krew nie mszczono. Widzieć chciał Petrka, choć zbliżyć się doń nie śmiał. Śmiał się, drżał, popłakiwał, do słupa tulił, a gdy napowrót lud wyptywał z kościoła, jakaś siła nieznana nade drogę go popchnęła.

Ujrzał Petrka, jako teraz szedł chustę z oczów zrzuciwszy przed ołtarzem, jedną żrenicą całą, drugą krwawą, patrzącego wesoło na świat Boży.

Gdy tak szedł Palatyn, a spoglądał dookoła, zobaczył Jarmuchę, który się za czyjeś plecy chował — i stanął.

Ponieważ ręką skinął ku niemu, wnet czeladź rzuciła się na obszarpanego biedaka, precz go chcąc odegnąć, ale Petrek stał, wołał go ku sobie i przykazał, aby go za nim do dworu wiedziono.

Tu go przeobleczone w suknie nowe i dano mu izbę przy straży, aby we dworze mieszkał.

Na dworcu swym, choć mu go przystroili druhowie, nie zastał palatyn wspaniałości dawnej, ale w tych izbach, której zajmował sam, gdzie nie było co odzierać, powitał ławy swe i ogniska i stół, i wszystko co tu zostawił, a to go najwięcej rozradowało.

Zapełnił się dwór znowu biesiadnikami, gośćmi i wrzawą jak za dobrych czasów. Petrek na żonę i córkę czekał, dni rachując, Jakse pytając — kiedy przybędą?

Rachowali dnie oba.

Aż jednego ranka dano znać, że jedzie Marya, wyszedł Petrek naprzeciw, a wstyd mu było prawie stawić się przed piękną niewiastą z krwawemi oczyma, twarzą wybladłą i zestarzałą.

Gdy wóz się zatoczył przed dwór, Petrkowa spojrzała na męża, krzyknęła i zakryła swe piękne oczy. Puszczone ją i wiedziono do domu. Biedna niewiasta szła ręce łamiąc izbami, których niepoznawała, za nią córka wiodąc ojca, łzawemi oczyma wpatzonego w młodą jej twarzyczkę, przekwitłą niedołą, zwiędłą od smutku, co się uśmiechać musiała.

I Jaksza szedł za niemi nie spuszczać z niej wzroku, nie wiedząc czy się cieszyć, że wracała, czy smuć, że cień jej widział tylko.

Nim się biedna Petrkowa oswoiła z nową dolą swoją, z mężem kaleką, z życiem, z ludźmi, których brakło wielu i nim wylała żale i bóle, powtarzane każdemu z kolei, trochę upłynęło czasu; Jaksie już dawno Petrek powiedział, ściskając go. — Córkę ci

dam, choćby mimowoli macierzy, bom ci dłużej wiele, a no, bądź cierpliwy, kwiatek to nierozwity.

Nierychło, raz wieczorem siedzieli we dwoje Petrek na ławie w kącie, pani na wezgiłowiach, i jak zwykle, rozwodziła żale, jako jej w Komorowie było, iż w więzieniu nie mogło być gorzej.

— A toć będzie gniazdo córki naszej! — odezwał się Petrek.

Rzuciła się kniehini.

— Ja, dać córkę moją? na to wygnanie i pustynię? Tej niewieście za dziecko, która prostą chłopką jest?

— Nie jej, ale Jaksie ją dam, bo mi on drogim synem był — odezwał się Petrek — i miłuje mnie i ją, a naszym będzie.

W płaczu długo utulić się nie mogła Petrkowa, nie chcąc córki dawać, męża starając odwieść, w końcu niezdolawszy tego uczynić, aby go przekonać, wpadła w gniew wielki. Nie pomogło nic. Jechali swaty, przyjął Petrek Jakse za zięcia.

Gdy księżna Agnieszka uciekać potem musiała z Krakowa z Niemcami swemi, a Bolko objął stolicę i w kraju na czas ucichło, bo Niemcy się tylko zdala odgrazali i burczeli, — sprawiono wesele wielkie, jakiego Wrocław nie widział jeszcze.

Szła panna młoda do ołtarza, że się ludzie dziwili, czy niewiastą była żywą, czy cieniem a duchem, bo w niej już krwi nie stało na rumieniec i siły do uśmiechu.

Potem jechali młodzi do Komorowa i Światosław ich jako brat prowadził, a przyjmowała matka stara i gromady na zamku okrzykiwały, jakby gniazdo słał na długie szczęście i życie.

Było to jesienią.

Na wiosnę z zamku szedł pochód wielki, przed nim w kapie czarnej ks. Marcin, który im ślub dawał, za trumną mąż w rozdartych szatach, i brat i ojciec. Matki nie było.

— Zabili mi ją!—mówiła płacząc.
A kto ją zabił, Bóg osądzi.

Jaksa w strapieniu wielkiem po żonie, gdy książę Henryk szedł do Ziemi Świętej, walczyć o odzyskanie grobu Chrystusowego, pociągnął z nim razem, zginąć chcąc, aby życia nie dźwigać, które srodze ciążyło tęsknotą.

Nie wzięła go przecie ani strzała, ani miecz niewiernych, i wrócił cały do starej matki do Komorowa. I on to był, co mnichów Stróżów Grobu Chrystusowego przywiózłszy z sobą, pierwszy zakon ich na ziemi polskiej, w Miechowie osadził.

K O N I E C .

Przepisano
we Florencyi
1878. Marzec.

MUZEUM
JIK
ROMANOWIE
272

